



Ostatnie dni Stanisława Augusta
Szokujące kulisy śmierci
ostatniego króla Polski

Zagadka Lockerbie
Kto naprawdę podłożył bombę
w amerykańskim samolocie

Sprawa lekarzy kremlowskich
Jak Stalin planował wymordować
sowieckich Żydów

NR 12(70)/2018 GRUDZIEŃ 2018

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

CENA 7,95 ZŁ
(W TYM 8% VAT)

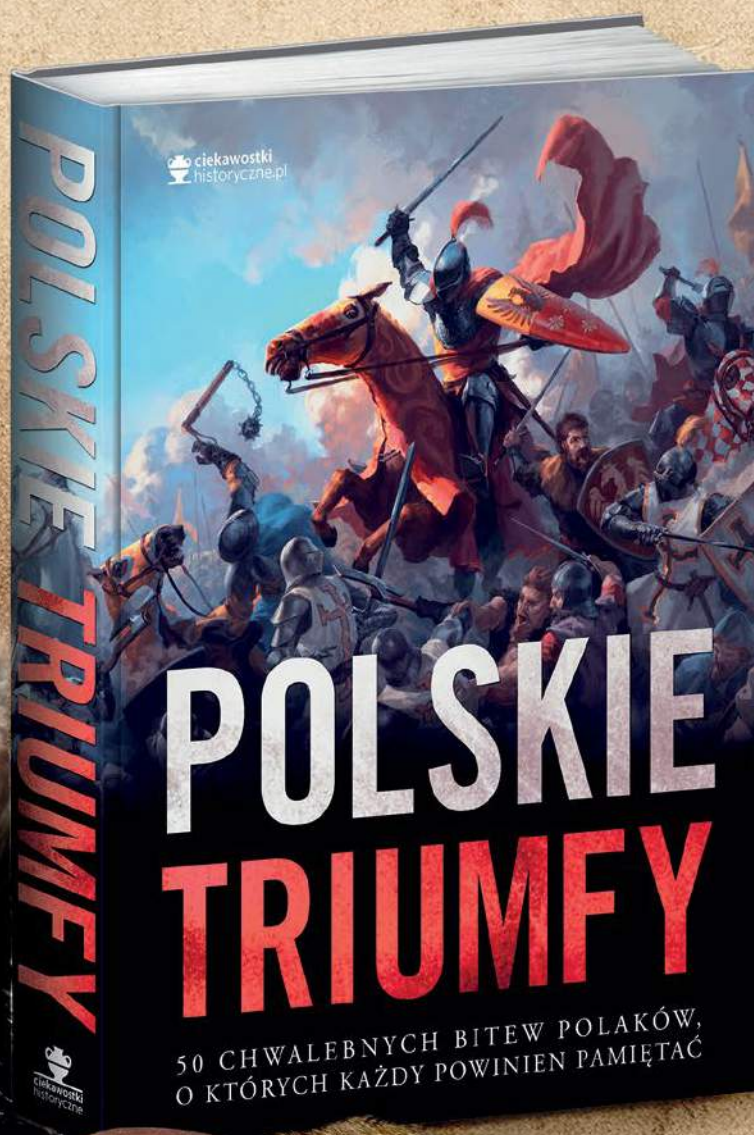
9 772299 150912
ISSN 2299-5515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 256031
12>



ŻYDOWSKA POLICJA

Ofiary czy sprawcy

POZNAJ STARCIA, KTÓRE ZMIENIŁY BIEG DZIEJÓW



Książka dostępna od 28 listopada w salonach **empik** i na **empik.com**

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA
DO RZECZY”.

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:
Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk,
Marcin Bartnicki, Piotr Włodarczyk

Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (szef studia),
Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski,
Anna Sobieska-Wójtowicz,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

Dorzczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz
Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac,
Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Mateusz
Maranowski (także Polskie Radio), Jan Fiedorczuk
Współpraca: Miłosz A. Łodowski

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10
reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:
pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta
pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
ani nie zwraca materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze
rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w miesięczniku
chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa
zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu
tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki
licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/.



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Ofiary czy sprawcy?

Działalność żydowskiej policji w gettach okupowanej Polski jest przedmiotem ożywionej – często niezwykle ostrej – dyskusji.

Z jednej strony możemy usłyszeć, że Żydowska Służba Porządkowa była bandą zdemoralizowanych kolaborantów, która z zimną krwią wysłała tysięcy swoich rodaków do komór gazowych; że policjanci z getta byli współsprawcami Holokaustu.

Z drugiej strony możemy usłyszeć, że żydowscy porządkowi byli ofiarami Holokaustu, a co za tym idzie – nikomu nie wolno ich krytykować. Samo pisanie o niecznych czynach tych ludzi ma być przejawem antysemityzmu. Działalność żydowskich policjantów była bowiem rzekomo ich „strategią przetrwania”.

Oba te skrajne poglądy wydają się mieć niewiele wspólnego z rzeczywistością.

W samej Warszawie służyło ok. 2 tys. policjantów. W tak dużej grupie ludzie znalazły się oczywiście jednostki zdemoralizowane. Łapówkarze, ludzie skorzy do przemocy, którzy dla zarobku bądź ocalenia życia traktowali innych Żydów w sposób przerażający. W szeregach służby porządkowej byli jednak ludzie przywoici. Policjanci, którzy woleli „rzucić czapkę” i wsiąść do pociągu jadącego do Treblinki, niż splamić swój honor.

Historia, jak to zwykle bywa, nie była wcale czarno-biała.

Trudno też zgodzić się z poglądem, że wszyscy żydowscy policjanci byli niewinnymi ofiarami i nie wolno ich krytykować. Ludzi wszystkich narodowości i wyznań należy przecież oceniać według takich samych, uniwersalnych kryteriów. Nie ma powodu, żeby w imię politycznej poprawności tuszować to, że część policjantów z getta robiła złe rzeczy. Trudno uznać łapówkarstwo, pastwienie się nad innymi Żydami czy przepuszczanie grubych sum w knajpach i szulerniach za „strategię przetrwania” Holokaustu. To, że wielu żydowskich policjantów straciło życie w komorach gazowych, nie zmywa ich wcześniejszych win. Ofiarą masowych zbrodni nie padają tylko dobrzy ludzie.

Kluczowe jest jednak to, żeby nawet o najtrudniejszych kartach przeszłości dyskutować spokojnie i rzeczowo, z poszanowaniem wrażliwości drugiej strony. Debata historyczna nie powinna zamieniać się w pyskówkę, podczas której narody wyciągają sobie największe brudy. Chodzi o to, by przedstawić prawdę o człowieku. Przedstawić wszystkie tragiczne dylematy, przed którym stawał, jego moralne upadki i wzloty. Cały wachlarz ludzkich postaw i zachowań. W przeciwnym razie zamiast historii będziemy bowiem uprawiać propagandę. ©

Nowy numer „Historii Do Rzeczy” jest kontynuacją numeru sprzed pół roku. W czerwcowym wydaniu pisaaliśmy o rozmaitych postawach występujących wśród funkcjonariuszy Policji Polskiej Generalnego Gubernatorstwa. Tak zwanej granatowej policji. Tym razem przedstawiamy działania i dylematy funkcjonariuszy Żydowskiej Służby Porządkowej służących w gettach okupowanej Polski.

/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR ZYCHOWICZ

Dobrzy i źli policjanci

.12 PIOTR WŁOCZYK

Świadkowie mówią: diabelski plan Niemców

.16 MARCIN BARTNICKI

Porządkowi krakowskiego getta

/ CZASY I LUDZIE

.20 TERESA STYLIŃSKA

Zagadka Lockerbie.23 Wspomnienie
o Tadeuszu Kisielewskim.24 MIKOŁAJ IWANOW
Dramat rodu Wyslouchów.28 MAREK GAŁĘZOWSKI
Żydzi w powstaniu 1831 r..32 ROBERT FROST
Rzeczpospolita – historyczny
ewenement.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Gruzińscy żołnierze III Rzeszy.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Opowieść o polskim
banicie.45 PIOTR SEMKA
Włosi na Wielkiej
Wojnie.48 MARIAN ZACHARSKI
Ambicje Gehlena.52 SŁAWOMIR KOPER
Romanse Paderewskiego.56 JONATHAN BRENT
Żydowskie ofiary
Stalina.60 PAWEŁ WITASZEK
Ciocia Hala i Golgota
Wschodu.64 TOMASZ STAŃCZYK
Smutny koniec Stanisława Augusta.67 MIROŚŁAW SZUMIŁO
Pogrom lwowski – historia
prawdziwa.70 MACIEJ ROSALAK
1919: pierwszy rok Niepodległej.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Wielka gra gitary

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**Kadena prawdy
brutalne**

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**Dreyfus
odwrócony**.85 PIOTR SEMKA
Okruchy dziejów.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Memorial Dmowskiego

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
**Rzeczpospolita
Pawłowska**/ BATALIE
I WODZOWIE.90 MACIEJ ROSALAK
**Wyprawa Cortésa
na Meksyk**

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Polacy nad
Berezyną**

NIEPOKORNE DAMY

KOBIETY, KTÓRE WYWALCZYŁY
NIEPODLEGŁĄ POLSKĘ



BEZ NICH NIKT Z NAS
NIE BYŁBY DZIŚ WOLNY





Piotr Zychowicz

Część żydowskich policjantów z getta postępowała wobec swoich rodaków brutalnie i okrutnie. Jednak wielu potrafiło zachować ludzką przyzwoitość

Ulicą Pawią pędzi riksza. Prowadzący ją mężczyzna pedałuje z całych sił. Na siedzeniu dwoje pasażerów. Żydowski policjant w okrągłej czapce szarpie się z sześciolletnią dziewczynką w zielonym płaszczyku. Dziecko głośno płacze i składa rączki w błagalnym geście.

– Ja wiem, że pan jest dobry – mówi przez łzy. – Niech pan mnie nie zabiera. Moja mamusia wyszła na chwilę. Zaraz wróci i mnie nie będzie, niech mnie pan nie zabiera.

Policjant jest jednak niewzruszony. Mocno trzyma dziecko i pogania riksza-rza:

– Szybciej, szybciej! Na Umschlagplatz!

Wkrótce na tej samej ulicy pojawia się półprzytomna kobieta. Rozczochrane włosy, szaleństwo w oczach, wyciągnięte do nieba ręce. Pędzi środkiem jezdni w ślad za rikszą i krzyczy rozpaczliwie:

– Moje dziecko! Gdzie jest moje dziecko?!

Scenę tę w sierpniu 1942 r. – podczas wielkiej akcji deportacyjnej – widziała z okna pewna żydowska kobieta. Opisała ją w anonimowej relacji, która po latach została opublikowana w opracowanym przez Michała Grynberga tomie „Pamiętniki z getta warszawskiego”.

Nie zapomnę krzyku tej małej dziewczynki w zielonym płaszczyku – napisała autorka. – Lament, który mógłby nawet wzruszyć serce potwora, nie trafił do policjanta. Wykonywał on z zimną krwią swój obowiązek. Policja żydowska przejęła szybko niemieckie metody. Krzyczała i biła. Z okien pewnego domu na Nalewkach widziałam tłum kobiet i dzieci pędzonych przez paru policjantów. Ileż łez i rozpacz, a ile przy tym razów, które spadały na karki kobiet i główki małych dzieci. Dobrze mi ten widok utkwiał w głowie.

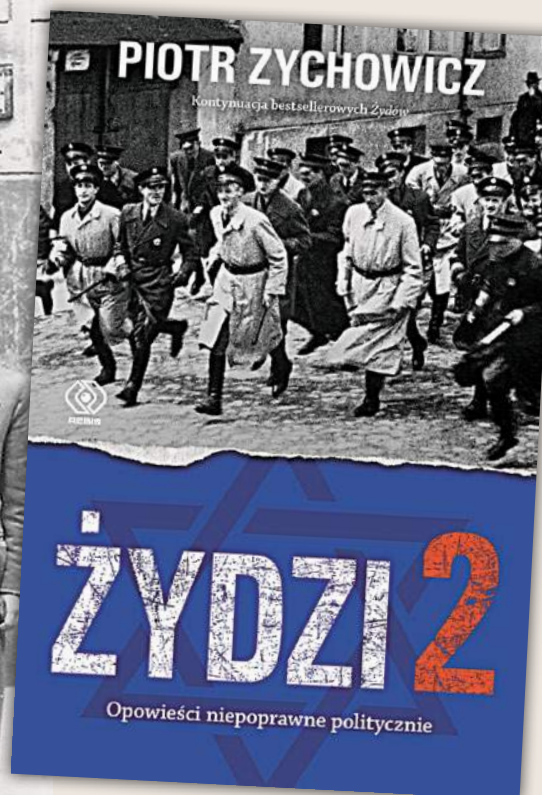


Getto / Służba Porządkowa w Warszawie

Dobrzy i źli policjanci



Żydowscy policjanci z getta warszawskiego FOT. WARALBUM.RU



ARTYKUŁ JEST FRAGMENTEM
NOWEJ KSIĄŻKI PIOTRA
ZYCHOWICZA „ŻYDZI 2. OPOWIEŚCI
NIEPOPRAWNE POLITYCZNIE”
(REBIS).
KSIĄŻKA W SPRZEDAŻY OD 27
LISTOPADA!

Podobne widoki utkwiły w głowach tysięcy innych mieszkańców getta. Opisy okrucieństw i podłości funkcjonariuszy Służby Porządkowej można znaleźć niemal we wszystkich pamiętnikach i relacjach pozostawionych przez mieszkańców warszawskiej dzielnicy zamkniętej.

Sprawiły one, że postrzeganie tej formacji jest niezwykle negatywne. Powszechnie uważa się, że policja z getta warszawskiego był wyjątkowo zdemoralizowaną i groźną formacją kolaboranczką. Rzeczywistość – jak to zwykle bywa – była jednak bardziej skomplikowana.

Silni wśród słabych

Żydowska Służba Porządkowa – Jüdischer Ordnungsdienst – powołana została jesienią 1940 r. Przewodniczący Judenratu Adam Czerniaków chciał, aby była to profesjonalna, zdyscyplinowana służba policyjna oparta na przedwojennych wzorcach. Dlatego na czele

Ordnungsdienst postawił płk. Józefa Szeryńskiego.

Był to zawodowy oficer Policji Polskiej, który dla kariery przeszedł przed wojną na katolicyzm i zmienił nazwisko. Wcześniej nazywał się Szynkman. W 1939 r. Szeryński pełnił funkcję zastępcy komendanta wojewódzkiego w Lublinie. Uznawany był za zawodowca.

Dzielnica żydowska została podzielona na sześć rejonów, w których służyć miało w sumie ok. 1,7 tys. policjantów – odemanów, jak ich nazywano. Żydowscy przywódcy zdawali sobie sprawę, że funkcjonariusze ŻSP będą narażeni na niezwykle silne pokusy. Dlatego dołożyli wszelkich starań, aby do szeregów policji dostał się najbardziej światły i kulturalny element. Kandydatom postawiono wysokie wymagania:

wiek – 21–40 lat,
wzrost – minimum 170 cm,
waga – minimum 60 kg,
wykształcenie – co najmniej sześć klas szkoły powszechnej, odbyta zasadnicza

służba w Wojsku Polskim, biegła znajomość języka polskiego.

Co jednak najważniejsze, przyszli policjanci musieli zaświadczyć, że nigdy nie byli karani, i musieli dostarczyć rekomendację od dwóch powszechnie szanowanych członków żydowskiej społeczności. Przywódcy Judenratu uznali, że przez tak gęste sito nie przecisną się szumowiny ani przestępcy. I rzeczywiście w szeregach Służby Porządkowej znalazło się wielu ludzi z elity. Młodych adwokatów, lekarzy, dziennikarzy, studentów, inżynierów – inteligentów i przedstawicieli wolnych zawodów.

Jeżeli rzeczywiście dobór ludzki był tak staranny, tak pieczołowity – pytał we wspomnieniach jeden z oficerów policji, Jan Mawułt (Stanisław Gombiński) – czemu ci ludzie okazali się tak źli, czemu tyle złego wyrządzili ludności, czemu ich ludność tak gorąco nienawidziła? Niechaj czytelnik wstrzyma się ze swym sądem, niech naprzd te karty – a następnie tysiące innych, przeczyta, niech zaznajomi się z rzeczywistym stanem rzeczy w całej rozciągłości i wtedy niech spróbuje raz jeszcze,

■ po raz setny, po raz tysięczny rozgryźć naszą rzeczywistość.

Upiornej rzeczywistości getta oczywiście nikt, kto nie był w nim więziony, rozgryźć nie zdoła. Można jednak pokusić się o odpowiedź na pytanie zadane przez Gombińskiego: Dlaczego miało być tak dobrze, a wyszło tak okropnie? Przyczyny były dwie – system i natura ludzka.

O systemie panującym w getcie warszawskim nie trzeba chyba dużo pisać. Są to rzeczy powszechnie znane. Był to system permanentnego głodu i strachu. Niemcy dostarczali do dzielnicy zamkniętej znikome ilości żywności, a jednocześnie na Żydów spadały kolejne szykany i represje. Ten straszliwy system spowodował, że głównym motorem napędowym mieszkańców getta stała się chęć przeżycia. Za wszelką cenę.

Hermetyczne zamknięcie nas w dzielnicy – pisał jeden z wysokich rangą funkcjonariuszy służby porządkowej Stanisław Adler – miało rzecz jasna na celu wygłodzenie nas i doprowadzenie do takiego zezwierzczenia, aby ostatni wzajemnie się pożerali.

W efekcie za murami getta zapanowało prawo dżungli. Przetrwać mogli tylko silni: ludzie z pieniędzmi, koneksjami, piastujący stanowiska upoważniające do dodatkowych racji żywnościowych. Ludzie, którzy mieli władzę nad innymi. Wśród nich znaleźli się żydowscy policjanci.

Praca w Żydowskiej Służbie Porządkowej stwarzała olbrzymie możliwości dodatkowych dochodów. Pieniądze i jedzenie dosłownie pchały się do rąk odemantów. Aby mogli oprzeć się tym pokusom, funkcjonariusze przede wszystkim powinni być dobrze opłacani. Tymczasem za służbę w Jüdischer Ordnungsdienst początkowo nie otrzymywali wynagrodzenia.

Nic więc dziwnego, że część policjantów zaczęła brać łapówki. Do ich głównych zadań należało pilnowanie bram i murów getta od wewnątrz. Chodziło głównie o powstrzymanie idącego pełną parą szmuglu. Policjanci często wchodzili jednak w porozumienie z przemytnikami – za przymknięcie oka na ich działalność dostawali swoją działkę.

Funkcjonariuszy takich nazywano „grajkami”. Ich zadaniem było „zblatowanie” polskiego policjanta i niemieckiego

zandarma stanowiących obsadę „waczy”. Gdy wszystko było dogadane, „grajek” dawał umówiony sygnał i przez „wachę” przejeżdżał cały konwój wozów wyładowanych po brzegi towarami. Na żydowską stronę czasami szmuglowano nawet żywe krowy!

Jeżeli żydowscy policjanci byli sprytni, ostrożni i obrotni, to szybko mogli zbić fortunę. Pieniądze te wydawali w licznych powstałych na terenie dzielnicy zamkniętej lokalach. Byli głównymi klientami prostytutek i szulerni.

Udział w prowadzeniu przemytu zdemoralizował w dużym stopniu Służbę Porządkową – pisał jeden z wyższych rangą funkcjonariuszy policji Stanisław Adler. – Duże i niekontrolowane przychody skłoniły licznych do prowadzenia hulastycznego i wyuzdanego trybu życia. Na tle powszechnej nędzy wybiły te sprawy tak makabryczne wrażenie. Wystarczyło zajrzeć do takiego Ala Fourchette przy zbiegu Leszna i Solnej lub Adasia na Lesznie pod 14, gdzie na ladach kusily karpie faszerowane, krajane w olbrzymie kawały, stosy

gęsi pieczonych i wędzonych, tłuste jabłeczniki i inne specjały kuchni żydowskiej, aby ogarnąć człowieka wstręt i bezgraniczna żołąć. Przy stolikach płynęły morza alkoholu, płacono rachunki idące w setki i tysiące złotych. Dzielnica żydowska znajdowała się [tymczasem] w okowach dojmującego głodu i wymierała w tempie niesłychanie szybkim.

Policjanci mieli dwie możliwości. Mogli ze swoimi rodzinami klepać biedę i żyć na skraju śmierci głodowej albo zrobić wielkie pieniądze, jeść i pić pod korek, bawić się w nocnych lokalach, znaleźć się w szeregach gettovej elity. Trudno się dziwić, że spora część – szczególnie młodych ludzi – ulegała tej pokusie. System panujący w getcie demoralizował jednostkę.

Również rutynowa działalność odemantów stała się utrapieniem mieszkańców getta. Do ich obowiązków należało wyłapywanie ludzi chodzących bez opasek, pilnowanie, aby nikt nie szwendał się po ulicach po godzinie policyjnej, ściąganie podatków, spędzanie z chodni-





z nich z Niemcami. Nie chodzi nawet o robienie wspólnych interesów, lecz o płaszczenie się, gorliwe wykonywanie wszelkich poleceń i ustawiczne podlizywanie się żandarmom.

W skład policji wchodziła młodzież z warstwy zamożnej – pisał słynny pianista Władysław Szpilman. – Odraza brała, gdy się widziało, jak ludzie, do niedawna jeszcze przywoici, którym się podawało rękę i taktowało jak przyjaciół, zamieniali się w kanalie – podleli. Ich największą ambicją stało się nawiązywanie stosunków z gestapowcami, wysługiwanie się im, paradowanie z nimi wzdłuż ulic, popisywanie się znajomością języka niemieckiego i licytowanie w srogości metod stosowanych do żydowskiej ludności.

Nietrudno się domyślić, jaki wpływ wszystkie te praktyki miały na stosunek mieszkańców getta do odemanów. „Ta przesławna i osławiona »służba porządkowa« – pisał więzień getta Stanisław Różycki – jest przedmiotem powszechnej nienawiści, pogardy, wstrętu”.

Trzeba jednak w tym miejscu wyraźnie zastrzec: nie wszyscy żydowscy policjanci tacy byli.

Część funkcjonariuszy Służby Porządkowej do końca pozostała uczciwa. Byli to ludzie ideowi, nieprzekupni, którzy starali się służyć umęczonemu przez okupanta rodakom. Z obrzydzeniem i pogardą patrzyli na postępowanie swoich kolegów w mundurach.

Stanisław Adler pisze o funkcjonariuszach Jüdischer Ordnungsdienst, którzy po powrocie ze służby mdleli z głodu na komisariatach. A zamiast lśniących

oficerek nosili dziurawe łapcie, z których wystawały palce w pocerowanych skarpetach. Oni na pewno nie brali łapówek.

Niestety, z upływem czasu ich szeregi znacznie się przerzedzały. Ludzie ci rzucali służbę, nie chcąc, aby spadało na nich odium za czyny zdemoralizowanych współtowarzyszy. Albo byli z niej wypychani. „Frajerzy” – za jakich ich uważano – kłuli bowiem w oczy skorumpowanych funkcjonariuszy. Wyszadzano ich i wskazywano palcami.

Jak wyglądały proporcje między dobrymi a złymi policjantami? Tego oczywiście nie wiadomo.

Aby uczciwie, bezstronnie ocenić policjantów z warszawskiego getta, należy wspomnieć, jak ich traktowali niemieccy żandarmi. Byli oczywiście funkcjonariusze Służby Porządkowej, którzy z Niemcami pili wódkę i robili interesy. Równie często jednak Niemcy bili ich po twarzy, upokarzali, a nawet mordowali.

Znana jest sprawa rozstrzelania 10 przypadkowych funkcjonariuszy Ordnungsdienst w odwecie za przepuszczenie dużej partii szmuglu przez jedną z „wach”.

W matni Zagłady

Gdyby działania gettowych policjantów ograniczyły się do brania łapówek, rozbijania się po knajpach i okazjonalnego przyłożenia bliźniemu pałką po krzyżu, Żydowska Służba Porządkowa zapewne nie wywoływałaby obecnie tak namiętnych sporów i tak olbrzymiego zainteresowania opinii publicznej.

Stało się jednak inaczej. Wiosną 1942 r. niemieckie władze bezpieczeństwa

ków żebraków i ulicznych sprzedawców, wlepianie mandatów i konwojowanie aresztantów.

Policjanci zaczęli też nadużywać prawa do stosowania przemocy. Służbowe pałki, okrągłe policyjne czapki z niebieskim otokiem i gwiazdą Dawida, buty z cholewami i blaszane odznaki z numerami – wszystkie te atrybuty władzy niezwykle podbudowały ich pewność siebie. Zwykłych mieszkańców getta zaczęli traktować z góry, pogardliwie.

Daniel tarmosił niemłodego, chuderlawego „placówkarza” – pisała Janina Bauman o zachowaniu swojego znajomego policjanta. – Ściągnął z niego nędzny płaszcz i zaczął przeszukiwać kieszenie. Znalazł wypchaną torbę szmacianą przypiętą do podszewki. Wyrwał ją gwałtownie i wysypał całą jej zawartość na bruk. Niemal płacząc, nieszczęsny człowiek wyciągnął z kieszeni spodni zwinięty banknot. Daniel drgnął i na ułamek sekundy w jego oczach pojawiło się przerażenie i wstyd. Ale zaraz twarz wykrzywiła mu się w szyderczym uśmiechu. Chwycił pałkę i ze wszystkich sił zaczął okładać bezbronnego człowieka po głowie, po twarzy. Następnie powalił go na bruk i ciężkim butem kopnął wynędzniałe ciało.

Fatalny wpływ na opinię, jaką mieli żydowscy porządkowi wśród mieszkańców getta, miała fraternizacja części



Żydowscy policjanci z Węgrowa FOT. WIKIPEDIA



Józef Szeryński, nadkomisarz Żydowskiej Służby Porządkowej w getcie warszawskim, przyjmuje raport od swojego zastępcy, Jakuba Lejkina. FOT. BUNDESARCHIV BILD/WIKIPEDIA

stwa przystąpiły do realizacji akcji „Reinhardt”. Pociągi wypełnione po brzegi mieszkańcami getta ruszyły do Bełżca, Sobiboru, Treblinki, Majdanka i Auschwitz. W niebo nad okupowaną Polską wzbily się słupy czarnego, gryzącego dymu. Rozpoczęła się jedna z największych, najpotworniejszych zbrodni w dziejach świata. Rozpoczął się Holokaust.

W Warszawie akcja ruszyła 22 lipca 1942 r. Wyciągnięcie kilkuset tysięcy ludzi z krętych uliczek, piwnic, strychów, szop i innych zakamarków getta nie było jednak prostym zadaniem. Jak przeprowadzić taką olbrzymią operację? Niemcy wpadli na perfidny pomysł – zadanie to zlecieli funkcjonariuszom Służby Porządkowej.

Żydowskim policjantom nakazali codziennie dostarczać kontyngenty rodaków na Umschlagplatz, skąd odprawiano transporty do Treblinki. Pierwszego dnia – 6 tys. ludzi. Akcję żydowskiej policji nadzorował sam Szeryński. A jej głównym organizatorem i wykonawcą był jego zastępca – rozwydrzony, sadystyczny karzeł Jakub Lejkin.

Aby zmusić żydowskich policjantów do gorliwego wykonywania zbrodniczych rozkazów, Niemcy zastosowali swój stary, dobrze znany trik. W zamian za wierną współpracę obiecali funkcjonariuszom Służby Porządkowej darowanie życia im oraz ich rodzinom. Jednocześnie zwiększyli im przydziały żywnościowe – porządkowi dostawali teraz po kilogramie chleba dziennie.

Policjanci zabrali się do pracy. Oddział Służby Porządkowej bladym świtem otaczał dom. Rozlegał się ostry świst policyjnego gwizdka i wszystkim miesz-

kańcom nakazywano zejść na podwórkę. Wyrwani ze snu, zdezorientowani ludzie zbiegali na dół w szlafrokach i piżamach. Tam żydowscy policjanci sprawdzali ich dokumenty i dokonywali wstępnej selekcji.

Ci, którzy mieli świadectwo pracy, mogli zostać w domu.

Niepracujący, niepełnosprawni, starcy, sieroty – jazda do wagonów bydłych!

Gdy na podwórkach trwała selekcja, inni policjanci z hukiem podkutych butów wbiegali na klatki schodowe i robili kipsisze w mieszkaniach. Szukali Żydów ukrywających się przed wywózką. Kiedy już „darmozjady” zostały oddzielone od pracujących, skazańców ładowano na wozy lub tworzone z nich kolumny marszowe i pędzono na Umschlagplatz.

Opowiadano mi o różnych scenach w trakcie blokad domów – relacjonował Henryk Makower, lekarz zatrudniony w służbie porządkowej. – Niektórzy z oficerów zachowywali się skandalicznie, nie uznając zupełnie nawet dobrych zaświadczeń. W innych wypadkach zwalniano ludzi za łapówki, łapownictwo się szerzyło. Brano pieniądze również od tych, którzy nie mieli żadnych przepustek. Rozdzielano rodziny, zabierano jedynych żywicieli, młode i piękne dziewczyny. Blokadę wyzwoili wśród Służby Porządkowej całą masę łajdaków i drańskich. Opornych bito pałkami, nie gorzej od Niemców. Do tego dołączyło się rabowanie opuszczonych mieszkań pod jakimś pretekstem.

Żydowskim komendantem Umschlagplatz został Mieczysław Szmerling, jedna z najczarniejszych figur Jüdischer Ordnungsdienst. Jego ludzie zajmowali się pilnowaniem rodaków oczekujących na pociągi, a następnie ładowaniem ich do wagonów bydłych. Do jednego potrafił upchnąć po sto osób. Był straszliwy skwar, więc stłoczone jak sardynki ofiary mdlały, błagały o wodę...

Tam na Umschlagu widziałem potworne bestialstwo żydowskiego komendanta placu Szmerlinga – relacjonował Henryk Rudnicki. – Szubrawiec ten bezprzeładnie znęcał się nad Żydami, prześcigając Niemców. On też potrafił okładać drucianą różgą członków Służby Porządkowej za jakąkolwiek chęć pomocy uwięzionym, np. podanie szklanki wody spragnionemu.

Szmerling nie tylko pastwił się nad nieszczęśnikami oczekującymi na swoją ostatnią podróż. Wyłudzał też niebotyczne łapówki od ludzi chcących wykupić bliskich. Nie wszyscy jednak zachowywali się jak on.

Z relacji świadków wynika, że wielu porządkowych było zszokowanych tym, czego od nich zażądano. Część nie przykładała się do tych łowów na współbraci. Inni zaczęli się ukrywać, a jeszcze inni „rzucali czapki”, czyli podawali się do dymisji. Tym samym ratowali honor, ale skazywali siebie i rodziny na śmierć.

Niemcy szybko się zorientowali, że akcja nie idzie tak sprawnie, jak oczekiwali; że ich żydowscy współpracownicy nie wykazują wystarczającego entuzjazmu. Na Umschlagplatz docierało coraz mniej ludzi.

SS postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce. 29 lipca do dzielnicy wkroczyli Niemcy. W blokadach domów i łapanek obok funkcjonariuszy służby porządkowej brali teraz udział esesmani oraz łotewscy, litewscy i ukraińscy schutzmani. „Robota” od razu poszła sprawniej. Niemcy nie mieli bowiem sentymentów ani oporów.

Żydów brali jak leci, całymi kamieniami i ulicami. Tłukli ich przy tym kolbami, a próbujących się ukryć i niepełnosprawnych mordowali na miejscu. Ulice getta spływały krwią.

Drugi sposób na zwiększenie wydajności był jeszcze bardziej szokujący. Otóż Niemcy pod koniec sierpnia 1942 r. wydali zarządzenie, że każdy funkcjonariusz Służby Porządkowej musi przyprowadzić na Umschlagplatz pięciu „łebków” dziennie. W razie niewypełnienia normy wywieziona miała zostać rodzina funkcjonariusza. Jego żona i jego dzieci.

Był to pomysł iście szatański. Policjanci znaleźli się w matni. Ich rodziny – zamknięte w otoczonym drugim kolczastym bloku – z dnia na dzień stały się gestapowskimi zakładnikami. Ci funkcjonariusze, którzy do tej pory starali się markować pracę, stanęli teraz przed strasliwym, piekielnym wyborem. Odmowa udziału w wywózkach oznaczała wyrok śmierci na najbliższych. Co wybrać? Życie obcych ludzi czy własnej rodziny? Zdecydowana większość wybrała oczywiście to drugie. Getto stało się areną dantejskich scen. Rozpoczęło się polowanie na ludzi.

Żydowski policjant gonił dziecko na Małej – relacjonował Dawid Fogelman – gdy je wreszcie schwycił za ramię, zawołał: Złapałem go! Wtedy rodzice dziecka wyszli z ukrycia i wszyscy razem ruszyli na Umschlagplatz. Dzieci są doskonałą przynętą. Żydowskie policjanci jeden po drugim zamieniają się w okrutne bestie, którym esesmani co dzień grożą podwyższeniem wymaganego kontyngentu ludzkiego. Widziałem, jak żydowski policjant rozwałił siekierą drzwi mieszkania, żeby wyciągnąć z niego lokatorów. Widziałem innych, wlokących po ziemi wrzeszczące kobiety.

Gdy się czyta takie opisy, włosy stają dęba na głowie. Cóż to były za potwory! Przecież oni wydawali własnych braci na pewną śmierć. Wysyłali do komór gazowych kobiety i dzieci. Zaraz jednak do głowy przychodzi kolejna, zupełnie inna myśl – ale oni w ten sposób ratowali własne dzieci!

Sprawa owych „pięciu łebków” jest jednym z najbardziej przerażających zdarzeń Holocaustu. Trzeba być bestią w ludzkiej skórze, żeby wymyślić taką potworność, postawić drugiego człowieka przed takim wyborem. Dlatego, oceniając postępowanie funkcjonariuszy Żydowskiej Służby Porządkowej, nie zapominajmy, że tą bestią w ludzkiej skórze był Niemiec.

Jednak nawet w tak upiornych okolicznościach znaleźli się policjanci, którzy zachowali człowieczeństwo i starali się ratować, a nie gubić swoich bliźnich.

Grynberg rzucił czapkę i nie chciał przykładać ręki do tego dzieła haribiegłego – wspominała Stefania

Szochur. – Czasem tylko zakładał czapkę, opaskę i biegł na Umschlagplatz ratować kogoś ze znajomych. Dobrze miał serce. Choć prosty, niezbyt inteligentny, ale lepszy od dwóch kolegów pastwiących się nad nami bez litości.

Innym policjantem, który starał się ratować ludzi z Umschlagplatzu, był niejaki Kapłański. Niemcy nakryli go na gorącym uczynku i rozstrzelali, aby odstraszyć innych funkcjonariuszy. Mimo to, jak wiemy, zgładzono za to jeszcze kilku żydowskich porządkowych.

Pistoletowe kule

Poczynania służby porządkowej w czasie akcji deportacyjnej wzbudziły nie tylko szok i oburzenie w żydowskich masach. Wywołały również stanowczą reakcję podziemia. 25 sierpnia do drzwi mieszkania płk. Szeryńskiego zapukał bojowiec Izrael Kanał. Gdy komendant otworzył drzwi, zobaczył wylot lufy wymierzonego w siebie pistoletu. Gruchnął strzał, a Szeryński zwałił się z hukiem na podłogę.

– Za co, za co strzelał do mnie ten bojowiec? Ja chciałem tylko dobrze – mówił leżący w malignie pułkownik.

Szeryński wylizał się z rany. Był już jednak innym człowiekiem, człowiekiem złamanym.

Shok z powodu zamachu nałożył się na szok wywołany skalą dokonanych przez Służbę Porządkową deportacji. Gdy na początku września 1942 r. wielka akcja dobiegła końca, w getcie pozostało ledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Reszta, ponad ćwierć miliona, trafiła do obozu zagłady w Treblince.

Niemcy oczywiście nie dotrzymali słowa. Po zakończeniu wywózki tak wielu żydowskich policjantów – w 1942 r. było ich już 2 tys. – nie było im już oczywiście potrzebnych. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Władze okupacyjne wydały do dyspozycji Jüdischer Ordnungsdienst zaledwie 500 „numerków życia”, z tego połowę dla członków rodzin funkcjonariuszy.

Reszta żydowskich policjantów, którzy tak gorliwie wyłapywali swoich współbraci, została wpakowana do bydłych wagonów i razem z rodzinami zawieziona do Treblinki. Trudno sobie nawet wyobrazić, co musiało się dziać w duszach tych ludzi podczas tej ostatniej podróży życia...

29 października 1942 r. bojowiec Żydowskiej Organizacji Bojowej zastrzelił na ulicy Jakuba Lejkina, najbardziej zdeprawowanego wśród żydowskich funkcjonariuszy, organizatora wielkiej akcji deportacyjnej. Lejkin zginął na miejscu. Po pogrzebie – jak wieść głosi – jego zwłoki grabarze wyrzucili na zalegającą przy cmentarnym murze kupę gnoju.

Symbolicznym końcem Żydowskiej Służby Porządkowej była jednak samobójcza śmierć Józefa Szeryńskiego. Nastąpiło to 24 stycznia 1943 r. Pułkownik zdał sobie wreszcie sprawę, że cała jego koncepcja legła w gruzach, a on przyczynił jedynie strasliwych cierpień ludziom, których miał chronić.

Znalazłem się w eleganckiej sypialni kierownika Służby Porządkowej – wspominał dr Henryk Makower. – Było tam sporo ludzi, koleżanka Brewda robiła jakiś zastrzyk. Szeryńska płakała cichutko. Jasia, ich córka, leżała w łóżku i modliła się. Pułkownik leżał na łóżku w granatowych spodniach Służby Porządkowej i w rozpiętej koszuli. Czerwono-siny, miał

twarz obrzękniętą, był nieprzytomny, tylko od czasu do czasu marmotał jakieś niezrozumiałe słowa, oddychał ciężko z przerwami. Zajął przygotowany na wszelki wypadek cyjanek potasu.

Mimo że dr Makower próbował go jeszcze ratować zastrzykami dosercowymi i transfuzją, Szeryński skonał.

19 kwietnia 1943 r. wybuchło powstanie w getcie warszawskim. Bojownicy Żydowskiego Związku Wojskowego i Żydowskiej Organizacji Bojowej rzucili wyzwanie Niemcom. Nie chcieli iść na rzeź jak barany. Większość spośród żyjących jeszcze funkcjonariuszy organizacji zrzuciła mundury i wtopiła się w tłum cywili. Inni zostali zastrzeleni przez powstańców, a jeszcze inni walczyli przeciwko Niemcom... ©©





Piotr Włoczyk

/ Są rówieśnikami, obaj przeżyli zbrodnię likwidacji gett w Krakowie i Łodzi. Po latach szczerze opowiadają o tragedii życia za murami i o roli policji żydowskiej

Kiedy myślę „getto”, pierwszym skojarzeniem jest rodzina – utrata całej rodziny. Druga myśl to widok małego dziecka wyrwanego matce przez Niemców. Uderzyli tym dzieckiem o mur i rozbili mu głowę – mówi „Historii Do Rzeczy” 92-letni Edward Mosberg, który ocalał z krakowskiego getta. – Do zbrodni tej doszło 13 marca 1943 r., kiedy Niemcy likwidowali nasze getto. Kazali wszystkim Żydom wyjść na ulicę i robili selekcję. Pamiętam, jak ludzie zbierali się na ulicy, a między nimi jak wilk krążył SS-Hauptsturmführer Amon Göth, komendant obozu koncentracyjnego Płaszów. Bili ludzi, poniżali ich i zabijali na miejscu. Ktoś chciał wynieść swoje małe dziecko schowane w plecaku. Oni się jednak zorientowali i zaczęli strzelać do plecaka... Na ulicach pełno było trupów, bramy kamienic były całe zawałone martwymi ludźmi.

Około 8 tys. Żydów zostało wówczas przeniesionych do pobliskiego obozu w Płaszowie, 3 tys. wywieziono do Auschwitz, a ok. 2 tys. zabito na miejscu.

Tylko po polsku

Edward Mosberg włada piękną polszczyzną, choć od 1951 r. żyje w USA. Jak podkreśla, po polsku rozmawia ze swoimi córkami i z żoną, która również jest ocalałą z krakowskiego getta.

– Innego języka nie znałem przed wojną. W Krakowie 90 proc. Żydów mówiło po polsku – podkreśla Mosberg, który pochodzi ze zasymilowanej rodziny żydowskiej.

1941–1945 / Kraków i Łódź

Diabelski plan Niemców

Edward Mosberg FOT. EAST NEWS





Leon Weintraub FOT. TOBIAS SCHREINER

■ Do wydzielenia w marcu 1941 r. w dzielnicy Podgórze „Żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Krakowie” Niemcy zdążyli wywieźć z miasta większość z ok. 80-tysięcznej społeczności żydowskiej.

Tam, gdzie wcześniej żyło ok. 3,5 tys. ludzi, nagle stłoczono ok. 17 tys. Średnio na jeden pokój przypadało pięciu Żydów.

– Nagle cała moja rodzina znalazła się w getcie. Zapędzili tam moich dziadków, ciotki, wujków, kuzynostwo. Wcześniej każda rodzina miała duże mieszkanie. Tymczasem w getcie dostaliśmy dwupokojowe mieszkanie. To i tak było szczęście, bo inni nie mieli nawet takich warunków. Przynajmniej wszyscy byliśmy razem – mówi Edward Mosberg.

Kiedy wybuchła wojna, miał 13 lat. Mosberg mówi, że nawet gdyby miał kilka lat więcej, nie wyobraża sobie, by poszedł na ochotnika do policji żydowskiej w getcie.

– Nigdy nie wstąpiłbym do policji żydowskiej. Absolutnie nie. Niemcy bali się wchodzić do getta, bo przerażały ich choroby. Mieli od tego policję żydowską. Jej członkowie bili własnych braci i ładowali ich do wagonów. Ci, którzy tak się zachowywali, byli współpracownikami Niemców, nie mam co do tego wątpliwości. Mówi się, że oni poszli tam, by ratować swoje życie. Tymczasem finał był taki, że sami na końcu w większości zginęli, a po drodze stracili godność. Nikt ich nie zmuszał, żeby przystąpili do policji żydowskiej – mówi ocalały z Holocaustu. Wspomina, jak powoli pustoszało mieszkanie w getcie zajmowane przez jego rodzinę. Stopniowo wywożono jego najbliższych do Bełżca.

– Najpierw wywieźli do Bełżca moich dziadków. I tam ich zabili. Potem wywieźli moją ciotkę i jej dziecko. I też ich zabili. Potem zabrali drugą ciotkę z dzieckiem. Niemcy wykorzystywali do tego żydowskie służby porządkowe, bo sami bali się getta. Policjanci żydowscy, którzy wyciągali ludzi z mieszkań, mogli udać, że „nie widzą” ludzi przeznaczonych do wywózki. Tak się jednak zwykle nie działo. Oni zawsze mieli wybór – mogli tego nie robić, widząc, że to było złe. Byli przecież różni policjanci. Niektórzy byli nawet dobrymi ludźmi. Sam znałem takiego porządnego policjanta, który zamieszkał po wojnie w Nowy Jorku i nie miał się czego wstydzić. Inni musieli uciekać do Ameryki Południowej, bo współpracowali z Niemcami. Wstyd mi za tych policjantów. Tak samo powinno być Polakom wstyd za Polaków, którzy w czasie wojny robili potworne rzeczy. Nie można jednak uogólniać i winić całych społeczności. Ludzie są przecież bardzo różni, co jednak nie wszyscy chcą zrozumieć.

Kiedy kolaboracja?

Czy jednak zarzut kolaboracji z Niemcami części policji żydowskiej nie jest zbyt mocnym stwierdzeniem, zważywszy na zamknięcie całej społeczności za murami? Gdzie kończy się wykonywanie zarządzeń Niemców dla ratowania własnego życia, a zaczyna się kolaboracja z wrogiem?

– Kiedy moja matka szła mundury dla Niemców, czy współpracowała z Niemcami? Albo ja, gdy pracowałem jako goniec

w biurze Amon Götha? Oczywiście, że nie. To chyba oczywiste, że charakter pracy w służbie porządkowej getta był zupełnie inny. Można tam było robić rzeczy złe, które muszą zostać uznane za współpracę z Niemcami, ale można było się też zachowywać jak policjant po ludzku i znamy też przecież takie przykłady.

Nasz rozmówca podkreśla jednak, że sam nigdy nie miał złych doświadczeń z policją żydowską.

– Praca gońca w biurze Götha sprawiała, że często przychodziłem na posterunek policji żydowskiej, ale – z oczywistych względów – byłem traktowany przez tych ludzi normalnie. W czasie pracy jako goniec widziałem potworne rzeczy, np. rozrywanie ludzi przez psy na rozkaz Götha.

Ojciec Edwarda Mosberga został zastrzelony w sierpniu 1941 r., matkę Niemcy wysłali do Auschwitz w maju 1944 r. W Holokauście Mosberg stracił też dwie siostry.

– Moje siostry trafiły ostatecznie do obozu Stutthof. Zostały zamordowane dzień przed wyzwoleniem obozu – mówi.

Co ciekawe, we wspomnieniach Mosberga z czasów zamknięcia w getcie nie widać tragedii głodu.

– Mama miała jeszcze trochę kosztowności, sprzedawała je na mieście dzięki pomocy znajomych Polaków. Dzięki temu było co jeść, chociaż oczywiście to nie była norma w getcie. Z narażeniem własnego życia ci ludzie przynosili pieniądze mojej mamie do getta. Takich ludzi było bardzo wielu, dlatego nie wolno winić narodu polskiego za tragedię Żydów – opowiada nasz rozmówca.

– Pomógłbym przechować uciekiniera, gdybym miał narażać tylko swoje życie. Gdybym jednak miał narażać życie całej mojej rodziny, to nie zrobiłbym tego – przypomina Edward Mosberg, wspominając o bohaterstwie rodziny Ulmów. I dodaje: – Na pewno były wtedy tysiące Polaków, którzy chcieli pomóc Żydom, ale z tych samych względów nie mogli tego zrobić. Rozmawiałem na ten temat z wieloma Żydami – słyszałem od nich podobną opinię.

Po likwidacji obozu w Płaszowie Edward Mosberg został wywieziony do cieszącego się wyjątkowo złą sławą obozu Mauthausen-Gusen w Austrii, a na koniec został przeniesiony do należącej do Hermann Göringa fabryki w Linzu. 5 maja 1945 r. Mosberg odzyskał wolność.

– Na samym końcu, tuż przed likwidacją Płaszowa, żydowscy policjanci zostali zabici – moja żona widziała ich trupy... – mówi ocalały z Zagłady. I dodaje: – Jeżeli ktoś mówi, że Polacy to antysemita, zawsze odpowiadam: „Proszę przyjechać do Ameryki i zobaczyć, co tu mówią o Żydach”. Na pewno istnieje w Polsce antysemityzm, tego nie da się zanegować, ale wyolbrzymianie tego zjawiska to robienie krzywdy Polakom. Nie da się powiedzieć, że Polacy to antysemita.

Łódzka gehenna

Litzmannstadt Ghetto miało zostać opróżnione z „darmozjadów”. Wszystkie dzieci, chorzy i starcy mieli zostać zamordowani. Łódzkie getto miało się stać jednym wielkim obozem pracy. Zbrodnię, która do historii przeszła jako tzw. wielka szpera, Niemcy rozpoczęli 5 września 1942 r. Terror trwał tydzień.

– Niemieccy i żydowscy policjanci otaczali domy i chodzili od mieszkania do mieszkania. Wyciągali małe dzieci, osoby w podeszłym wieku i chorych. Do naszego mieszkania też weszli – wspomina tę zbrodniczą operację Leon Weintraub, urodzony w 1926 r. w Łodzi. – Od nas nikogo jednak nie zabrali, bo wszyscy u nas byli w „odpowiednim” wieku i byli zdolni do pracy – ja miałem wtedy 16 lat, moje cztery siostry były ode mnie starsze, mama miała 48 lat, ciocia była 10 lat od niej starsza, ale wciąż mogła pracować. Policjanci weszli do naszego mieszkania, rozejrzeli się po nim, zobaczyli, że nie mają tu czego szukać, i szybko wyszli. Kiedy wspomina ten moment, nie widzę ich twarzy, tylko same postaci. Na podwórzu zebrali ludzi do wywózki. Przez okno widziałem te dzieci, starych ludzi i tych, którzy musieli być podpierani, bo byli chorzy. Mam jeszcze w uszach płacz matek, którym zabrano wtedy dzieci...

Jak wspomina nasz rozmówca, efektem tej akcji była kompletna cisza. Nie było już żadnego kwilenia noworodków, śmiechu małych dzieci.

Jak powinniśmy oceniać rolę policji żydowskiej w Litzmannstadt Ghetto?

– Jednoznacznie negatywnie. Często w brutalny sposób wykonywali wolę Niemców i wykorzystywali swoją przywilejowaną pozycję. Trzeba przy tym pamiętać, że my w getcie właściwie nie widywaliśmy mundurów niemieckich... To była właśnie perfidia Niemców, którzy stosowali starą zasadę dziel i rządź – przyznaje szczerze ocalały z Holocaustu.

Równocześnie jednak Leon Weintraub daleki jest nazywania żydowskich policjantów mianem „kolaborantów”.

– Zadam pytanie: Co to znaczy kolaborować? Czy wykonywanie wszystkich żądań Niemców jest kolaboracją? Jeżeli tak, to chyba wszyscy byliśmy kolaborantami. Przecież wszyscy musieliśmy wykonywać ich rozkazy, inaczej zostalibyśmy zabici. Żeby to zrozumieć, trzeba było być zamkniętym w getcie. Instynkt samozachowawczy jest nieprawdopo-

codziennie mieliśmy co włożyć do ust. Te kilka lat to nieprzerwane uczucie głodu, pamiętam ten ucisk w dołku... – mówi nasz rozmówca.

Likwidując latem 1944 r. Litzmannstadt Ghetto, Niemcy próbowali wmówić Łódzkie Żydom, że wywożą ich do Rzeszy, gdzie dalej będą żyć tak jak do tej pory. Leon Weintraub wspomina, że wtedy jeszcze zwykli mieszkańcy getta nie wiedzieli o dokonującym się Holokauście, ale Żydzi i tak bali się wywózki.

Gdy tylko pojawiło się więc zagrożenie, że za chwilę zostaną wyrzuceni z mieszkania, rodzina Weintraubów chowała się za szafę. Po ok. dwóch tygodniach życie w takim napięciu przerosło jednak matkę naszego rozmówcy.

– Usłyszeliśmy w mieszkaniu krzyk: „Jeżeli kogoś tu znajdziemy, to zastrzelimy na miejscu”. To było za dużo dla

mojej mamy. Wyszła zza szafy i prosiła ich, żeby nie strzelali. Zostaliśmy zapakowani do pociągu i wywiezieni – bodajże był to 18 sierpnia – do Auschwitz. Podczas selekcji na rampie wszystkich nas – oprócz cioci – zaklasyfikowano jako zdolnych do pracy. My z siostrami poszliśmy na prawo, ale ciocia trzymała się ze strachu ręki mamy i pociągnęła ją ze sobą na lewą stronę, która oznaczała śmierć w komorze gazowej. Więcej już mamy nie zobaczyłem – wspomina Leon Weintraub.

Rodzeństwo Weintraubów trafiło do różnych obozów koncentracyjnych, ale – co zakrawa na cud – wojnę przeżyła większość rodziny. Leon Weintraub został wyzwolony

przez Francuzów.

– Gdy skończyła się wojna, ważyłem 35 kg, byłem chory na tyfus. Szczęśliwym trafem dosyć szybko dowiedziałem się, że moje trzy siostry przeżyły! To był jeden z najbardziej radosnych momentów w moim życiu – opowiada nasz rozmówca.

Pomimo ogromnych zaległości w edukacji Leonowi Weintraubowi udało się dostać na medycynę. Wrócił do Polski i pracował jako lekarz. W trakcie nagonki antysemickiej w 1968 r. został zmuszony do wyjazdu do Szwecji, gdzie mieszka do dziś.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Hans Biebow (z prawej), niemiecki nadzorca getta w Łodzi, przy zrabowanych Żydom pieniądzach i kosztownościach. FOT. ARCHIWUM

dobnie silny. Aby przeżyć, człowiek jest w stanie zrobić niepojęte rzeczy. Wiem coś o tym – całe życie pracowałem jako lekarz – mówi Leon Weintraub.

Jego rodzina w osiem osób mieszkała w niewielkim pomieszczeniu, a główną troską był głód. Mimo że każdy miał pracę, zawsze brakowało jedzenia.

– Tylko dzięki pracy można było dostać kartki żywnościowe. Dostawaliśmy w ten sposób dwukilogramowy bochenek chleba na tydzień na osobę. Codziennie rano najstarsza siostra dzieliła chleb na osiem części. Było tego bardzo mało, ale dzięki dyscyplinie przynajmniej

1941–1943 / Getto krakowskie

Porządkowi krakowskiego getta

Żydowscy policjanci FOT. GETTY IMAGES



Marcin Bartnicki

Pomoc w wylapywaniu ukrywających się Żydów nie uchroniła policjantów z krakowskiego getta. Poszli na śmierć razem z innymi ofiarami Holokaustu

Zajechały wozy, na które załadunku się dzieci, małe dzieciaki są wrzucane do koszy i wynoszone po kilka naraz na wozy – pisał we wspomnieniach z krakowskiego getta Tadeusz Pankiewicz. – Czasami Niemiec prowadzi kilkoro trzymających się za rączki na ów koszmarny dziedziniec. Inni jadą z wózkami, w których śpią maleństwa. Po każdym takim odprowa-

dzeniu następuje salwa karabinów. Dla oszczędności rozstrzeliwano kilkoro dzieci jedną kulą, ustawivszy je rzędem. Niemowlęta wkładano po kilka do wózka i również jednym wystrzałem kładziono je trupem”.

To jedna z wielu dramatycznych scen, które rozegrały się w czasie likwidacji krakowskiego getta. W tej i podobnych zbrodniach Niemcom towarzyszyli odemani – rekrutowani spośród Żydów policjanci, najbardziej zdegenerowany element getta, znienawidzeni przez żydowską społeczność. Wcześniej szef tej formacji Symche Spira i przewodniczący Judenratu Dawid Gutter osobiście otwierali Dom Sierot, zachęcając rodziców do zostawiania tam swoich dzieci w czasie pracy. Mali mieszkańcy getta szli tam z radością i ochotą, a rodzice byli dumni z ich postępów w robieniu kopert i koszyków. Nowe umiejętności miały zapewnić najmłodszym przetrwanie. Rodzice świadomi, że dzieci poniżej 14. roku życia zostaną zamordowane przed przesiedleniem do obozu w Pła-

szowie, ukrywali je na wszelkie sposoby. Dom Sierot pozwolił zwabić je w jedno miejsce i ułatwił wymordowanie najmłodszych mieszkańców getta.

Wymuszona współpraca

Według rozporządzenia Hansa Franka z 28 listopada 1939 r. gminy żydowskie do końca roku miały wybrać rady żydowskie, których zadaniem było reprezentowanie swojej społeczności przed Niemcami. Judenraty nie miały oczywiście żadnego wpływu na politykę wobec Żydów. Ich zadaniem było przyjmowanie niemieckich rozkazów i egzekwowanie wykonania przez podlegających radzie Żydów, a po utworzeniu gett organizowaniem życia w zamkniętych dzielnicach. Postawa Judenratu mogła w pewnym, niewielkim stopniu łagodzić niemieckie represje lub przeciwnie – nawet je potęgować.

Krakowscy Żydzi początkowo mieli szczęście do swoich reprezentantów. Pierwszy Judenrat składał się z lokalnej elity. Spośród 24 wchodzących w jego skład ludzi większość angażowała się w organizowanie życia społecznego na wiele lat przed wojną. Pierwszym przewodniczącym został nauczyciel, Marek Bieberstein, a od września 1940 r. zastąpił go adwokat dr Artur Rosenzweig. Obaj zostali wyznaczeni przez Niemców na przewodniczących, ponieważ cieszyli się szacunkiem w społeczności krakowskich Żydów. Ich postawa wobec okupanta wzbudzała powszechne uznanie. Aleksander Bieberstein (brat pierwszego przewodniczącego) opisywał Rosenzweiga jako człowieka „o kryształowym charakterze i uczciwości, który nigdy nie wysługiwał się Niemcom”. Do końca jego kadencji w czerwcu 1942 r. udało się organizować pomoc dla najbardziej potrzebujących mieszkańców getta – kuchnie wydawały posiłki, szpitale zajmowały się chorymi, funkcjonowały dom starców i sierocińce. Po zwolnieniu z więzienia jednym z nich kierował sam Bieberstein. „Kochał on maleństwa, walczył dla nich o jak najlepsze jedzenie i wygody, zawsze łagodny i spokojny – wspominała Halina Nelken. W ten pamiętny dzień [likwidacji placówki przez Niemców – przyp. M.B.] przyszedł z gminy ogromnie zdenerwowany, kazał całemu personelowi rozejść się, a sam pozostał i opuścił Tagesheim jeden z ostatnich”.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy Artura Rosenzweiga zastąpił na stanowisku Dawid Gutter. Rosenzweig za utrudnianie zorganizowania „przesiedlenia” 5 tys. mieszkańców getta – co faktycznie oznaczało wysłanie ich do obozu w Bełżcu – został publicznie pozbawiony funkcji i wraz z rodziną dołączony do transportu. „Rosenzweig, z tą chwilą jesteś zwolniony ze swego stanowiska, akcja nie dała zadowalających rezultatów ani co do liczby, ani co do technicznego dostarczenia ludzi na plac. Ty jesteś temu winien!” – wrzeszczał esesman, po czym według relacji Aleksandra Biebersteina uderzył szefa Judenratu w głowę.

Trzeci przewodniczący żydowskiej rady Dawid Gutter nie miał ani wykształcenia, ani pozycji zbliżonej do swoich poprzedników. Już przed objęciem funkcji cieszył się za to przywilejami dostępnymi wyłącznie przewodniczącym Judenratów, co może wskazywać na

jego aktywną współpracę z Niemcami. Potwierdza to również jego gorliwa kolaboracja już po objęciu funkcji.

Instytucja, która z czasem zyskiwała na znaczeniu, aby ostatecznie przejąć faktyczną kontrolę w krakowskim getcie, była Żydowska Służba Porządkowa (Jüdischer Ordnungsdienst). Początkowo formacja składała się z 40 uzbrojonych w gumowe pałki osób. Jej funkcjonariusze, nazywani odemanami, podobnie jak członkowie Judenratu, w Krakowie nie pobierali wynagrodzenia. Służba zapewniała jednak liczne przywileje, możliwość brania łapówek, a przede wszystkim często złudną nadzieję na ochronę siebie i najbliższych. Podobnie jak w przypadku Judenratu początkowo do służby zgłaszali się ludzie cieszący się dobrą opinią. Pierwszym szefem żydowskiej policji w Krakowie był Aleksander Choczner, były kapitan Wojska Polskiego. Zastąpił go Józef Ringiel, człowiek honorowy, który wykazał się niezwykłą postawą. Zrezygnował z funkcji, gdy władze okupacyjne zaczęły wykorzystywać ŻSP w pierwszych masowych akcjach przesiedleń i konfiskaty mienia w 1940 r. „Udział policjantów żydowskich przy wspomnianych wysiedleniach był co prawda minimalny, jednak Ringiel nie chciał być może przekroczyć progu jawnej kolaboracji z okupantem. Nie chciał więc wzmocnić swojej pozycji w ŻSP czy Radzie Żydowskiej ani wzbogacić się kosztem innych Żydów” – pisze Alicja Jarkowska-Natkaniec w książce „Wymuszona współpraca czy zdrada?”.

Zbrodnia

Podobnych skrupułów nie miał Symche Spira, jedna z najgorszych postaci w całej historii polskich Żydów. W przeciwieństwie do swoich poprzedników był człowiekiem prymitywnym, pozbawionym wszelkich zasad. Nie wiadomo, czy jego wybór na szefa policji w getcie był okrutnym żartem Niemców, czy liczone na jego bezwzględne oddanie i ślepe wykonywanie rozkazów. Spira wcześniej był bowiem pracownikiem porządkowym zajmującym się m.in. sprzątaniami budynku Judenratu. Ukończył zaledwie szkołę podstawową, z zawodu był szklarzem i malarzem pokojowym. Półanalfabeta, który nie potrafił mówić dobrze ani po polsku, ani po niemiecku. Jego słownic-

two stało się powszechnym obiektem żartów. Powtarzano sobie jego słowa: „Mam córkę w osiemnastym wieku”, „Ja mam chorego członka w Podgórzu, muszę zawołać lekarza, żeby był konsulat”. Nienawidził ludzi wykształconych, kłócił się przy każdej okazji z kolejnymi szefami rady, nawet z Gutterem. W odróżnieniu od poprzedników i członków Judenratu nie był zasymilowanym Żydem. „Spira był przedtem wierzącym Żydem, chasydem o długich pejsach. Jakim sposobem ten człowiek dostał się do władzy – pozostało nie zawsze tajemnicą. Znamienne było przeobrażenie tego człowieka. Chodził po getcie ze szpicrutą, w niemieckich butach, w czapce z żółtym otokiem [...]. Starał się naśladować Niemców w swoim sposobie zachowania” – wspominał Jakub Halpern (cytat za A. Jarkowską-Nataniec).

Jeszcze bardziej dosadnie charakteryzował go Tadeusz Pankiewicz w swoich wspomnieniach „Apteka w getcie krakowskim”: „Człowiek ten, ślepo Niemcom oddany, wykonuje z największą dokładnością każdy ich rozkaz, każde zlecenie, odgaduje i uprzedza ich myśli, wyprzedza ich w gorliwości i imponuje im swym niemyśleniem i niepytaniem się o nic. Rozkaz jest dla niego wszystkim, poza nim nic go nie interesuje. Symche Spira to megaloman i fantasta, klasyczny przykład patologicznego psychopaty, neurastenika, wątrobowieca, ulegający częstym atakom kamicy, erotoman, węszący



za coraz nowymi, łatwymi przygodami miłosnymi, na pół analfabeta. Egocentryk, człowiek maszyna, bezmyślny robot, idący po wytycznej przez gestapowców jak zahipnotyzowany”.

Nasilenie się represji, szczególnie pierwsze egzekucje i przesiedlenia do obozów, było punktem zwrotnym w historii krakowskiej policji żydowskiej. Odemani zmuszani do zabijania innych Żydów masowo rezygnowali, inni



popadali w alkoholizm i dostosowywali się do jeszcze większej brutalizacji życia. Z czasem część funkcjonariuszy przeniesiono m.in. do pełnienia funkcji w obozie w Płaszowie, do którego wysyłano Żydów z krakowskiego getta. Na ich miejsce nie brakowało jednak chętnych. Policjantów z zasadami moralnymi zastępowali ludzie zdegenerowani, a także Żydzi doprowadzeni do ostateczności, próbujący za wszelką cenę ratować swoje rodziny. Policja zaczęła przekształcać się w bandę sadystów, gorliwie wykonujących wszelkie rozkazy. Im gorsza była sytuacja Żydów, tym gorsi zwyrodnialcy pojawiali się u boku Spiry. W formacji, liczącej na tym etapie już 130 osób, nadal służyli również ludzie przyzwyczajeni, pomagający przetrwać i ratujący innych Żydów.

Według relacji Pankiewicza funkcjonariuszem zostać mógł niemal każdy. Decydował o tym sam Spira. Wystarczyło umieć zameldować się donośnym głosem po polsku i po niemiecku. Pod dowództwem Spiry ŻSP zamieniła się w formację groźniejszą dla ukrywających się Żydów niż SS i gestapo. Niemcy nie byli w stanie odnaleźć wszystkich przebywających nielegalnie w getcie Żydów, którzy zgodnie z rozporządzeniem okupanta powinni trafić do obozów. Według różnych szacunków, dzięki gorliwości Spiry i jego odemianów, którzy znali getto znacznie lepiej od Niemców, schwytano i wysłano na śmierć nawet do 400 osób. Obiecywali ukrywającym się pomoc, aby wywabić z kryjówek ich rodziny, wyłudzać łapówki i pomagali swoim niemieckim mocodawcom w grabieniu żydowskiego mienia. Dzięki dochodom przynoszonym z rabunku byli dla Niemców cenniejsi niż Judenrat.

Kara

Niektórym odemianom służba pozwoliła odroczyć termin wywiezienia do obozów, a nawet uciec lub uratować najbliższych. Gra na czas była dla większości ludzi w getcie jedynym możliwym rozwiązaniem. Panowało bowiem powszechne przekonanie, że Niemcy w końcu przegrają wojnę, Żydzi długo nie wiedzieli również, dokąd trafiają

transporty z „przesiedlanymi”. Większość funkcjonariuszy spotkał jednak ten sam los co inne ofiary. Po likwidacji getta i przeniesieniu Żydów do Płaszowa część odemianów stała się zbędna. Zostali zamordowani w obozie. Dla wielu nagrodą była godna śmierć dla ich rodzin. Bliscy mogli umrzeć w spokoju, bez poniżania i salw śmiechu Niemców.

Tak było w przypadku odemana Immerglucka, który osobiście odprowadzał swoją matkę na śmierć. Była to nagroda za sumienną służbę. „Okrywa ją pleciem, daje ostatnie wskazówki na drogę, przytula i gładzi po włosach – wspominał Pankiewicz. – Scena pożegnania – długi, niekończący się pocałunek, pełne łez oczy syna i bezgraniczna trwoga w oczach matki. Gdy powolnym krokiem opuszczał plac, ona stała jak wryta, jak posąg z wyciągniętą ręką, jakby chciała go jeszcze zatrzymać, jeszcze raz uściśnąć. Obok stali Niemcy, tym razem jakoś nie śmiali się. W kilka godzin później syn sam ją rozbierał i własnoręcznie przynosił jeszcze ciepłe zwłoki na platformę zabierającą pomordowanych. Nie wysłano jej na wysiedlenie, lecz zabito na miejscu”.

Spira został rozstrzelany w obozie w Płaszowie, po likwidacji getta, podobnie jak 40 innych odemianów, których nie zdecydowano się dalej wykorzystywać. Byli niewygodnymi świadkami zbrodni i rabunku mienia żydowskiego, które formalnie powinno trafić do SS. Ich los podzielił również ostatni szef Judenratu – Dawid Gutter, zamordowany razem z żoną i trojgiem dzieci w wieku siedmiu, pięciu i dwóch lat. To samo spotkało także słynące z okrucieństwa małżeństwo Chilowiczów – asystujących Amonowi Göthowi w terroryzowaniu więźniów obozu w Płaszowie. Göth, zabijając bliskich współpracowników, chciał ukryć prowadzoną na szeroką skalę grabież i liczne morderstwa Żydów, które były

nielegalne nawet w świetle prawa III Rzeszy.

Zaskakująco wojna zakończyła się za to dla Marcela Goldberga, prawej ręki drugiego komendanta obozu w Płaszowie Josefa Müllera. Zbrodniarz, który słynął z „traktowania więźniów gorzej niż esesmani”, mógł być pewien, że po wojnie zostanie skazany. Miał jednak

szczęście. W październiku 1944 r. zwrócił się do niego Oskar Schindler, który otrzymał pozwolenie na przeniesienie tysiąca więźniów z Płaszowa do Brännlitz. Nie dysponował jednak danymi ludźmi, których mógłby umieścić na liście. Przygotował ją dla niego właśnie Goldberg. „Wśród nich znalazło się 60 porządkowych z rodzinami, w tym ci najbardziej niebezpieczni: Kerner, Maks Zimmermann, Gross czy sam Goldberg” – pisze Alicja Jarkowska-Natkaniec. Za wpisanie na listę Goldberg pobierał opłaty. Ludzkie życie wycenił na 100 dol. W nowym obozie doczekał do wyzwolenia, a następnie uciekł do Johannesburga lub Caracas.

Odemianów, którzy przeżyli wojnę i pozostali w Polsce, stawiano przed sądem. Za współpracę z okupantem sędziowano 44 osoby żydowskiego pochodzenia. Skazano 30 z nich, co trzecia usłyszała wyrok śmierci. Dwa z nich z pewnością wykonano, los pozostałych skazanych nie został ustalony.

Wyroki za współpracę z Niemcami wydawał również Sąd Społeczny przy Centralnej Komisji Żydów Polskich. Wobec osób, które dopuściły się szczególnych zbrodni, orzekano wykluczenie ze społeczności żydowskiej. W uzasadnieniu jednego z wyroków czytamy: „Sąd wziął również pod uwagę, że oskarżony jest Żydem, który znęcał się nad swoimi współwięźniami Żydami, w okresie najtragiczniejszym dla tego narodu i że cios zadany maltretowanemu Żydowi przez Żyda był bardziej bolesny od ciosu Niemca, bo zadawał i ból moralny”. Taki też był cel Niemców. Wykorzystanie w Zagładzie Żydów miało być dodatkowym upokorzeniem dla ofiar. Sami odemani również byli ofiarami, ale bez gorliwości niektórych z nich wojnę przetrwaliby więcej ukrywających się Żydów. Spośród ponad 60 tys. Żydów mieszkających w Krakowie wojnę przeżył tysiąc z nich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Strażnicy Pamięci 2018 nagrodzeni



Laureaci VI edycji nagrody Strażnik Pamięci wraz z organizatorami

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Uroczysta gala VI edycji nagrody Strażnik Pamięci odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie. Jednym z gości honorowych był premier Mateusz Morawiecki.

– Główną ideą Strażnika Pamięci jest docenienie tych, dla których ważna jest przeszłość – powiedział na otwarciu gali Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”.

Prezes Rady Ministrów podkreślił w swoim przemówieniu, jak ważne jest nagradzanie tych, którzy najbardziej przyczyniają się do upamiętniania i promocji polskiej historii. – Patriotyzm jest owocem drzewa pamięci. To drzewo jest nam bardzo potrzebne. Dziękuję wszystkim, którzy podlewają to drzewo, dbają o nie – powiedział premier Morawiecki.

W tym roku wyróżnieni zostali:

W kategorii „Mecenas”

- Waldemar Gujski – adwokat,
- Art Media – Galeria Delfiny,
- Jan Białostocki – współtwórca Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”.

Nagroda główna Strażnika Pamięci przypadła w tej kategorii Polskiej Grupie Energetycznej.

W kategorii „Instytucja”

- ambasador Jakub Kumoch i ambasada RP w Bernie – za nagłośnienie akcji polskich dyplomatów, którzy w czasie II wojny światowej nieśli pomoc Żydom,
- Arkadiusz Gołębiewski – organizator Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”,
- Centrum Historii „Zajeżdźnia” z Wrocławia,
- Wydawnictwo Glaukopis.

Nagrodę główną Strażnika Pamięci odebrał w tej kategorii Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej.

W kategorii „Twórca”

- Tadeusz Płużański – publicysta historyczny,
- prof. Robert Frost – szkocki historyk, autor książki „Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej”,
- Denis Delić – reżyser filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”,
- Stanisław Srokowski – pisarz kultywujący pamięć o Kresach.

W kategorii „Twórca” nagroda główna Strażnika Pamięci trafiła w ręce prof. Marka Jana Chodakiewicza.

Nagrodę specjalną z rąk ministra środowiska Henryka Kowalczyka odebrały Lasy Państwowe.

Piotr Włoczyk

Patronat honorowy



Partner strategiczny



Sponsor



Współorganizator



Patronat medialny

Partnerzy





Abdelbaset al-Megrahi,
główny oskarżony

FOT. GETTY IMAGES

1988 r. / Bomba na pokładzie boeinga 747

Zagadka Lockerbie



Teresa Stylińska

Po 30 latach wciąż nie ma pewności, czy skazany na dożywocie Libijczyk podłożył bombę w samolocie Pan Am

Straszne obrazy katastrof lotniczych zawsze zapadają w pamięć, ale nawet w tak specyficznej kategorii te fotografie są wyjątkowe. Oto miasteczko, wzdłuż ulic niewielkie, charakterystyczne dla brytyjskiej prowincji domy, a na nich i wśród nich szczątki samolotu – fragmenty kadłuba, splątane kable, powyginane blachy wbite w ziemię. Płonące budynki, strażacy próbujący ugasić płomienie.

Tak wyglądało Lockerbie w południowej Szkocji, tuż przy granicy z Anglią, 21 grudnia 1988 r., gdy z wysokości blisko 10 km runął na nie boeing 747

amerykańskich linii lotniczych Pan Am. Spadł, wspominają świadkowie, jak ogromna ognista kula. A miało co płonąć. Samolot miał w zbiornikach tony paliwa, bo w długą podróż do Nowego Jorku wystartował z londyńskiego lotniska Heathrow zaledwie 38 min wcześniej. W chwili, gdy miał skręcić na zachód, nad Atlantyk, na pokładzie wybuchła bomba, która rozerwała maszynę i spowodowała zapalenie paliwa.

Alan Clements, dziennikarz BBC Scotland, jeden z pierwszych, którzy dotarli na miejsce tragedii, opisywał to na łamach dziennika „Daily Telegraph”: „Ulice płonęły. Wszędzie rozrzucone były szczątki samolotu, kawałki stali powyginanej w różne kształty. W mojej pamięci najmocniej jednak zapisały się odczucia dwójakiego rodzaju. Po pierwsze, zapach – nad miastem unosił się wszechogarniający, słodkawy zapach paliwa lotniczego. Po drugie, spokój – słychać było trzask ognia, ale żadnych syren, żadnych krzyków. Dopiero następnego dnia o świcie, gdy wzeszło słońce, widać było ogrom zniszczeń, jakie spowodował spadający z nieba samolot. Najbardziej poruszył

mnie widok osobistych rzeczy nieszczęśliwych pasażerów: porozrywane walizki, z widocznymi w środku prezentami w świątecznych opakowaniach, leżące przy ciałach egzemplarze Biblii...”.

Brązowa walizka

Heathrow, godz. 18.25: samolot Pan Am, rejs numer 103 do Nowego Jorku, wzbija się w powietrze. O godz. 19 jest już nad Szkocją. O godz. 19.03 potężna eksplozja rozrywa kadłub. Ginie 270 osób – 243 pasażerów, 16 członków załogi i 11 mieszkańców domów, na które spadła płonąca maszyna. Wśród ofiar dominują Amerykanie (179) i Brytyjczycy (31). To największy i najtragiczniejszy w skutkach akt terroru aż do dnia 11 września 2001 r.

Prowadzący śledztwo nie wykluczają, że zapalnik czasowy nastawiono tak, by bomba wybuchła dopiero wtedy, gdy samolot będzie już nad oceanem. To znakomicie utrudniłoby dochodzenie. Stało się jednak inaczej, ślady materialne i dowody nie zniknęły w morzu, ale siła eksplozji i wysokość, na której znajdował się jumbo jet, sprawiły, że jego szczątki zostały rozrzucone na wielkim

obszarze – 845 mil kw., czyli ponad 2 tys. km kw. Mimo to zdołano je zebrać, poskładać i przebadać, i to tak skrupulatnie, że dochodzenie w sprawie Lockerbie uchodzi za majstersztyk, wzór postępowania po katastrofach lotniczych. Co jest tym ciekawsze, że prowadzili je wspólnie partnerzy zupełnie odmiennego kalibru – lokalna policja z Dumfries and Galloway (najmniejsza jednostka policyjna w Wielkiej Brytanii) oraz potężne amerykańskie FBI.

Istotnie, trudno nie podziwiać docieklowości i determinacji śledczych. Rezultatem ich żmudnej pracy było precyzyjne ustalenie, jakiego rodzaju bomba wybuchła w samolocie i gdzie się znajdowała. Jedyna wątpliwość, do dziś nierozwiązana w sposób ostateczny, dotyczy tego, jak dotarła na pokład. Jak się okazało, bombę skonstruowano z semtexu (nic dziwnego, bo to ulubiony materiał wybuchowy terrorystów) i wyposażono w zapalnik czasowy produkcji szwajcarskiej firmy Mebo. Ładunek został włożony do radiomagnetofonu Toshiba, który następnie zawinięto w ubrania i zapakowano do brązowej walizki marki Samsonite.

Bomba, według ustaleń śledczych, odbyła do Lockerbie bardzo długą podróż. Jej początek to maltańskie lotnisko Luqa, gdzie walizkę umieszczono w luku bagażowym maszyny linii Air Malta lecącej do Frankfurtu. Tam została przeładowana do samolotu do Londynu; był to tzw. lot skomunikowany, o numerze 103A, dowożący pasażerów, którzy w Londynie mieli się przesiąść do samolotu Pan Am. Na Heathrow zatem walizkę przeładowano po raz drugi.

Czy tak rzeczywiście było? Tego właśnie do końca nie wiadomo. Jest bowiem możliwe – choć sąd rozpatrujący później sprawę nie wziął tego pod uwagę – że walizka z bombą wcale nie przyleciała z Malty, lecz na Heathrow od razu została załadowana do jumbo jeta. John Bedford, jeden z pracowników obsługi bagażowej, zeznał, że gdy wrócił do pracy po przerwie na herbatę, w kontenerze z bagażami do Nowego Jorku zauważył brązową walizkę, której wcześniej na pewno tam nie było. Inni przesłuchiwanii opowiadali, że pomieszczenia z bagażami na Heathrow nie były należycie strzeżone, a zatem zamachowcy mogli przemycić bombę bez większego trudu. Zdaniem tych, którzy wątpią w rzetelność dochodzenia, te tropy należało potraktować poważnie. Tak się jednak nie stało.

Techniczny, nazwijmy to, aspekt przeprowadzenia zamachu to tylko jeden z wielu wątków wymagających przebadania, w dodatku chyba nie najtrudniejszy. Samolot Pan Am stał się celem ataku w czasie, gdy europejskie grupy terrorystyczne – Czerwone Brygady, RAF, IRA – powoli przymierały się do wygaszenia działalności, za to organizacje bliskowschodnie szalały w najlepsze. Ameryka nadal była wrogiem numer jeden, znienawidzonym „wielkim szatanem”, a Wielka Brytania w tej roli ustępowała jej tylko troszeczkę. Terrorysty nie byłoby jednak skuteczni, gdyby nie korzystali z pomocy wrogich Ameryce krajów regionu – Iraku, Libii, Syrii, Iranu. A one także miały swoje powody. Władze libijskie pały żądzą zemsty za bombardowania Trypolisu i Bengazi przeprowadzone przez Amerykanów wiosną 1986 r. w odwecie za zorganizowany przez Libię parę tygodni wcześniej zamach na zachodniobrytyjską dyskotekę La Belle, gdzie wśród ofiar było wielu żołnierzy amerykańskich. Iran z kolei groził Ameryce srogim odwetem za zestrzelenie przez krążownik „Vincennes”, stacjonujący w Zatoce Perskiej, irańskiego samolotu wiozącego pielgrzymów do Mekki. W następstwie ewidentnej pomyłki – samolot wzięto za nadlatującą rakietę – zginęło 290 osób.

Libijczycy na Malcie

Śledczy poruszali się więc w prawdziwym gąszczu wydarzeń, powiązań,

motywów i interesów. Dodajmy do tego szukanie przyczyny zamachu wśród pasażerów. Czy leciał nim może ktoś, kto mógłby być celem zamachu? Okazało się, że tak. Trop południowoafrykański wiązał się z obecnością Bernta Carlssona, komisarza ONZ ds. Namibii, który leciał do Nowego Jorku na podpisanie porozumienia w sprawie niepodległości tej prowincji. Motyw był, bo w RPA oderwanie Namibii było dla wielu nie do przyjęcia. Na domiar złego delegacja RPA, która miała lecieć tym samym samolotem, zmieniła rezerwację na wcześniejszy rejs tego samego dnia.

Na drugi ślad naprowadziła śledczych obecność czterech agentów CIA, którzy na Bliskim Wschodzie sprawdzali doniesienia, że pracujący na miejscu funkcjonariusze agencji mogą być zamieszani w przemyt narkotyków. Podobno w raporcie mieli ujawnić, jaka jest skala tego procederu. Badanie obu tropów niczego jednak nie dało.

Do ostatecznych konkluzji doprowadziło śledczych przeanalizowanie wszystkiego, co wiązało się z przygotowaniem bomby i dostarczeniem jej na pokład samolotu Pan Am. Stwierdzono przede wszystkim, że ubrania, w które zawinięto radiomagnetofon, zostały kupione na Malcie, a to pociągnęło za sobą kolejne odkrycia. Zeznania Tony'ego Gaudiego, właściciela sklepu z ubraniami, pozwoliły zidentyfikować nabywcę. Okazał się nim Libijczyk Abdelbaset al-Megrahi, agent służb specjalnych odpowiedzialny za kwestie bezpieczeństwa w Libyan Arab Airlines. Jego współpracownikiem był Al-Amin Chalifa Fhimah, szef biura ■



Fragment rozerwanego bombą boeinga 747 FOT. FBI

■ LAA na Malcie. Z racji swej funkcji mógł on swobodnie poruszać się po lotnisku.

Tak oto o zorganizowanie zamachu oskarżona została Libia Muammara Kaddafiego. Jednak choć w 1991 r. w związku z tym nałożono na nią sankcje, to dopiero osiem lat później władze libijskie zgodziły się wydać obu agentów, zastrzegając, że nie mogą oni stanąć przed sądem w Wielkiej Brytanii, ściślej – w Szkocji. Jak ich wobec tego osądzić, wymyślił Robert Black, profesor prawa na uniwersytecie w Edynburgu. Black zaproponował, by proces odbył się na neutralnym gruncie, ale zgodnie z prawem szkockim. Na ów neutralny grunt wybrano dawną bazę wojskową Camp Zeist w Holandii. Tam odbył się proces, który w styczniu 2001 r. zakończył się skazaniem tylko Al-Megrahiego – na dożywocie. Chalifa Fhimah został uniewinniony.

Pomyłka

Od tej chwili jednak wydarzenia zaczęły toczyć się w sposób, jakiego nikt nie był w stanie przewidzieć. Apelację Al-Megrahiego sąd odrzucił, on sam został przewieziony do więzienia w Szkocji i na tym, zgodnie z powszechnymi zasadami, sprawa powinna się była zakończyć. Tymczasem wkrótce potem sąd w Szkocji zgodził się na rozpatrzenie jeszcze jednego odwołania, niedwuznacznie sugerując, że wyrok skazujący może być pomyłką. Zanim doszło do nowego procesu, Al-Megrahi został jednak zwolniony z więzienia z przyczyn humanitarnych i, co więcej, przewieziony do Libii. Cierpiał bowiem na raka prostaty i, zdaniem lekarzy, miał przed sobą nie więcej niż trzy miesiące życia. Ten czas, zdaniem sądu, powinien spędzić z bliskimi.

Tutaj otwiera się bodaj najciekawszy, a na pewno najbardziej tajemniczy rozdział całej tej historii. Zanim jeszcze w sierpniu 2009 r. Al-Megrahi wrócił do Trypolisu, w Wielkiej Brytanii zawiązał się komitet Justice for Megrahi (Sprawiedliwość dla Al-Megrahiego). Jego członkowie nie mają żadnych wątpliwości, że Libijczyk jest niewinny. Skoro tak, konieczne jest wznowienie dochodzenia, znalezienie prawdziwych sprawców i ich



Składanie fragmentów boeinga 747 FOT. WIKIPEDIA

ukaranie. Skazanie człowieka, który z zamachem nie ma nic wspólnego, chroni winnych i urąga pamięci ofiar tragedii.

Komitetu nie stworzyli jednak, jak można by było sądzić, ani przyjaciele, ani mocodawcy Al-Megrahiego. To inicjatywa krewnych brytyjskich ofiar tragedii (Amerykanie nie mają zastrzeżeń do wyroku), a także specjalistów, wśród których jest też prof. Robert Black. Na czele komitetu stoi 80-letni dziś lekarz Jim Swire, który nad Lockerbie stracił córkę Florę. Swire zaoferował część odszkodowania, jakie otrzymał od Libii, na pomoc prawną dla Al-Megrahiego, odwiedzał go zarówno w szkockim więzieniu, jak i przed jego śmiercią w domu w Libii (Al-Megrahi zmarł w 2012 r.). I podkreślał, że nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie był absolutnie przekonany o jego niewinności.

Równie wymowne jest zaangażowanie prof. Blacka. Jako prawnik bardzo krytycznie ocenia wyrok z Camp Zeist, wydany, jak podkreśla, na podstawie bardzo słabych materiałów dowodowych. „Od stu lat nie było w Szkocji równie niechlubnej pomyłki sądowej” – powiedział

dziennikowi „The Scotsman”. Wielu specjalistów zresztą zarzuca sądowi, że dziwnie traktował dowody i zeznania, akceptując jedno (np. to, że Tony Gauci rozpoznał Al-Megrahiego jako nabywcę ubrań, choć mógł się zasugerować jego wcześniej publikowanym

zdjęciem), a lekceważąc na przykład informacje o braku dozoru nad bagażami na Heathrow.

Prawda po latach?

Czy wyrok mógł być pomyłką? Przecież Libia w liście do Rady Bezpieczeństwa ONZ przyznała się do zorganizowania zamachu (choć przy innych okazjach niezmiennie temu zaprzeczała), a rodzinom ofiar wypłaciła wysokie odszkodowanie (łącznie ponad 2 mld dol.). Spekulacje i wyjaśnienia, oparte na przeciekach i sekretach zdradzanych podczas poufnych spotkań, sprowadzają się do stwierdzenia, że obie strony miały w tym istotny interes. Libia – bo pragnęła uzyskać zniesienie sankcji, a droga do tego prowadziła przez uznanie winy za Lockerbie. A USA i Wielka Brytania – bo musiały oszczędzić Iran i Syrię, choć były one najbardziej podejrzane jako patroni najgroźniejszych grup terrorystycznych. Nie można ich było oskarżyć, bo były potrzebne jako przeciwwaga dla saddamskiego Iraku, w którym widziano największe zagrożenie, a w dodatku oskarżenie oznaczałoby wyrok śmierci dla zakładników przetrzymywanych w Libanie przez Hezbollah. A opinia publiczna czekała na znalezienie winnych.

Wśród specjalistów przeważa przekonanie, że sprawcą zamachu mógł być Egipcjanin Mohammed Abu Talb z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny-Dowództwa Generalnego, mieszkający na stałe w Szwecji. Dwa miesiące wcześniej Talb był na Malcie, a podczas rewizji w jego mieszkaniu w Uppsali znaleziono kalendarz, w którym datę 21 grudnia obwiedziono kółkiem. Na Abu Talba jako na sprawcę wskazują również autorzy raportu sporządzonego parę lat temu przez londyńskie biuro śledcze Forensic Investigative Associates. Czy teraz, po 30 latach, da się to jeszcze udowodnić?



Muammar Kaddafi FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Zmarł współpracownik „Historii Do Rzeczy”

Mój Boże, zmarł Tadeusz Kisielewski. Ta wiadomość uderzyła mnie jak cios obuchem. Okazuje się, że nie tylko życie bywa przewrotne. Czasami przewrotna bywa również śmierć.

Kiedy rozmawialiśmy o Nim w gronie wspólnych przyjaciół, żartowaliśmy, że Tadeusz przeżyje nas wszystkich. Mimo poważnej choroby – na którą cierpiał od wielu, wielu lat – Tadeusz Kisielewski szedł przez życie jak czołg. Pisał kolejne książki, artykuły, tryskał pomysłami i energią. Miał tyle planów, projektów.

Żaden z nich nie zostanie już zrealizowany.

Od czego zacząć wspomnienie o panu Tadeuszu? Może od początku. Był rok 2005. A więc – choć trudno w to uwierzyć – szmat czasu. W ręce wpadła mi wówczas książka „Zamach” poświęcona śmierci gen. Władysława Sikorskiego.

Pamiętam, że czytałem ją z wypiekami na twarzy przez całą noc. To była po prostu rewelacja! Śmiałe tezy, mocne, rzeczowe argumenty i wartka, niezwykle wciągająca narracja. Bez nudziarstwa, niezdolności patosu i moralizatorstwa. A więc styl rzadko spotykany u naszych autorów historycznych.

Nic dziwnego, że „Zamach” szturmem zdobył ówczesne listy bestsellerów. A ja kilka dni po przeczytaniu książki siedziałem w pociągu i jechałem do Krakowa na spotkanie z Tadeuszem Kisielewskim. To oczywiście on był autorem „Zamachu”. Spotkaliśmy się w jego mieszkaniu, gdzie przez kilka godzin opowiadał mi o kulisach katastrofy gibraltarskiej.



Pan Tadeusz (1950–2018)

Efektom tego spotkania był wywiad, który ukazał się w „Rzeczpospolitej”. To był początek naszej znajomości. Przez kolejne 13 lat pisaliśmy do siebie, spotykaliśmy się w Krakowie, ja pochłaniałem Jego kolejne książki. „Zabójcy”, „Zatajony Katyń”, „Przesmyk Suwalski” czy najnowsza – „Uwaga! Szpieg”. Ta ostatnia ukazała się raptem kilka tygodni temu...

Jaki był Tadeusz Kisielewski? Przede

wszystkim był świetnym pisarzem. Pan Tadeusz miał to „coś”, co pozwalało mu nawet najcięższe tematy „sprzedawać” szerokiej rzeszy czytelników. I w ten sposób popularyzować historię. Przede wszystkim jednak był dobrym człowiekiem. Kimś, kogo w swobodnej rozmowie określa się na ogół mianem „równego gościa”.

Zawsze życzliwy – nigdy nieprzyjemny ani agresywny. Zawsze otwarty na cudze po-

glądy i nowe hipotezy. Zawsze chętny do dzielenia się swoim doświadczeniem i materiałami. Niezwykłe wrażenie robił również jego wygląd. Co tu dużo pisać – pan Tadeusz był oryginałem. Przypominał trochę profesora-wynalazcę z serii filmów „Powrót do przyszłości”. Rozwiany siwy włos, okulary w grubych oprawkach, charakterystyczna dżinsowa kurtka i nieodłączna paczka papierosów w kieszeni.

Takiego go zapamiętałem. Stoi przed budynkiem Uniwersytetu Jagiellońskiego i – otoczony grupką fanów – spiera się o jakiś arcyważny szczegół katastrofy gibraltarskiej. Sypie nazwiskami, cyframi, wylicza trajektorię lotu... Ludzie stoją zasłuchani. Gibraltarc. To była sprawa, której poświęcił się całym sercem. To była sprawa jego życia.

Nie da się przecenić olbrzymich zasług Tadeusza Kisielewskiego dla wyjaśnienia katastrofy z 1943 r. To dzięki jego książkom polskie władze zdecydowały się na wznowienie śledztwa, ekshumację Sikorskiego i kilku innych pasażerów liberatora.

Tadeusz Kisielewski nie żyje. Ja straciłem ważną dla siebie osobę, a polski rynek książki historycznej jednego z najlepszych autorów. Czytelnicy „Historii Do Rzeczy” już nigdy nie przeczytają Jego artykułu. Ja nigdy nie dostanę e-maila zaczynającego się od sakramentalnego „Panie Piotrze”, pisanego wściekle błękitną czcionką.

Wraz ze śmiercią Tadeusza Kisielewskiego powstała wyrwa, która nigdy nie zostanie wypełniona.

Świeć, Panie, nad Jego duszą.

Piotr Zychowicz

FOT. DOM WYDAWNICTWA REBIS



XX w. / Żołnierze, pisarze, naukowcy

Dramat rodu Wysłouchów



Mikołaj Iwanow

/ Tragedia września 1939 r. składała się z wielu rodzinnych dramatów. Jednym z nich były losy rodziny Wysłouchów

Przez dzisiejszą niepodległą Białoruś prowadzą szlaki turystyczne, na których znajdują się polskie pałace i dwory, pomniki i osierocone często cmentarze. Ziemia białoruska to ojczyzna Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Stanisława Moniuszki i wielu innych wybitnych Polaków. Gdyby ktoś przekroczył

polsko-białorską granicę w Brześciu i udał się starym jeszcze wielkoleśnym traktem do Pińska, mniej więcej sześćdziesiąt parę kilometrów dalej spotka przydrożną informację: „Majątek rodzinny Wysłouchów”. W miasteczku Pirkowicze znajdowała się posiadłość tego rodu. Miejscowi białoruscy krajoznawcy urządzili w ocalałym domu rodzinnym Wysłouchów skromne muzeum, upamięt-

niające dzieje tej rodziny, głęboko świadomego swego kresowego rodowodu oraz bliskich związków z narodem białoruskim.

Rod Wysłouchów herbu Odyniec był jednym z najstarszych rodów litewskich na Polesiu. Jego drzewo genealogiczne sięga XVI w. Opis wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego z roku 1528 w rejestrze bojarów Kobryńskich wymienia dwóch Wysłouchów: Szymka i Jana. Wielu przedstawicieli tego rodu odegrało znaczącą rolę w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony. Rodzina Wysłouchów była znana na Polesiu ze swej wyjątkowej postawy patriotycznej, co nie przeszkadzało w utrzymywaniu bardzo dobrych stosunków z chłopami bia-

łoruskimi. Antoni Wysłouch i jego trzech bracia brali udział w powstaniu styczniowym. Walczyli w oddziale Romualda Traugutta, co spowodowało zesłania i konfiskatę dwóch majątków. Ocalały jedynie Pirkowicze. Wychowywano tam pieczołowicie dzieci w duchu patriotyzmu polskiego. W Pirkowiczach bywali Romuald Traugutt i Eliza Orzeszkowa, z którymi przyjaźnili się Teofil i Antoni Wysłouchowie.

W roku 1917 Pirkowicze znajdowały się pod okupacją niemiecką. Wichura wydarzeń wojennych i rewolucji bolszewickiej boleśnie dotknęła również rodziny Wysłouchów. Jej część przewrót bolszewicki zastał w Kijowie, dokąd wyjechała w ramach ewakuacji przeprowadzonej przez wojska carskie.

Dwór Wysłouchów w Pirkowiczach

FOT. DWORYPOGRANICZA.PL



Rewolucja bolszewicka rozdzieliła dużą wielodzietną (ośmiu synów i córka) rodzinę Antoniego i Seweryny Wysłouchów. Jeden z braci (Witold – najstarszy) pozostał w bolszewickiej Rosji i do Polski już nigdy nie wrócił. Całe długie życie (zmarł w wieku 92 lat) przeżył jako nauczyciel wiejski na Ukrainie. Antoni zginął w walce przeciwko bolszewikom jako kapitan w I Korpusie Polskim pod dowództwem gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Czterech innych braci (Franciszek, Seweryn, Stanisław i Bernard) walczyło w wojsku polskim przeciwko Armii Czerwonej.

Wszystkie dzieci Antoniego i Seweryny Wysłouchów były niezwykle uzdolnione i zapisały się trwale w historii

Polski oraz Białorusi, jako pisarze, nauczyciele, organizatorzy oświaty, inżynierowie i naukowcy. Szczególnie owocnie rodzina Wysłouchów pracowała na rzecz budowy niepodległego państwa polskiego w okresie międzywojennym, co ściągnęło na nią represje po upadku II Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r.

W szponach NKWD

Antoni Wysłouch, mimo obaw rodziny o jego życie, nie opuścił Pirkowicz po nadejściu Armii Czerwonej we wrześniu 1939 r. Chociaż miał podstawy, aby obawiać się bolszewików, z którymi zetknął się w czasie wojny polsko-sowieckiej lat 1919–1920. W II Rzeczypospolitej był bowiem aktywnym politykiem, posłem na Sejm, działaczem samorządowym. Znany był z patriotycznej postawy.

Początkowo wydawało się, że obawy były bezpodstawne. Antoni przetrwał zimę 1939/1940 utrzymywany przez chłopów. Jednak na wiosnę został wywieziony przez NKWD i ślad po nim zaginął. Małgorzata Szejnert pisała, że po wejściu do Pirkowicz Armii Czerwonej oficer polityczny Armii Czerwonej zwołał zebranie chłopskie, na którym postawił pytanie: Co zrobić z „pomieszczykiem” (ziemianinem)? Odpowiedź była jednoznaczna. Zostawić go w spokoju, bo nikt nigdy na wsi nie doznał od niego żadnej krzywdy. Dlatego komuniści początkowo nie odważyli się represjonować Antoniego. Aresztowało go dopiero kilka miesięcy później NKWD, podczas jednej z fałszywych deportacji Polaków na Sybir.

Bernard, syn Antoniego, również zginął w katowniach NKWD. Aresztowany został

w Orsie na Wileńszczyźnie, gdzie był kierownikiem słynnej na całe Kresy Wschodnie szkoły rolniczej. Sprawa okoliczności jego śmierci do dziś nie jest wyjaśniona. Prawdopodobnie jego nazwisko musi znajdować na tzw. liście białoruskiej, zawierającej do 6,5 tys. nazwisk osób skazanych na śmierć w ramach akcji katyńskiej i rozstrzelanych w Kuropatach. Do tej listy do dziś polscy, a także białoruscy badacze nie mają dostępu. Władze zarówno białoruskie, jak i rosyjskie zaprzeczają, że taka lista istniała.

Los trzech innych synów Antoniego Wysłoucha był

raczej szczęśliwy. Franciszek Wysłouch walczył w kampanii wrześniowej w szeregach Wojska Polskiego. Internowano go na Łotwie po zakończeniu działań wojennych, skąd po dwóch miesiącach uciekł do formującej się armii polskiej we Francji. Był dowódcą konwoju statków przewożących broń do Persji, szefem sztabu Ośrodka Zapasowego Armii Polskiej na Wschodzie. W szeregach II Korpusu gen. Władysława Andersa walczył pod Monte Cassino. Po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii. Do polskiej literatury wszedł jako „kronikarz poleski”, autor wspaniałych utworów:



Seweryn Wysłouch z żoną, lata 30. XX w. FOT. ARCHIWUM AUTORA

„Opowiadań poleskich” (1968), „Na ścieżkach Polesia” (1975) i „Ech Polesia” (1979). Mimo upływu lat książki te nie straciły na wartości. W latach 2012–2013 zostały wznowione przez wydawnictwo LTW. Część z nich wydano również na Białorusi ze względu na ich wartość poznawczą i historyczną.

Stanisław Wysłouch był ostatnim gospodarzem Pirkowicz. Udało mu się wydostać z terenów okupowanych przez Armię Czerwoną. Po wojnie był wieloletnim zasłużonym pracownikiem Instytutu Ekonomiki Rolnej w Warszawie. Żył 90 lat. W latach 80. napisał kronikę rodzinną, która stanowi wyjątkowo cenne źródło informacji dla dzisiejszego pokolenia członków rodziny, a także dla naukowców zarówno w Polsce, jak i na Białorusi.

Rzecznik Białorusinów

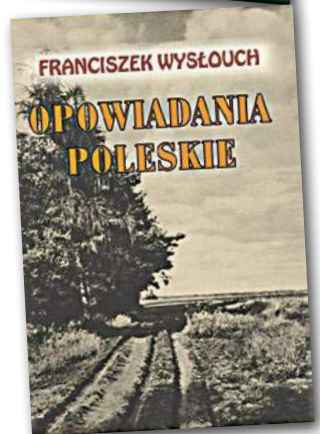
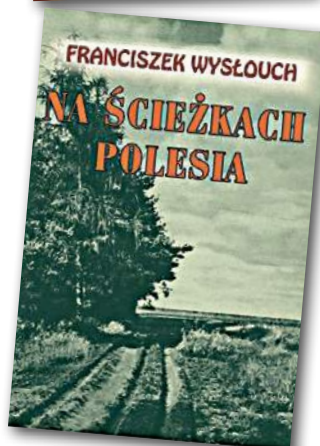
Ledwo uszedł z życia syn Antoniego – Seweryn Wysłouch. Od połowy lat 20. mieszkał w Wilnie. Zrobił tam błyskotliwą karierę naukową i polityczną. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną, jako aktywny polityk, radny Wilna, jeden z działaczy partii demokratycznej, znalazł się na celowniku sowieckich służb specjalnych. NKWD poszukiwało go również jako rzekomego współpracownika II Oddziału Sztabu Głównego. Seweryn Wysłouch był wicedyrektorem Instytutu Spraw Narodowościowych, finansowanego częściowo ze środków Ministerstwa Spraw Wojskowych. Wśród absolwentów tego instytutu było wielu oficerów Korpusu Ochrony Pogranicza i II Oddziału.

Szczególne zainteresowanie sowieckich służb specjalnych osobą wileńskiego uni-

wersyteckiego naukowca nie było przypadkowe. Uosabiał sobą i swoimi pracami pomysł realizacji białoruskiej idei w sojuszu z Polską. W swoich pracach pokazywał zgubność dla Białorusinów rozwoju tożsamości narodowej na podstawie idei komunistycznych. Próbował wypracować skuteczne metody tworzenia polsko-białoruskiej współpracy.

W NKWD z pewnością wiedziano, że Seweryn Wysłouch w drugiej połowie lat 30. pracował na polecenie rządu nad nową koncepcją polityki polskiej w sprawie białoruskiej. Przygotowywał swą pracę nie do publikacji, lecz dla użytku wewnętrznego Rady Ministrów. Seweryn Wysłouch niewątpliwie był polskim patriotą i sumiennym badaczem. Nie ukrywał swojego credo politycznego, polegającego na wspólnocie losów Polaków i Białorusinów, rdzennych mieszkańców wschodnich województw II Rzeczypospolitej, na nieodłączności Kresów Wschodnich od Polski. Uważał, że droga do takiej wspólnoty musi prowadzić przez poszanowanie praw obywatelskich Białorusinów, ich całkowite równouprawnienie i traktowanie jako równorzędnych partnerów w budowie niepodległej Rzeczypospolitej wielu narodów. Wybór między wspólnym z Polakami państwem a niepodległą Białorusią miał należeć do samych Białorusinów.

Będąc czynnym politykiem, Seweryn Wysłouch aktywnie i skutecznie pomagał organizacjom białoruskim w Wilnie, wspierał Białorusinów w obrocie ich kultury, szkolnictwa i rozumiał jak mało kto w Polsce ich dążenia do uświadomienia narodowego. Twierdził, że zagwarantowanie Białorusinom elementarnych swobód obywatelskich przez władze



łamach regularnie pojawiały się jego komentarze, głównie dotyczące stosunków narodowościowych w II Rzeczypospolitej. Nie tylko jednak one. Już pod koniec lat 20. Wysłoucha coraz bardziej zajmowało badanie systemu totalitarnego Związku Sowieckiego i istoty stalinizmu. Jego komentarze oraz artykuły prasowe na ten temat nie pozostawiają wątpliwości co do jego zdecydowanie antykomunistycznych poglądów. Jest to warte podkreślenia, gdyż prasa endecka nieraz oskarżała go o sympatie prokomunistyczne, a nawet o współpracę z komunistami.

W rzeczywistości podstawą podobnych oskarżeń był krytyczny stosunek Wysłoucha do polskiej polityki narodowościowej, która spychała białoruski ruch narodowy w II Rzeczypospolitej w objęcia komunistów. Tej tematyce Seweryn Wysłouch poświęcił jedną z pierwszych publikacji sowiektologicznych pt. „Rola Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi w ruchu narodowym Białorusinów w Polsce”. Książka ukazała się w 1932 r. i do dziś nie straciła wartości poznawczej i naukowej.

Unikatowość postawy Seweryna Wysłoucha polegała przede wszystkim na tym, że w jego politycznym credo harmonijnie współistniały antykomunizm i probiałoruskość. Dla Polski międzywojennej charakterystyczne zaś było to, że prawie zawsze antykomunizm i antybiałoruskość szły w parze. Dla Wysłoucha i stosunkowo nielicznej grupy polskiej inteligencji wileńskiej, skupionej wokół Stefana Ehrenkreutza (dwukrotnego senatora i ostatniego rektora Uniwersytetu Stefana Batorego), do której należał Wysłouch, polska racja stanu i zapewne nie Białorusinom wszystkich swobód obywatelskich były

II Rzeczypospolitej może się stać najbardziej skuteczną bronią przeciwko wzrostowi nastrojów prokomunistycznych na wsi białoruskiej. Znamienne jest również to, że NKWD, poszukując Wysłoucha w Wilnie w latach 1939 i 1940, nie bez podstaw traktowało jego poglądy na sprawę białoruską jako o wiele bardziej niebezpieczne dla komunistów niż otwarcie białoruskofobiczne poglądy niektórych polskich skrajnych narodowców.

Wysłouch stał się jednym z czołowych publicystów wileńskiej liberalnej gazety „Kurier Wileński”. Na jej

pojęciami nierozzerwalnymi. Wysłouch niejednokrotnie pisał, że komunizm jest niebezpieczny zarówno dla Polaków, jak i dla Białorusinów, a Międzynarodówka Komunistyczna próbuje wykorzystać Białorusinów oraz ich dążenia niepodległościowe do destabilizacji Polski.

Dwaj przyjaciele

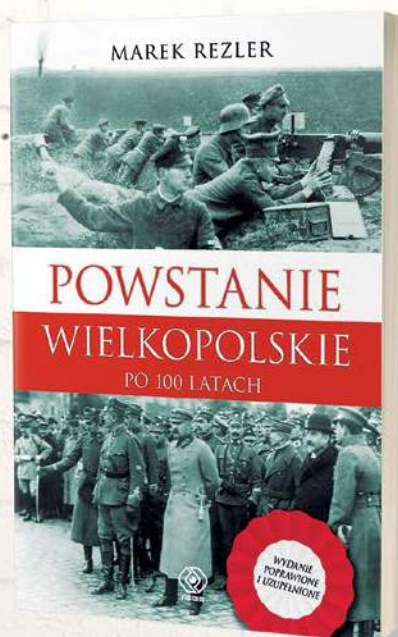
Praca w Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej, wykłady dla studentów szkoły sowietologicznej miały również dla Wysłoucha watek osobisty. Jednym z założycieli instytutu i szkoły był bowiem jego przyjaciel – Stanisław Swianiewicz, wybitny polski naukowiec, sowietolog, badacz gospodarki Rosji sowieckiej, późniejszy jedyny ocalały spośród tych, których przywieziono do Lasu Katyńskiego. Przyjaźń Wysłoucha i Swianiewicza wynikała z sympatii osobistych, lecz przede wszystkim ze zbieżności, a nawet z identyczności poglądów politycznych, w tym również na sprawy narodowościowe. Obaj, będąc szczerymi patriotami, aktywnie zwalczyli skrajne polskie postawy nacjonalistyczne, obaj występowali niejednokrotnie w obronie interesów mniejszości narodowych. Co więcej, nieraz pisywali wspólnie, zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło o rzeczy o zasadniczym znaczeniu dla każdego z nich.

Po ponownym wejściu Armii Czerwonej do Wilna latem 1940 r. NKWD znów szukało Wysłoucha. Musiał wyjechać do niemieckiej strefy okupacyjnej. Osiedł w Kraju Warty (Warthegau) i pracował w majątku Folsz. Był zmuszony na jakiś czas rozłączyć się z żoną, która

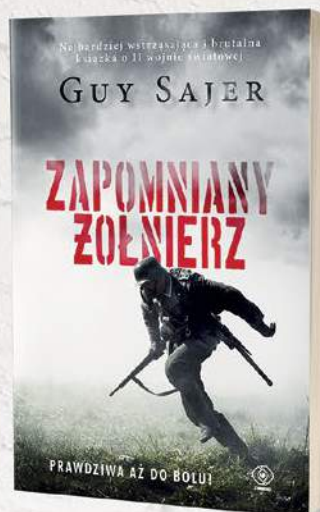
przebywała w Łodzi. Po wojnie Seweryn Wysłouch początkowo zamieszkał w Łodzi, gdzie został zatrudniony na miejscowym uniwersytecie. Do Wrocławia przybył w 1946 r. Był kierownikiem Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego. W latach 1947–1952 piastował funkcję prorektora Uniwersytetu Wrocławskiego, kierownika Zespołu Katedr Historyczno-Prawnych, dziekana Wydziału Prawa w latach 1956–1958. Był współorganizatorem „Wystawy Ziem Odzyskanych i Instytutu Śląskiego” w Opolu. Zmarł przedwcześnie w wieku 68 lat.

Seweryn Wysłouch był jednym z wybitnych przedstawicieli rodziny Wysłouchów, wyróżniającej się na Polesiu akceptacją wielokulturowości, panującą w domu atmosferą intelektualną, przesiąkniętą duchem patriotyzmu polskiego, tolerancji religijnej oraz narodowościowej. Te i inne szlachetne cechy tej rodziny stanowiły główną przyczynę jej tragedii w latach 1939–1941. Władze sowieckie właśnie te cechy uznawały za zagrożenie dla stalinowskiego systemu totalitarnego. Jednocześnie te same cechy pomogły niektórym członkom tej rodziny przeżyć czerwoną nawałę i zapisać się trwale w historii swoją działalnością oraz swymi osiągnięciami. Nowe pokolenie rodziny Wysłouchów z sukcesem kontynuuje tę piękną tradycję. Jako przykład przytoczmy karierę wybitnego współczesnego amerykańskiego i polskiego fizyka Bolesława (Bolka) Wysłoucha, który stoi na czele Katedry Fizyki Jądrowej i Doświadczalnej w czołowej amerykańskiej instytucji naukowej MIT (Massachusetts Institute of Technology).

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Prawdziwy obraz wydarzeń, które obrosły legendą! Nowe, poprawione i uzupełnione wydanie w 100. rocznicę Powstania Wielkopolskiego!



Najbardziej wstrząsająca i brutalna książka o II wojnie światowej. Prawdziwa aż do bólu!



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



FB/DWREBIS



www.rebis.com.pl





Jan Rosen „Bitwa pod Stoczkiem” FOT. WIKIPEDIA

Listopad / Polski żołnierz starozakonnny

Żydzi w powstaniu 1831



Marek Gałęzowski

Walczyli w żydowskich strażach miejskich i pułkach jazdy, odznaczili się jako oficerowie oraz lekarze. Przelewali krew razem z Polakami

Berek Joselewicz, inicjator utworzenia pułku żydowskiego w czasie insurekcji kościuszkowskiej, w Legionach Dąbrowskiego we Włoszech bił się z tym samym feldmarszałkiem Suworowem, który wytracił jego, Berkowych ochotników w rzezi Pragi. Służył dalej pod

rozkazami gen. Karola Kniaziewicza w Legii Naddunajskiej i wziął udział w słynnym zwycięstwie nad Austriakami pod Hohenlinden w 1800 r. Kiedy sześć lat później nastąpił kres ostatków legionowej formacji, chciał wstąpić do armii francuskiej. Usłyszawszy jednak o tworzeniu wojska polskiego w części kraju oswobodzonej spod władzy

pruskiej, rzucił wszystko i wrócił do ojczyzny. Zdążył wziąć udział w walkach 1807 r. z Prusakami i Rosjanami, za co odznaczono go Krzyżem Virtuti Militari. W wojnie Księstwa Warszawskiego z Austrią w 1809 r. był szefem szwadronu 1. Pułku Strzelców Konnych i poległ jako jeden z bohaterów tej wojny pod Kockiem, w walce z huzarami węgierskimi w służbie austriackiej.

Józef – syn Berka

„Oto pierwszy Żyd polski, który pokazał swym współwyznawcom – drogę honoru i dał przykład bohaterskiego oddania w służbie dla Ojczyzny” – pisano w czasopiśmie „Monitor”, kreśląc

jak gdyby testament tego oficera wojska polskiego i pierwszego Żyda odznaczono najwyższym polskim orderem wojennym. Przykład Berka Joselewicza, jakkolwiek w opisanym czasie odosobniony, miał pociągnąć swoim wzorem niemało naśladowców. Po raz pierwszy od upadku Rzeczypospolitej – podczas powstania listopadowego.

Udział Żydów w tym zrywie narodowym kojarzony jest przede wszystkim z rycinami, przedstawiającymi członków pomocniczych formacji wojskowych – Gwardii Narodowej i utworzonych w Warszawie Gwardii Miejskiej Starozakonnych i Straży Bezpieczeństwa. Pierwsza z tych formacji, zorganizowana dopiero 14 sierpnia 1831 r., liczyła 1098 ludzi i wzięła udział w obronie stolicy niespełna trzy tygodnie później. Jednak w czasie powstania Żydzi byli obecni także na polach bitewnych. W każdym pułku liniowym armii polskiej służyło ochotniczo od kilku do kilkunastu obywateli Królestwa Polskiego wyznania mojżeszowego.

Wyróżnili się wśród nich m.in.: Mojżesz Orłowski, Jakow Menachim z 5. pp, Leon Stauman z 5. Pułku Strzelców, por. Samuel Czyż, Rubin Goldberg. Kilku odznaczono *Virtuti Militari* V klasy, m.in. Michała Landaua, wielu – krzyżami za waleczność. Do stopnia generalskiego mianowano płk. Jana Krysińskiego, dawnego legionistę Jana H. Dąbrowskiego, oficera Armii Księstwa Warszawskiego, w 1831 r. komendanta twierdzy w Zamościu. Wiosną odznaczył się on w zwycięskim wypadzie na Uściług, który załoga Zamościa przeprowadziła pod jego komendą, za co otrzymał właśnie wspomniany awans generalski.

W szeregach powstańczych stanął również dziedzic idei płk. Joselewicza – jego jedyny syn – mjr Józef Berkowicz. Był on weteranem wojny z Austriakami 1809 r. i wyprawy Napoleona na Rosję, w korpusie polskim ks. Józefa Poniatowskiego. Rany odniesione w tej ostatniej kampanii okupił kalectwem i koniecznością dymisji z wojska. Przez następne lata pracował w służbie leśnej, lecz kiedy wybuchło powstanie, natychmiast zgłosił do niego akces ze swoim starszym synem, 17-letnim Leonem. Na tym się nie skończyło.

W grudniu 1830 r. Berkowicz ogłosił odezwę do Żydów, wzywając do tworzenia ochotniczych oddziałów powstańczych. Pomysł ten nie spotkał się

z poparciem i doprowadził do konfliktu między Berkowiczem a Nadzorem Bożniczym w Warszawie. Nie jest pewne, na ile niepowodzenie inicjatywy Berkowicza wynikało z jego własnej winy, braku talentów organizacyjnych i braku popularności zarówno wśród Polaków, jak i Żydów, na co zwraca uwagę na podstawie źródeł współczesnych jego biografka, a na ile niedostateczne wsparcie ze strony władz polskich i brak zainteresowania społecznością żydowskiej, co również znajduje potwierdzenie źródłowe. Niemniej w końcu stycznia 1831 r. akcja Berkowicza dała około setki ochotników. Wśród nich pojawia się także nazwisko Józefa Aronowicza. Nie był to jednak chyba ten, który blisko 40 lat wcześniej w czasie insurekcji kościuszkowskiej wraz z Berkiem Joselewiczem zakładał pułk żydowski, a o którym – w przeciwieństwie do Berka – nie wiemy nic.



Tymczasem Józef Berkowicz i zwerbowani przezeń ochotnicy w lipcu 1831 r. uczestniczyli w wyprawie na Litwę w oddziale gen. Samuela Różyckiego. Po walkach z Rosjanami, m.in. pod Drohiczyńcem i Siemiatyczami, gen. Różycki dotarł do Puszczy Białowieskiej, gdzie uznał się za zmuszonego do odwrotu. Berkowicz służył dalej w jego oddziale i wziął udział w zwycięskiej bitwie pod Hłżą na Kielecczyźnie 9 sierpnia, a miesiąc później pod Chotczą Górną i Lipskiem. W końcu września, już po upadku War-

szawy, przeszedł z Różyckim granicę Rzeczypospolitej Krakowskiej, po czym udał się na emigrację do Francji.

Nie zawsze jednak chęć przystąpienia Żydów do powstania spotykała się z pozytywnym odzewem Polaków. Szczególnie negatywną rolę odegrał w tej sprawie minister wojny Franciszek Morawski, który odmówił przyjęcia do wojska grona żydowskich weteranów armii Księstwa Warszawskiego, m.in. Berka Chwata (dziada oficera I Brygady Legionów Polskich Jana Prota), Józefa Wajsbłuma oraz Warszawskiego (imię nieznane). Stanowisko Morawskiego, który był przekonany, że wojsko polskie powinno składać się wyłącznie z Polaków, stało w całkowitej sprzeczności z ideą sformułowaną przez Tadeusza Kościuszkę, który – jak pisała Maria Janion – „przynależność narodową uważał za sprawę lojalności politycznej, a nie języka, pochodzenia etnicznego i religii”. Wszak to szlachetnemu Naczelnikowi skarżył się Berek Joselewicz, kiedy w czasie służby w Legii Naddunajskiej spotkał się ze złym traktowaniem z powodu swojego pochodzenia.

Kawalerowie VM

Najwyżsi stopniem oficerowie Armii Królestwa Polskiego pochodzenia żydowskiego wywodzili się z rodzin frankistowskich, które przyjęły katolicyzm. Wybił się wśród nich gen. Jakub Lewiński z rodziny Levy, która w 1806 r. przeszła na katolicyzm. Weteran napoleoński wstąpił do wojska polskiego w dobie Księstwa Warszawskiego i w stopniu oficerskim uczestniczył w odparciu najazdu Austrii, później zaś w wojnie z Rosją. Za udział w bitwie pod Borodino otrzymał Legię Honorową. Później pod komendą ks. Poniatowskiego bił się pod Lipskiem, odznaczony za męstwo Krzyżem *Virtuti Militari*, a w końcu w obronie Francji w 1814 r.

W czasach Królestwa Polskiego gen. Lewiński był szefem sztabu korpusu jazdy. W powstaniu listopadowym pozostał na tym stanowisku i współpracował z głównym strategiem powstańczym gen. Ignacym Prądzyńskim, który – krytyczny wobec generacji powstania listopadowego – zasługi Lewińskiego dla sprawy powstańczej oceniał bardzo wysoko. W kampanii 1831 r. odznaczył



Juliusz Kossak „Zaarestwowanie szpiega” FOT. ARCHIWUM

■ się w wielu bitwach, m.in. pod Liwcem, po której jego mundur ozdobił kolejny, tym razem Złoty Krzyż Virtuti Militari, pod Nurem i w przegranej pod Ostrołęką, wreszcie został szefem sztabu obrony Warszawy. Należał do nielicznych w dowództwie powstańczym przekonanych zwolenników kontynuowania walki. Po klęsce przeszedł granicę pruską, wkrótce jednak wrócił do kraju, „nie przyjął od rządu carskiego żadnego wsparcia, natomiast uzyskał posadę przy budowie dróg, zapewniającą mu skromną egzystencję” – pisał Tadeusz Godlewski. W następnych latach położył wielkie zasługi w budowie dróg w Królestwie, wspierał finansowo liczne polskie inicjatywy kulturalne, takie jak wydawnictwo Biblioteka Warszawska i Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, w którego założeniu brał udział.

W sędziwym już wieku jeszcze raz odegrał rolę w życiu narodowym. Kiedy po słynnym pogrzebie pięciu poległych w demonstracji patriotycznej w kwietniu 1861 r. władze rosyjskie powołały Delegację Miejską jako autonomiczną władzę warszawską, widzimy w niej tego weterana wojen napoleońskich i powstania 1831 r. Przez pewien czas był nawet wiceprzewodniczącym Delegacji, a Aleksander Wielopolski rozpatrywał ponoć jego kandydaturę na stanowisko szefa resortu spraw wewnętrznych w odnowionej Radzie Stanu Królestwa Polskiego. Upadła ona, ponieważ Lewiński stanowczo domagał się wycofania armii rosyjskiej z Królestwa i utworzenia wojska polskiego. Ustąpił ze wszystkich zajmowanych godności wkrótce po wybuchu powstania styczniowego. Ostatnie lata życia spędził w swoim majątku ziemskim.

W służbie medycznej armii powstańcza listopadowego liczącej 993 osoby było 43 Żydów – m.in. Leon Szancer, odznaczony Virtuti Militari za bitwę pod

Ostrołęką, Wilhelm Wolfson, Jeheskiel Rozbażan, zesłany po klęsce do Kazania, a z młodszych wiekiem Adam Pająk, chirurg, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Lekarze żydowscy szczególnie odznaczyli się podczas największej bitwy powstania pod Olszynką Grochowską w lutym 1831 r. Z pomocą rannym w tej bitwie spieszyli także cywile żydowscy, jak pisano w „Kurierze Porannym”, „chwalebnie przyczyniając się do obsługi rannych”.

Wśród najwyższych stopniem lekarzy Żydów był Filip Lubelski. Ten absolwent uniwersytetu w Jenie w 1808 r. wstąpił do Armii Księstwa Warszawskiego i wziął udział we wszystkich kolejnych kampaniach napoleońskich, za co został odznaczony Legią Honorową, za męstwo zaś w bitwie pod Lipskiem, w której był

ranny – Virtuti Militari. Po upadku Napoleona wrócił z resztkami armii polskiej do kraju i tu do 1827 r. służył jako lekarz w armii Królestwa Polskiego. Po dymisji z wojska praktykował w Płocku. Kiedy wybuchło powstanie, zgłosił się ochotniczo do wojska i w stopniu pułkownika służył do końca walki, za swoje męstwo odznaczony Złotym Krzyżem Virtuti Militari. Mieszkał następnie wiele lat w Warszawie, jako starzec był świadkiem wybuchu powstania styczniowego. We Francji pamiętano o jego zasługach z czasów wojen napoleońskich i siostrzeńiec wielkiego cesarza, Napoleon III, przyznał weteranowi Order św. Heleny i wyznaczył mu pensję 600 franków rocznie. Pułkownik Filip Lubelski, który wyróżniał się wśród warszawskich Żydów tym, że nie nosił brody, zmarł w 1879 r.

Chlubną działalność Lubelskiego kontynuował jego syn Wilhelm Szymon, urodzony rok po klęsce powstania listopadowego. Związany jak ojciec z Warszawą, był wybitnym psychiatrą i higienistą. Od końca lat 50. XIX w. zajmował stanowisko ordynatora oddziału dla obłąkanych kobiet w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Zasłużył się także jako filantrop i społecznik, m.in. pracując w szpitalu dla kalek, starców i sierot, prowadzonym przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Lekarzem był także syn Wilhelma – Alfred, który jednak bardziej zasłynął jako kompozytor i tekściarz, autor piosenek kabaretowych. Z kolei brat Alfreda – Mieczysław – okazał się utalentowanym rzeźbiarzem. Wśród jego dzieł był pomnik Legionisty, wzniesiony przed wojną w Warszawie, a po wojnie, na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii, pomnik ku czci poległych lotników polskich w Northolt. Jego wnuczka, a praprawnuczka Filipa Lubelskiego, została aktorką. To Krystyna Podleska, najbardziej znana ze swojej roli w „Misiu” Stanisława Barei.



Jakub Lewiński, fotografia Karola Beyerla FOT. WIKIPEDIA

„Polak starozakonny”

Na polistopadowym uchodźstwie Żydzi uczestniczyli w inicjatywach politycznych Adama Mickiewicza, który spośród elity Wielkiej Emigracji był chyba najbardziej przekonany zwolennikiem

włączenia ich do walki o niepodległość Rzeczypospolitej. Zwolennikiem współpracy polsko-żydowskiej byli jednak również przywódca demokratycznego odłamu emigracji Joachim Lelewel i lider prawicy – książę Adam J. Czartoryski.

„Gdym do mieszkania Lelewela drzwi otworzył i próg przekroczył, oczom moim takie przedstawiło się widowisko: przed stojącym pod oknem stołem siedział pochylony, grzbietem do mnie zwrócony, siwy staruszek; obok niego stał człowiek w siłę wieku z arkuszem zapisanego papieru w rękę” – wspominał Zygmunt Miłkowski, wiele lat później założyciel Ligi Polskiej. Towarzyszem wybitnego historyka był Ozeasz Ludwik Lubliner. Pochodził z ortodoksyjnej rodziny warszawskich Żydów. W wieku 22 lat, jako student szkoły politechnicznej, wstąpił do wojska. Służył w 9. pp, za męstwo okazane 15 sierpnia 1831 r. pod Paprotnią został mianowany podchorążym, potem bił się w obronie Warszawy w oddziale ppłk. Karola Szlegla, był dwukrotnie ranny i odznaczony srebrnym krzyżem wojskowym. Zadenuncjowany po powstaniu, został uwięziony przez władze rosyjskie, lecz zdołał zbiec do Krakowa. Tam krótko kontynuował studia, ale na żądanie rosyjskie został stamtąd wydany.

Wówczas wyjechał do Francji. Nieprzychylnie nastawienie do niego innych emigrantów w zakładzie w Dijon, dokąd trafił, szydercze podważanie jego udziału w powstaniu zmusiły go do wyjazdu do Brukseli. Tam osiadł na stałe i prowadził praktykę adwokacką. Nie zraził się nie-

chęcią, jakiej doświadczył w Dijon. „Od r. 1835 pochłonięta go całkowicie działalność polityczna na rzecz sprawy polskiej i uregulowania problemu żydowskiego w kraju”, którą prowadził w ścisłym współdziałaniu z Lelewel, a okresowo także z Ludwikiem Mierosławskim.

Lubliner wstąpił do Zjednoczenia Dzieci Ludu Polskiego, był autorem licznych prac w języku francuskich, w których bronił publicznie prawa Polski do niepodległości. Popierał Rząd Narodowy w czasie powstania krakowskiego 1846 r., protestował przeciw pominięciu sprawy polskiej przez kongres paryski zwołany w 1856 r. po zakończeniu wojny krymskiej, piętnował zdarzające się, nieliczne publicystyczne wystąpienia antysemickie w kraju jako prowokację moskiewską, był aktywny w Komitecie belgijsko-polskim wspierającym powstanie styczniowe.

W 32. rocznicę nocy listopadowej, niespełna dwa miesiące przed wybuchem powstania styczniowego, Lubliner opublikował odezwę Do Polaków-Izraelitów w Polsce. Odwołując się do udziału Żydów w demonstracjach patriotycznych, wzywał ich do walki o niepodległość Polski: „Wasz czynny udział w manifestacjach narodowych roku 1861, wspólne wasze wystawienie piersi przeciw bagnetom i kulom moskiewskim na bruku warszawskim, wspólne uwięzienie Żydów w cytadeli, wspólne wywiezienie Żydów na Sybir, te wszystkie wypadki, zupełnie nieprzewidziane, prawie cudowne, skłarżyły nierozłącznym węzłem Polaków-chrześcijan z Polakami-Izraelitami [...]”. Jest to zaiste chlubne dla Żydów, że po-

raz pierwszy zrozumieli, uczyli potrzebę nabycia prawa do tytułu obywatelstwa polskiego, nie wskutek jakiejś uchwały sejmowej, jakiegoś dekretu rządowego, ale przez wystawienie się na prześladowanie, na męczarnie ze strony rządu zaborczego Polski, tego kraju, w którym się rodzą i umierają od wieków”.

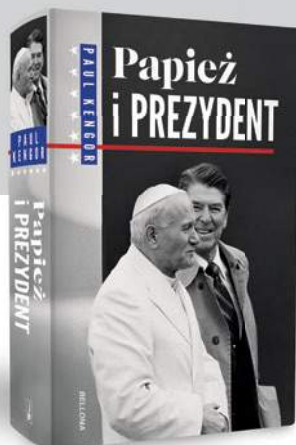
Ludwik Lubliner zmarł cztery lata po styczniowej klęsce. Na jego grobie po mowie miejscowego rabin przemówił Leopold Leon Sawaszkiewicz, powstaniec listopadowy i działacz demokratyczny polskiego uchodźstwa. „Mówił o nim jako o szczerym i gorącym patriocie polskim, który był rzeczywiście zasługującym w zupełności na nazwę »Polaka starozakonnego«. O Polskę walczył, dla Polski pracował. Materie, w których pisał i drukował, sprawy polskiej dotyczyły przeważnie: o konfiskacie majątków w Polsce przez cara Mikołaja I, o prawie międzynarodowym w odniesieniu do Polski, o kwestii żydowskiej [na ziemiach polskich]” – wspominał Miłkowski.

A syn i wnuk Berka Joselewicza? Po klęsce powstania listopadowego i oni emigrowali. Przebywali w zakładzie w Besançon. Podobnie jak Lubliner potraktowani nieprzyjaźnie, nie mając środków do życia, wyjechali wkrótce do Wielkiej Brytanii. Berkowicz zmarł w Liverpoolu w 1846 r., a Leon i jego drugi syn Józef wyjechali do Stanów Zjednoczonych. Nie wiadomo, jakie były ich dalsze losy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

REKLAMA



**Jeden z nich był Polakiem, drugi – Amerykaninem;
jeden – katolikiem, drugi – protestantem;
jeden – przywódcą religijnym, drugi – politycznym.**

*Kengor daje wnikliwy wgląd w kampanię
Reagana prowadzącą do zniszczenia
sowieckiego komunizmu.*

Richard Pipes
amerykański profesor i sowietolog,
długoletni wykładowca Uniwersytetu Harvarda

100 LAT
BELLONA

Wywiad / Z prof. Robertem Frostem,
autorem książki „Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej”



rozmawia Piotr Włoczyk

Rzeczpospolita — historyczny ewenement



Jan Matejko „Unia lubelska” FOT. WIKIPEDIA

Niewiele brakowało, by historia zmieniła bieg. System wielonarodowej Rzeczypospolitej nie był skazany na klęskę

PIOTR WŁOCZYK: Jaką wiedzę o Rzeczypospolitej mają zachodni historycy?

PROF. ROBERT FROST: Niestety, najczęściej do dziś patrzą na nią oczyma historyków rosyjskich i niemieckich, którzy utrwalali swój własny obraz dziejów unii polsko-litewskiej. W Rzeczypospolitej dopatrywali się albo „polskiego imperia- lizmu”, albo „polnische Wirtschaft”, czyli anarchii i chaosu. I dlatego do dziś wśród zachodnich historyków głośnym echem odbija się podejście historyków z Rosji, którzy – w dużym skrócie – twierdzą: „To prawda, że byliśmy imperium, ale Polacy także byli imperialistami. Któreś imperium musiało wygrać, a my po prostu byliśmy bardziej skuteczni”. To próba usprawiedliwiania rozbiorów. Jednym z celów mojej książki jest właśnie zmiana tej optyki.

Nie dostrzega pan w Rzeczypospolitej imperializmu? Część ukraińskich historyków wytyka Polakom, że zachowywali się na wschodzie jak typowi imperialiści.

Unia została wynegocjowana między elitami Polski i Litwy. Oczywiście obie strony kłóciły się o formę i znaczenie tej unii, ale w zasadzie była to unia osiągnięta na zasadzie konsensusu. Nie było więc przemocy ani imperializmu ze strony polskiej. Polscy żołnierze wchodzili na teren Wielkiego Księstwa Litewskiego tylko po to, by walczyć z Tatarami lub Moskalami. Litwini sami nie daliby sobie z nimi rady.

Elita Wielkiego Księstwa Litewskiego miała jasny wybór. Do połowy XVI w. w większości byli to wyznawcy prawosławia, ale nie ciążyli ku carstwu Wszechrusi, które faktycznie było imperium. Woleli wizję zachodnią. Dlaczego? Właśnie dlatego, że nie była imperialna. W unii horodelskiej mówiono o Rzeczypospolitej jako wspólnocie obywateli. To właśnie było atrakcyjne dla elit Wielkiego Księstwa, a nie poddanie się woli despotycznych władców Moskwy.

Ile było równości w tej unii? Polacy mieli silniejszą pozycję niż elity Wielkiego Księstwa



■ Litewskiego, a silni generalnie niezbyt chętnie ustępują.

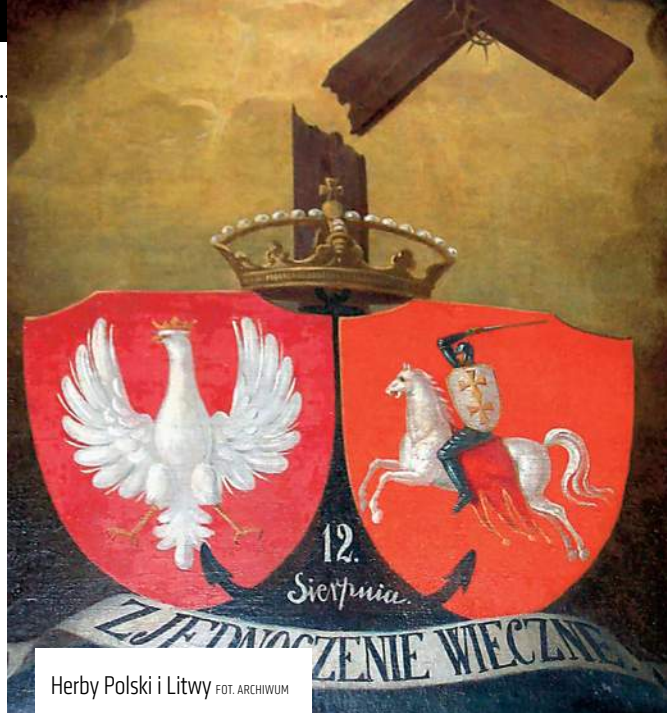
Litwini chcieli zachować odrębność wobec Polski, chcieli być równi w prawach z Polakami i właśnie to dostali w unii zawartej w 1569 r. w Lublinie. To było dla nich bardzo ważne i od tego momentu można mówić o równości obu stron, przynajmniej w teorii. Trzeba jednak przyznać, że Polacy wcześniej – od unii w Krewie aż do unii lubelskiej – generalnie zachowywali się w stosunku do Litwinów w sposób dość arogancki. W zasadzie uważali, że Litwa została wcielona do Królestwa Polskiego.

Sprawa rozbijała się o jedno słowo.

Zastosowanie słowa „inkorporacja” było przedmiotem ożywionych dyskusji i dochodziło na tym tle do napięć. Polacy przez półtora wieku rozumieli to słowo tak, że Wielkie Księstwo Litewskie zostało częścią Królestwa Polski jako jego prowincja. Litwini oczywiście przeciwstawiali się tej interpretacji. To podejście widać w zapiskach przedstawicieli polskich elit. Nie ulega wątpliwości, że z góry patrzył na Litwinów m.in. Jan Długosz.

Litwini jednak szybko się uczyli radzenia sobie z silniejszym partnerem i w ciągu XV w. ten system coraz bardziej szedł w stronę konsensualną – „Nic o nas bez nas”. To był system zorganizowany od dołu. Od połowy XV w. sejmiki znały coraz więcej. Gdy Kazimierz Jagiełłończyk chciał – po statutach cerekwiko-nieszawskich – mieć więcej wojska, musiał już pytać o to sejmiki ziemskie. Ten system przekazywania władzy w dół bardzo odpowiadał Litwinom, którzy czuli się dzięki temu lepiej zabezpieczeni przed dominacją silniejszej strony. Szczególnie po roku 1566, kiedy Litwini stworzyli swoje własne sejmiki na wzór polski.

Unia zbudowana była na zgodzie, bo przecież ile tam było traktatów unijnych? Krewa, Horodło, Radom, Wilno, Mielnik, Lublin. Za każdym razem zgoda na życie w jednym organizmie państwowym była ponawiana. Kto inny tak robił w Europie czy nawet na świecie w tamtych czasach?



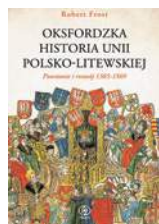
Tylko że partnerzy Polaków w unii widzieli w takim związku duże niebezpieczeństwo...

Tak, do dziś niektórzy historycy litewscy, ukraińscy i białoruscy mówią: „Polacy ukradli naszą elitę”. Chodzi oczywiście o proces polonizacji. Nawet Ostrogscy, słynny kniaziowski ród, na początku XVII w. zostali katolikami. Dlaczego? Z kilku powodów. Po pierwsze, kwestia języka. Litewski nie był wówczas językiem pisanym. Od dawna więc językiem prawa i polityki wśród elit WKL był język ruski. Już w XVI w. jasne było jednak, że język ten używany w prawie był niepraktyczny na tle języka polskiego, który cały czas żywo się rozwijał. Język polski był po prostu dużo bardziej użyteczny w kwestiach prawnych i politycznych, był to także język dworski Jagiellonów, więc siłą rzeczy był to język literacki.

W szkołach Wielkiego Księstwa Litewskiego przestano uczyć pisać po rusku, a zaczęto uczyć po polsku właśnie z uwagi na żywotność tego języka. W unii bardzo praktycznie jest mieć wspólny język.

Szkoci i Anglicy coś o tym wiedzą.

Właśnie. Od początku XVII w. w księgach grodzkich i ziemskich w Wielkim Księstwie Litewskim polszczyzna



ROBERT FROST
„OKS福德ZKA HISTORIA UNII
POLSKO-LITEWSKIEJ”

REBIS

zaczyna coraz bardziej dominować. W połowie XVII w. już prawie wszystko jest pisane po polsku. To był wybór elity. Na początku magnaci wybrali język polski, potem średnia szlachta, a na końcu nawet najbiedniejszy szlachetka.

Czy to jednak znaczy, że zostali Polakami? Cały czas podając ten przykład: moim ojczystym językiem jest angielski, ale nie jestem Anglikiem. Jestem Szkotem. Litwin żyjący w Wielkim Księstwie, mówiący po polsku nie przestawał być Litwinem. Wiśniowiecki był katolikiem, mówił po polsku, ale przecież uważał się za Rusina. Jego rodzina żyła na Rusi od

wieków. Kwestia przyjęcia języka polskiego była ich wyborem.

Polacy nie narzucili swojego języka przemocą – nie da się czegoś takiego zrobić siłą, o czym świadczą choćby kompletnie nieudane próby germanizacji czy rusyfikacji Polaków pod zaborami.

Elita WKL mówiła po polsku, bo tak chciała.

W tej „kradzieży” elit poza językiem swoją rolę odgrywała też wiara. Jak wyglądał ten proces?

A czy wiara katolicka jest polska? To wiara międzynarodowa. To się brało ze szkoły. Każdy cywilizowany szlachcic z XVI-wiecznej Rzeczypospolitej nie chciał być analfabetą. Tymczasem kto miał najlepsze szkoły?

Jezuici.

Właśnie. Założenie Akademii Wileńskiej było genialnym posunięciem. Ich szkoły przodowały nie tylko w teologii. Pobieranie nauk w takich szkołach było bardzo popularne, chociaż nie zawsze kończyło się przejściem na katolicyzm. Przykładem może być choćby szlachcic nazwiskiem Chmielnicki... Tutaj dochodzimy do problemu, który w XVII-wiecznej Rzeczypospolitej sprawił dużo problemów. Otóż prawosławni i protestanci zaczęli się czuć obywatelami drugiej kategorii. Szczególnie widać to było w sądach – czy prawosławny szlachcic nie miał uzasadnionych obaw, że jego proces z katolikiem będzie sprawiedliwy? Tutaj znowu wracamy do Chmielnickiego...

Skoro nie imperializm, to jak nazwać ten system?

To była po prostu Rzeczpospolita, ze wszystkimi problemami z tego wynikającymi. To nie była demokracja w naszym sensie. Wprawdzie mówi się często o „demokracji szlacheckiej”, ale nie uważam tego za fortunne określenie.

Przecież w szkołach tak właśnie nazywany jest system rządów Rzeczypospolitej.

To był system konsensualny. W demokracji rządzi 50 proc. plus jeden. My na Wyspach Brytyjskich coś o tym wiemy – tak było z brexitem. Potem zwolennicy wyjścia z UE powiedzieli: „Naród wybrał”, a przy takim wyniku to chyba jednak zbyt uproszczenie. W Rzeczypospolitej panował wówczas system konsensualny. Oznaczał on, że trzeba było uzyskać zgodę wszystkich zainteresowanych. „Nic o nas bez nas”, czyli jednomyślność. Dlatego dzieje waszej unii to ciągłe negocjacje. Trzeba było z każdym posłem rozmawiać, przekonywać go. I to się udawało przez setki lat i ten mechanizm pozwalał Rzeczypospolitej na rozwój. Nie zrzuciłbym całej winy za późniejsze klęski na ten system. W każdym razie obywatele Rzeczypospolitej uważali, że mieli wówczas najlepszy system polityczny w całej Europie – byli dumni z tego osiągnięcia. Co widzieli bowiem w innych krajach Europy? Z ich perspektywy wszędzie panował absolutyzm, który deptał wolność.

W swojej książce przygląda się pan różnym uniom. Jak na tym tle wypada unia polsko-litewska?

To był absolutny ewenement w dziejach. Unia stworzyła nie państwo, ale Rzeczpospolitą składającą się z dwóch państw i dwóch narodów. Tymczasem unia szkocko-angielska z 1707 r. stworzyła jedno unitarne państwo. W tym sensie Rzeczpospolita była progresywnym bytem, bardziej zaawansowanym od naszej unii. Jego sukces tkwił w tym, że nie była to unia królów, których było wiele w Europie, ale była to ta jedyna w swoim rodzaju unia obywateli oparta na braterskości, przynajmniej w teorii. A braterskość to równość. Horodło to bardzo radykalny traktat, jak na tamte czasy wręcz rewolucyjny. To bardzo ciekawy dokument z punktu widzenia myśli politycznej. Nikt wcześniej tego nie zrobił. Uważano wtedy, że taki ustrój



Królowa Jadwiga (mal. Marcello Bacciarelli) i król Władysław Jagiełło (mal. Jan Matejko)

FOT. WIKIPEDIA

może panować co najwyżej w mieście, bo obywatele muszą się wzajemnie znać, by stworzyć taki byt. Rousseau twierdził, że Rzeczpospolita nie może funkcjonować, bo jest za duża. Ta unia jednak funkcjonowała!

Wszyscy wiemy, jak to się skończyło, ale do dziś wielu Polaków zadaje sobie pytanie: Czy tak różna od reszty Europy Rzeczpospolita miała przed sobą przyszłość?

Konstytucja 3 maja pokazuje, że była na to szansa. Nawet ta „chaotyczna” Rzeczpospolita była się w stanie zreformować. Edmund Burke bardzo dobrze pisał o Konstytucji 3 maja. Był admiratorem Rzeczypospolitej właśnie dlatego, że to nie było imperium. Historyk Michał Bobrzyński, który szukał winy za rozbiory wewnątrz Rzeczypospolitej, twierdził, że trzeba było utworzyć silne, scentralizowane państwo.

To chyba dosyć często spotykany w Polsce pogląd.

Tylko że takie rozwiązanie oznaczałoby koniec unii. Litwa najprawdopodobniej odeszłaby od Królestwa Polskiego, trafiłaby w orbitę Moskwy i do rozbiórów doszłoby pewnie jeszcze szybciej.

W XVIII w. trudno było uratować ten niezwykle system przy tak niesprzyja-

jących warunkach, ale o mały włos się to udało. Niewiele brakowało, żeby to Prusy zostały rozebrane w czasie wojny siedmioletniej. Rosjanie byli prawie w Berlinie. Nagle jednak umarła caryca i pojawił się Piotr III, który uwielbiał Fryderyka Wielkiego. Niewiele brakowało, by historia zmieniła bieg. System Rzeczypospolitej mógł przetrwać.

Bardzo często, szczególnie w 100. rocznicę odzyskania niepodległości, słyszymy o „rozbiarach Polski”...

Jestem na to bardzo wyczulony – to były oczywiście rozbiory Rzeczypospolitej i tak to trzeba nazywać.

To akurat w pełni zrozumiałe, ale dlaczego przekonuje pan Polaków, że dziś nie żyjemy w III RP, tylko w II RP?

(śmiech) Ponieważ I Rzeczpospolita była Rzeczpospolitą Obojga Narodów, więc to zupełnie inna kategoria. W 1918 r. odrodzona Polska stała się – idąc tym tropem – I Rzeczpospolitą Polską. W związku z tym dzisiejsza Polska, przynajmniej w moim ujęciu, to II RP (śmiech). Oczywiście nikogo nie będę siłą namawiał do tej numeracji, chodzi mi tylko o podkreślenie, że Rzeczpospolita, o której rozmawialiśmy w tym wywiadzie, nie była ani polska, ani litewska, tylko Obojga Narodów.

Co pana najbardziej zainteresowało w historii tej unii?

Niesamowita wizja stosunków między oboma narodami. Pewnie dlatego, że wyrosłem w Szkocji w zupełnie innej tradycji. Na początku moich badań myślałem, że obie te unie były do siebie bardzo podobne. Szybko się jednak okazało, że Rzeczpospolita to po prostu ewenement, który chyba nigdzie indziej nie mógł się narodzić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Robert Frost

jest szkockim historykiem, kieruje katedrą historii na Uniwersytecie w Aberdeen. Specjalizuje się w historii Europy Wschodniej i Północnej od XIV do XIX w. W Polsce ukazała się właśnie „Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej” jego autorstwa.

1941-1945 / Przeciw Armii Czerwonej i Amerykanom



Gruzińscy żołnierze

III Rzeszy



Arkadiusz Karbownik

/ Walczyli na Kaukazie i na Bałkanach. Pod koniec wojny niektórzy z nich obrócili broń przeciw Niemcom

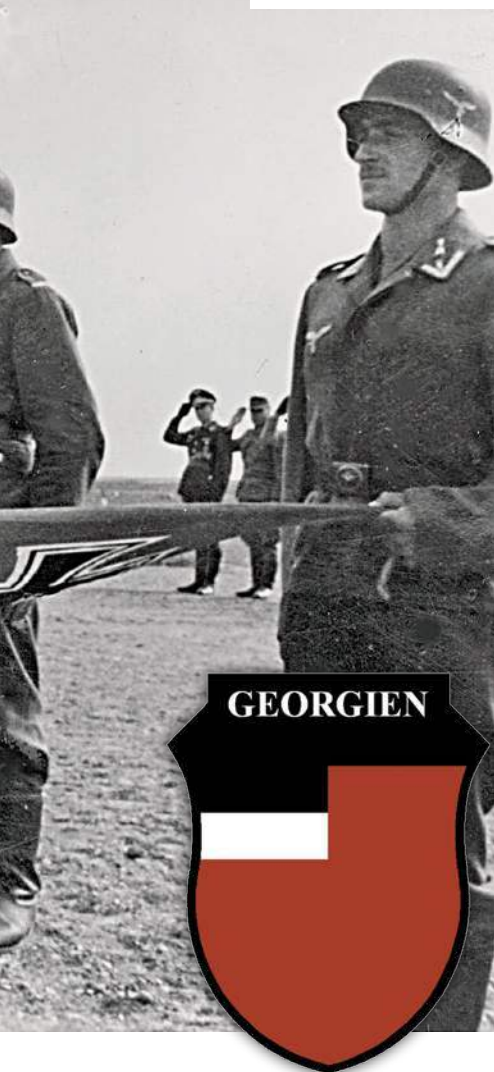
Rozpad carskiej Rosji, jaki nastąpił w wyniku rewolucji i wojny domowej w Rosji, spowodował, że narody zamieszkujące dawne imperium Roma-

nowów zaczęły dążyć do zbudowania własnych państw. Tak było też na Zakaukaziu, gdzie 28 maja 1918 r. Gruzińska Rada Narodowa proklamaowała powstanie Demokratycznej Republiki Gruzji. Gruzja była wówczas obszarem rywalizacji dwóch, skądinąd sojuszniczych, państw: Turcji i Rzeszy Niemieckiej.

Gruzińskie środowiska niepodległościowe postanowiły na zasadzie mniejszego zła wybrać protekcję niemiecką, podpisując 28 maja 1918 r. układ o współpracy z Berlinem. II Rzesza w oczach gruzińskich przywódców jawiła się jako partner bardziej powściągliwy i przewidywalny niż Turcja. Tym samym w początkowym

okresie istnienia to właśnie Niemcy stały się gwarantem gruzińskiej niepodległości. Kiedy owego gwaranta zabrakło, Gruzja w wyniku bolszewickiej inwazji utraciła byt państwowy. Gruzini nie pogodzili się z jego utratą. Poza nieudany powstanie w roku 1924 przebywający na emigracji – w Polsce, Czechosłowacji, we Francji i w Niemczech – politycy starali się podejmować działania mające na celu odbudowanie niepodległości. W Polsce 92 gruzińskich oficerów zostało oficerami kontraktowymi WP. Inni, tacy jak poległy potem w Afryce w 1942 r. mjr Dimitrij Almikivarii, pełnili służbę w szeregach francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Przysięga żołnierzy Legionu Gruzinińskiego FOT. NAC



von Schulenburg, niedawny ambasador III Rzeszy w ZSRS, a w 1918 r. wicekonsul wilhelmińskich Niemiec w Tbilisi. Ambasador należał do grona osób zdecydowanie przeciwnych wojnie z ZSRS. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, zrozumiał, że Sowieców nie da się pokonać siłą jedynie oręża niemieckiego. W jego przekonaniu sukcesy militarne Wehrmachtu powinny być wsparte działaniami politycznymi na rzecz walczących o niepodległość narodów ZSRS.

Pamięć o pracy na placówce w Tbilisi powodowała, że szczególną sympatią darzył Schulenburg Gruziniów. Dyplomata uważał, że powinni mieć możliwość odbudowania swego państwa. Te poglądy zaprezentował podczas konferencji zorganizowanej wiosną 1942 r. pod egidą ministerstwa spraw zagranicznych w berlińskim hotelu Aldona. Jej celem miało być wypracowanie koncepcji polityki niemieckiej wobec narodów Zakaukazia. Propozycje przyznania niepodległego statusu państwom tego obszaru wzbudziły irytację kanclerza Adolfa Hitlera. Führer nakazał MSZ zakończenie kontaktów z przedstawicielami kaukaskich narodowych komitetów i przekazanie ich w ręce ministerstwa Rzeszy ds. okupowanych terytoriów wschodnich (Reichsministerium für die Besetzten Ostgebiete albo Ostministerium).

Ta decyzja niewiele wniosła w odniesieniu do oczekiwań i postulatów strony zakaukaskich narodowych komitetów domagających się pełnej niepodległości dla swych narodów. Obok tych sugestii formułowano przekonanie o konieczności stworzenia antybolszewickich legionów przeznaczonych do walki z Armią Czerwoną.

Interesy gruzińskie w rozmowach z Niemcami reprezentowało powstałe w 1940 r. Biuro Gruzinińskie, przekształcone w 1942 r. Gruziniński Komitet Narodowy. Kandydatem na szefa tej struktury był pretendent do tronu gruzińskiego książę Irakli Bagration-Muchrański. Ponieważ dystansował się on od III Rzeszy, twierdząc, że lepszym sojusznikiem Gruzji byłoby Królestwo Italii, jego kandydatura nie znalazła aprobaty w oczach Niemców. Znacznie lepszą opinią cieszył się Michel Kedia, polityk proveniencji narodowo-demokratycznej. Już w 1940 r. prowadził rozmowy

z Abwehrą w sprawie stworzenia złożonych z Gruziniów grup dywersyjnych, które miały być wykorzystane na zapleczu frontu w momencie wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Kedia dążył do porozumienia między gruzińskimi ugrupowaniami, starając się ochronić przed represjami znanych z antyniemieckiej postawy socjaldemokratycznych polityków emigracyjnych. Jego zasługą było też niedopuszczenie do deportacji „na wschód” 80-osobowej grupy gruzińskich Żydów.

Legion Gruziniński

Pierwsze miesiące 1942 r. zwiastowały zmiany podejścia niemieckiego



Szalwa Loladze, przywódca buntu przeciw Niemcom FOT. WIKIPEDIA

Z prawdziwą nadzieją na odbudowę swej państwowości Gruzini powitali atak III Rzeszy na ZSRS. Niestety, szybko się okazało, że narodowosocjalistyczna koncepcja imperialna, maskowana antybolszewickimi hasłami, a polegająca w istocie na kolonialnym traktowaniu narodów wschodnich, w zasadzie bardziej wzmacniała reżim komunistyczny, niż go osłabiała. Klęska blitzkriegu zimą 1941 r. pod Moskwą i wyznaczenie Kaukazu jako celu niemieckiej ofensywy letniej w roku 1942 postawiły na porządku dziennym kwestię przyszłości narodów wschodnich, w tym narodów zamieszkujących obszary Zakaukazia. Jednym z inicjatorów podjęcia ścisłej współpracy z nimi był Friedrich-Werner

do narodów Zakaukazia w przestrzeni militarnej. 18 lutego 1942 r. powstał na terenie Generalnego Gubernatorstwa Sztab Formowania Legionów Wschodnich (Aufstellungsstab der Ostlegionen in GG) na czele z płk. von Walgarthem, a potem gen. Ralfem von Heygendorffem. Dziesięć dni wcześniej wydany został rozkaz powołujący do życia Legion Gruziniński. Miejscem zakwaterowania legionistów była Kruszyna (wcześniej legioniści krótko stacjonowali w Wesołej). Obok Gruziniów w szeregach legionu znaleźli się także Osetyńcy, Bałkarzy, Karabardyńcy, Abchazi i Czerkiesi.

Legion nie stanowił zwartej struktury bojowej. Podstawową jednostką legionu był batalion. Zgodnie z etatem w batalionie miało służyć 916 Gruziniów



Żołnierze 822. Batalionu FOT. DPCAMPS.ORG

■ i 42 Niemców (potem liczbę Niemców powiększono do 60). Dowódcą Legionu Gruzińskiego wyznaczony został kpt. Wilhelm Houssele. Gruzińskim oficerem szkoleniowym był gen. Szalwa Maghlakelidze, który tak wspominał uroczystą przysięgę legionistów złożoną w święto narodowe Gruzji:

„26 maja w miasteczku Wesoła pod Warszawą odbyła się ceremonia poświęcenia tradycyjnych sztandarów batalionowych Legionu Gruzińskiego. Ceremonia została zorganizowana na wzór niemiecki. Ceremonia miała miejsce podczas zbiórki całego legionu. Naprzeciw siebie stanęły poczty sztandarowe – z jednej strony trzech gruzińskich batalionów nr 795, 797 i 798, a z drugiej Legionu Gruzińskiego i niemiecki z flagą wojenna Trzeciej Rzeszy. Niemiecki dowódca Oberst Otto Machtz w mojej obecności przykładał sztandary batalionowe do niemieckiej flagi wojennej do sztandaru pułkowego Legionu Gruzińskiego. W czasie tej uroczystości zostały nadane imiona poszczególnym batalionom”.

I tak 795. batalion otrzymał nazwę Szalwa Meghlakelidze, 797. – Giorgi Saakadze, 798. – Król Herakliusz II, 799. – Król Dawid Bagrationi, 822. – Królowa Tamara, 823. – Szota Rustaweli, 824. – Ilia Czawczawadze. Legioniści nosili mundury Wehrmachtu. Elementem wyróżniającym była naszywka czerwonego koloru z napisem „Georgien”, na której znajdowała się niewielka flaga Gruzji. Morale żołnierzy było różne. Niskie posiadali ci, którzy przeżyli zimę przełomu lat 1941 i 1942 w obozach jenieckich i zgłosili się do legionu nie tyle z powodu chęci walki

z bolszewikami, ile po to, by wyrwać się z obozowego koszmaru. Nie kwestionując rzeczywistych problemów logistyczno-żywieniowych, przed którymi stanęły władze niemieckie, jest faktem, że wysoka śmiertelność wśród jeńców zbierała żniwo z powodu kompletnego braku zainteresowania losem osadzonych w obozach byłych żołnierzy Armii Czerwonej. Świadomość tego, że wielu jeńców ma w pamięci traumę związaną z warunkami pobytu w niewoli, skłaniała wielu niemieckich oficerów do werbowania swych przyszłych podkomendnych nie w obozach, ale bezpośrednio na froncie spośród świeżo wziętych do niewoli czerwonoarmistów.

O stosunku do jeńców wspominał jeden z oficerów legionu Grigorij Sułaberdze, niemiecki jeniec od 1942 r.: „Wzięcie do niewoli pod Kerczem przez niemiecką dywizję pancerną setki jeńców kaukaskich stanowiło dla mnie niezapomniane wydarzenie... Jeńcy nie byli zabijani, torturowani ani nie poniżano ich godności”.

Trzeba przyznać, że w 1942 r. warunki panujące w obozach dla jeńców kaukaskich uległy zdecydowanej poprawie. Stosunkowo dużą ich część przeniesiono do obozów przejściowych tzw. dulałów. Pierwszą jednostką, która trafiła na front wschodni, a konkretnie na Kaukaz, był 795. Batalion. Jego żołnierze uzyskali bardzo dobre opinie od niemieckich przełożonych. Znacznie gorzej był postrzegany 796. Batalion. Z powodu licznych dezercji rozwiązano go i przeformowano w jednostkę sapersko-budowlaną.

Poza Generalnym Gubernatorstwem ośrodkiem formowania batalionów legionowych było terytorium Ukrainy. Tam strukturą formowania był sztab

162. Dywizji Piechoty dowodzonej przez gen. Oskara von Nidermayera. W ten sposób powstały kolejne cztery – choć pierwotnie planowano sześć – gruzińskie bataliony. Oprócz nich Gruzini służyli także w elitarnym, podporządkowanym Abwehrrze, a utworzonym w październiku 1941 r. batalionie specjalnym Bergmann. Batalion składał się z trzech kompanii gruzińskich (były to kompanie 1., 4. i 5.), jednej azerskiej, jednej północnokaukaskiej i jednej ormiańskiej (początkowo Ormianie tworzyli tylko pluton). Jednostką dowodził wykładowca uniwersytetu w Königsbergu dr kpt. Theodor Oberländer, były oficer Batalionu „Nachtigall”. Oberländer przykładał dużą wagę do tego, by w jednostce panowały właściwe relacje niemieckiej kadry z gruzińskimi żołnierzami. Batalion Bergmann liczył 1,2 tys. żołnierzy, w tym było 300 Niemców. Legioniści szkolili się na Śląsku na poligonie Neuhammer. Wśród żołnierzy batalionu znajdowali się także weterani specjalnego oddziału Abwehry Tamara II.

Legioniści nosili mundury jednostek górskich. Elementem charakterystycznym był umieszczony na czapkach polowych kindżał zamiast szarotki. W lipcu 1942 r. batalion Bergmann podporządkowano 1. Armii Pancernej feldmarszałka Kleista i skierowano go nad Kaukaz. Bergmannowcy uczestniczyli w akcjach bojowych głównie o charakterze dywersyjnym. Jeden z plutonów zniszczył sowiecki pociąg pancerny między Kizlarem a Guderemsem. Żołnierze batalionu organizowali także akcje propagandowe, których skutkiem były dezercje Gruzinów z szeregów Armii Czerwonej. Podczas jednej takiej operacji na stronę Niemców przeszła część gruzińskich żołnierzy służących w 414. Dywizji Strzeleckiej. W 1943 r. batalion Bergmann wzmocniono legionistami z wycofanego z Kaukazu 795. Batalionu. Jednostkę przeniesiono na Krym. W międzyczasie ze stanowiska dowódcy zwolniony został kpt. Theodor Oberländer, krytykujący politykę III Rzeszy wobec narodów wschodnich.

Na Bałkanach

W kwietniu 1944 r. Gruzinów wycofano z Krymu i przeniesiono na Bał-

kany, początkowo do Grecji, a potem Macedonii. Tam walczyli w okolicach Kumanowa w składzie 11. Dywizji Półowej Luftwaffe, 22. Dywizji Piechoty i 104. Dywizji Strzelców, odpierając ataki sił komunistycznych. W styczniu 1945 r. gruzińskie pododdziały batalionu Bergmann I włączono do 363. Pułku 181. Dywizji Piechoty, rozlokowując je na południowy wschód od Wszegradu. Bergmannowcy do końca wojny wypełniali wyznaczone im zadania, zyskując uznanie w oczach dowództwa dywizji. Generał Eugen-Heinrich Bleyer powiedział o swych podkomendnych: „Batalion »Bergmann I« jest jedyną częścią mojej dywizji, która zawsze z sukcesami wypełniała powierzone jej bojowe zadania”.

Najbardziej dramatyczną chwilą dla gruzińskich ochotników był moment kapitulacji 8 maja 1945 r. Niemieckie dowództwo zadecydowało wówczas o wystawieniu Gruzini- nom fikcyjnych dokumentów wskazujących, że pełnili oni służbę jako pomocnicy tzw. Hiwi, a nie legionści, których Sowietci często po wzięciu do niewoli rozstrzeliwali.

Bunt 822. Batalionu

Drugim poza Bałkanami teatrem działań wojennych, na którym pojawiły się bataliony gruzińskie, była Europa Zachodnia. Ich dyslokacja głównie do Francji, a potem Holandii odbywała się w ramach planu o kryptonimie Panther. Był to wynik decyzji Hitlera, który uznał, że pobyt na froncie wschodnim legionów wschodnich skłania żołnierzy do masowych dezercji na stronę sowiecką. I choć rzeczywi-

ście do dezercji dochodziło, to należało stwierdzić, że o ile walka gruzińskich legionistów z bolszewickimi okupantami miała sens, o tyle mniej sensowny wydawał się ich pobyt na Zachodzie. Gruzini nie mieli żadnego interesu, by walczyć z aliantami zachodnimi. Trudno się więc dziwić, że czuli niechęć do angażowania się w walki na froncie zachodnim. Pomimo braku motywacji zdarzało się, że gruzińscy legionści prezentowali mężną postawę podczas bitew z aliantami, o czym przekonuje historia włączonego do 709. Dywizji Piechoty 795. Batalionu, który dzielnie walczył z amerykańskim desan-

dowódca batalionu mjr Klaus Breitner, który w chwili rozpoczęcia rebelii przebywał u kochanki).

Żeby wzmocnić swoje siły, Gruzini przed wybuchem rewolty nawiązali kontakt z holenderskim ruchem oporu. Dwustu jego członków zgłosiło się na ochotnika do walki z Niemcami. Holenderski konspirator wspominał pierwsze godziny powstania: „Zatrzymywaliśmy rozproszonych Niemców i pytałśmy o hasło rozpoznawcze, którego oczywiście nikt nie znał. Procedura była krótka. Każdy Niemiec dostawał kulę”.

Dwa dni po wybuchu powstania poszczególne punkty oporu na wyspie stały się celem artyleryjskiego ostrzału. Tego dnia w porcie Oudeschild wylądowali marynarze z 163. Pułku Strzelców Morskich (Marine-Schützen-Regiment 163) z 16. Dywizji Piechoty Morskiej. Pomimo braku ciężkiej broni i doświadczenia bojowego młodzi strzelcy morscy powoli odbijali zajęte przez rebeliantów obszary wyspy.

Gruzini po wstąpieniu do niewoli traktowali jako buntowników i po uprzednim rozmun-dowaniu rozstrzeliwali ich. Podobnie

postępowano z członkami holenderskiego ruchu oporu oraz cywilami wspierającymi rebeliantów. 22 kwietnia 1945 r. padł ostatni bastion oporu na wyspie – latarnia morska. Gruzini przeszli do działań partyzanckich. W nocy z 23 na 24 kwietnia poległ w walce przywódca buntu, Szalwa Loladze. 5 maja 1945 r. w kwaterze marsz. Bernarda Montgomery’ego adm. Hans Georg von Friedeburg podpisał akt kapitulacji. Alianci wylądowali na wyspie dopiero 20 maja 1945 r., doprowadzając ostatecznie do wygaśnięcia walk. Zginęło podczas nich 492 Gruzini, 117 Holendrów i 812 Niemców.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Książeczka wojskowa żołnierza Legionu Gruzńskiego. FOT. ARCHIWUM

tem spadochronowym 101. Dywizji Spadochronowej na terenie półwyspu Cotentin. Część gruzińskich batalionów pełniła spokojną służbę na zapleczu frontu. W jednym z nich, Batalionie 822. stacjonującym na wyspie Texel, 6 kwietnia 1945 r. doszło do buntu. Jego przywódcą został Szalwa Loladze, dowódca kompanii sztabowej batalionu. Buntownicy mieli szczegółowo przygotowany plan działań. Pierwszym krokiem zrealizowanym z największą skrupulatnością było wymordowanie podczas snu za pomocą noży i bagnetów niemieckiego personelu batalionowego. Śmierć poniosło wówczas ok. 400 żołnierzy (uratował się

XVI w. /

Opowieść 0

Film o Samuelu Zborowskim „Żelazną ręką”

polskim banicie



Jakub Ostromecki

/ Twórcy filmu „Żelazną ręką” wycięli z żywota Samuela Zborowskiego kilka niewygodnych epizodów. Chodziło o przedstawienie go w lepszym świetle

Miażdżenie Moskale i Habsburga, tętent jazdy koronnej na dalekich stepach, obieranie królem Węgry i szlacheckie wolności. Wszystko to znajdziemy w zapomnianym dziś filmie „Żelazną ręką”. W wyniku haniębnego braku zainteresowania twórców filmowych powieściami Jacka Komudy „Żelazną ręką” (1989, reż. Ryszard Ber) pozostaje jedynym nakręconym do dziś obrazem sławiącym Rzeczpospolitą Obojga Narodów w najlepszych dla niej czasach. Filmowi długometrażowemu towarzyszył pięcioczęściowy serial „Kancelarz”.

Złośliwy chichot historii polega jednak na tym, że scenariusz filmu oparty jest na wydanej w 1987 r. książce „Kancelarz” Zbigniewa Safjana – zdeklarowanego komunisty, współpracownika Informacji Wojskowej i twórcy serialu „Stawka większa niż życie”. Nie miejsce tu na rozstrzyganie motywów stworzenia dzieła tak nieprzystającego do politycznych wyborów autora. Safjan mówił ogólnie: „Pasjonowało mnie pytanie, jak powstają decyzje, które potem ważą na życiu narodów. Jak to się odbywa w myśleniu człowieka działającego?”.

Film łączy kilka wątków: drogę Zamoyskiego do godności kanclerza i hetmana, walkę o tron Rzeczypospolitej między Batorym a Habsburgami i spisek Zborowskich, zakończony ścięciem nieszczęsnego Samuela. Gros owych historii opowiedziane jest z perspektywy kronikarza Reinholda Heidensteina i rtm. Szymona Mroczka. W serialu więcej uwagi poświęcono rozwojowi kariery Jana Zamoyskiego.

Jest rok 1575. Siedmiogród. Batory coraz bardziej pewny swoich sił wysła



Jerzy Kryszak jako rtm. Szymon Mroczek FOT. FILMOTEKA NARODOWA

do Polski rtm. Mrocza. Ten wpada w sam środek gorących, czasem krwawych sporów między zwolennikami poszczególnych kandydatów do polskiego tronu. Kontaktuje się z marszałkiem nadwornym Andrzejem Zborowskim, poznaje Zamoyskiego. W tym czasie ktoś strzela do prymasa Uchańskiego. Mroczek łapie zamachowca, który na mękach wskazuje zleceniodawcę. Śledztwo prowadzi do Samuela Zborowskiego. Mroczek jest wściekły – wszak Samuel to jego bliski przyjaciel, niemal brat krwi. Batory tymczasem zostaje koronowany na króla. Odmawia zdjęcia starego wyroku banicji z Samuela, który popada w coraz większą frustrację,

co doprowadzi go ostatecznie w ręce kata. Rychło po nim umiera też Batory. Mroczek organizuje zamach stanu, chcąc dać koronę Zamoyskiemu. Ten stanowczo się sprzeciwia, odprawiając jednocześnie Szymona ze służby.

Krwawy rotmistrz

Wszystkie wyżej wymienione postacie są doskonale znane z historii z wyjątkiem tajemniczego Szymona Mrocza. Żołnierz o tym nazwisku pojawił się w otoczeniu Zamoyskiego, ale nosił imię Stanisław (według kroniki Heidenste-

ina – Łukasz). Był rotmistrzem rzadko spotykanej w Rzeczypospolitej formacji piechoty szlacheckiej i podlegał kpt. Urowieckiemu. Wsławił się w czasie wojen z Moskwą o Inflanty. Mógł znać blisko Samuela Zborowskiego – wiadomo, że brał udział w jego pojmaniu i był w jego celi przed egzekucją banity. Reszta cech postaci Szymona Mrocza, stworzonej przez filmowców i psychologicznie najciekawszej, jest oczywiście fikcyjna. Filmowy rotmistrz ma dość jasne poglądy na temat ustroju Rzeczypospolitej. Uważa, że „prawa i wolności szlacheckie prowadzą kraj do zguby”. Jest zwolennikiem silnej władzy królewskiej opartej na wojsku oraz skrytym likwidowaniu i zastraszaniu przeciwników politycznych w imię podtrzymania potęgi państwa.

„Co zrobiliście z potęgą?” – zarzuci Zamoyskiemu, gdy ten zrezygnuje z przejęcia władzy. „Ty i mnie chciałeś chwycić za kark” – ostudzi wtedy zapędy rotmistrza kanclerz, bojąc się omotania przez tajne służby, jakie Mroczek zamierza zbudować w celu umocnienia władzy niedoszłego króla Jana Zamoyskiego.

Rotmistrz, będąc fanatycznym niemal państwowcem, nie waha się pojąć najbliższego przyjaciela, wcześniej ostrzegając go jednak przed niebezpieczeństwem. Tutaj film zbiega się z biografią Zbigniewa Safjana, choć rzeczywistość, jak zwykle, okazuje się dużo bardziej ponurą od filmu. W 1944 r., służąc w 2. Armii LWP, autor scenariusza doniósł na Jana Nesslera, bliskiego kolegę z oddziału. Ten był AK-owiec miał poważne dylematy dotyczące treści komunistycznej przysięgi wojskowej i zwierzył się z nich Safjanowi. Nessler został skazany na śmierć.

Widza może zniesmaczyć dość dziwne podejście Szymona Mrocza do kobiet. Oto na pograniczu Siedmiogrodu i Korony okoliczna tłuszcza zabiera się właśnie do spalania na stosie czarownicy. Jadący opodal Mroczek jednym cięciem szabli uwalnia z więzów młodą adeptkę magii. Zarzuca ją sobie na siodło i odjeżdżają w step, co musi oczywiście skończyć się w łóżku. W czasie namiętnych zbliżeń (kapitałna rola Grażyny Wolszczak) rotmistrz nie szczędzi jednak uratowanej razów i kuksańców. Wytlumaczenie owej postawy możemy znaleźć w pracy Małgorzaty Pilaszek „Procesy o czary w Polsce w wiekach XV–XVIII”. Czytamy tam m.in., że wiara w moc rzucania uroków przez wiedźmy powszechna

była nawet wśród szlachty. Aby uchronić się od nich, wystarczyło czarownicę uderzyć. Ostatecznie jednak w filmie uparta Agata znajduje drogę do skamieniałego, wydałoby się, serca rotmistrza.

Scena palenia czarownicy, choć nie najważniejsza dla fabuły, stanowi największy anachronizm i zmyślenie w portretowaniu realiów Rzeczypospolitej. Egzekucji, dziejącej się gdzieś na wsi, przewodzi mnich, być może dominikanin, a gorliwie wspiera go drobny posesjonat. „Mroczne czasy, gdy kobiety pragnące wolności palone były na stosach przez zwyrodniałych, patriarchalnych samców

ofiarami padały z reguły niezbyt urodziwe staruchy. Los Agaty jest tu więc zbyt daleko idącą licentia poetica.

Samuel Zborowski

Filmowy Samuel Zborowski to typowy watażka, narwaniec, ryzykant i wilk stepowy, do którego widz może jednak czuć sympatię za honor, uczuciowość, szczerość i niejaką zdolność do refleksji nad swoim postępowaniem. O swojej banicji Samuel mówi, że zasądzono ją za „śmierć zadaną w obronie honoru”. Z racji



w sutannach” – wizja taka nie wytrzymałaby jednak konfrontacji z pracą Pilaszek. Powstała ona jednak wiele lat po premierze filmu, więc możemy częściowo usprawiedliwić jego twórców.

Procesy o czary w XVI-wiecznej Polsce oczywiście się odbywały, choć w nieporównywalnie mniejszej liczbie niż na Zachodzie. Najważniejsze jednak, że sprawy takie leżały w gestii sądów świeckich, w zdecydowanej większości miejskich, a jezuici upominali wręcz gorliwych mieszczan, aby zaprzestali torturowania nieszczęśliwych kobiet. Na Rusi Czerwonej i Podolu, a przez te prowincje kraju jedzie Mroczek, wyroki śmierci w owych procesach sięgały od 3 do 6 proc. – ich

przeczących sobie źródeł badaczom bardzo trudno zrekonstruować obraz i motywy działania prawdziwego Samuela – zadania tego podjęła się Magdalena Ujma w pracy „Samuel Zborowski i jego czasy”.

W filmie Bera nie znajdziemy przeobrażenia Samuela Zborowskiego na punkcie własnego honoru. Wkrótce po koronacji Walezego wziął udział w turnieju na cześć króla. Wbił włócznię na zamkowy dziedzińcu, rozgłaszając, że jeśli ktoś chciałby się z nim pojedynkować, to powinien ową włócznię wyrwać. Zrobił to niejaki Jonasz, Chorwat, najemnik służący u Jana Tęczyńskiego. Żołnierz był chłopskiego pochodzenia, ■

Samuel uznał zatem, że Tęczyński próbuje go obrazić, wysyłając na pojedynek zwykłego chama. Tęczyński miał akurat poważniejsze rzeczy na głowie niż bicie się, kazał więc Chorwatowi odłożyć włócznię na miejsce. Chorwat jednak się uparł, że jako wolny człowiek może walczyć, z kim chce. Ostatecznie, chcąc nie chcąc, obaj szlachcice skrzyżowali szable w murach zamku. Tęczyński potrzebował czasu, by się uzbroić, Zborowski zwymsłał go więc od tchórzy. Zwaśnionych próbował rozdzielać Andrzej Wapowski, kasztelan przemyski, świadom najprawdopodobniej, że z prawdziwej już, a nie turniejowej bójki pod oknami króla, nic dobrego wyniknąć nie może. Ktoś z pocztu Samuela, lub być może sam Samuel, rąbnął wtedy Wapowskiego czekaniem w głowę. Ów zamiast opatrzyć ranę, zaczął domagać się sprawiedliwości przed królem. Wdało się sakażenie i kasztelan zmarł, co stało się bezpośrednią przyczyną banicji Samuela.

W filmie spotykamy Samuela już na wygnaniu, w Siedmiogrodzie, u boku księcia Stefana Batorego. Gdy wojowniczy Węgier dowiaduje się o wyniku elekcji, Zborowski prosi o zdjęcie banicji. Jest uniżony, klęczy, obiecuje. Batory mimo to się nie zgadza. „Nie będę zaczynał panowania w Rzeczypospolitej od łamania prawa” – mówi, co staje się przyczyną frustracji banity i jego ucieczki na Niż. Magdalena Ujma w swojej pracy twierdzi jednak, że banita z senatorskiego rodu był zbyt hardy na aż tak daleko idące poniżenie. Miał też inne negatywne cechy. Należał do nich kompletny brak wyczucia ludzkich intencji. Łasy był też Samuel na pochlebstwa. A dobre rady czy przestrogi traktował jako atak na siebie. Życie Samuela na wygnaniu również wyglądało inaczej niż w filmie. Batory utrzymał wyrok, pozwolił jednak warunkowo Zborowskiemu na powrót, dając mu pensję i coś na kształt glejtu, z zastrzeżeniem, aby trzymał się swoich dóbr na Rusi. Samuel podróżował jednak i do Krakowa, co nie spotkało się z żadną reakcją króla.

Safjan i Ber wycieli z żywota Zborowskiego kilka epizodów, które u współczesnego widza przekreśliłyby jakiejkolwiek sympatie dla banity. Samuel najechał i zagabił dobrą swoją teściową, urządził napady na gościńcach, które niejeden raz kończyły się gwałtami popełnionymi przez jego żołnierzy. Napadł też na



dom ks. Ługarskiego, w pobliżu Wawelu. Pewnego włoskiego mieszczanina, który przyszedł do niego po dług, polecił osmarować miodem i kazał mu bić się z niedźwiedziem. Patrycjusz pojedynek wygrał, ale nie dość, że długu nie odzyskał, to jeszcze obrabowano go z jego własnych pieniędzy. W Krakowie doszło do czynów dużo bardziej zbrodniczych. Samuel wraz ze swoim bratem Piotrem kazał wykastrować schwytanego na ulicy dominikanina.

W filmie brat Samuela, Andrzej, marszałek nadworny, bagatelizuje banicję – „wszyscy mu to zapomnieli i przebaczyli”. Nie jest to prawda. Wszak wdowa po Wapowskim stanowczo odrzuciła jakąkolwiek myśl o ugodzie z zabójcą męża, prosząc nawet Batorego, aby odsunął go od łask. Safjan i Ber traktują Samuela nieco zbyt łagodnie.

Batory i Zamoyski

Safjan i Ber uchwycili dynamikę i szczegóły słynnego konfliktu między Zamoyskim a Batorem z jednej, a Zborowskimi z drugiej strony. Początek intrygi to jednak produkt ich wyobraźni. W czasie sejmiku elekcyjnego prymas Uchański ogłasza królem Habsburga. Agent Zborowskich strzela zza węgła do sędziwego hierarchy. Zamach ten usłużni klakierzy przypisują od razu zwolnikom Batorego. Ma to zrazić szlachtę i Annę Jagiellonkę do Węgier i w konsekwencji oddać tron austriackiej dynastii.

Jak czytamy w biografii Uchańskiego, autorstwa Teodora Wierzbowskiego, do prymasa, czy też w jego kierunku, strzelano dwa razy. Jeszcze na polu elekcyjnym jakiś szlachcic wymierzył w niego broń, gdy ten odmówił wyjaśnienia motywów swojego prohabsburskiego postępowania. Inny z krewkich panów braci wypalił w jego kierunku na war-

szawskiej ulicy, zabijając, co pokazano w filmie, jadącego obok kanonika. Oba zamachy nie miały jednak skrytobójczego charakteru ani żadnego drugiego dna. Mało kto, brutalnie mówiąc, przejąłby się wtedy prymasem, uważanym powszechnie za stetrycznego niedojdę.

W jednej ze scen Batory szykuje się do odparcia najazdu Iwana Groźnego na Inflanty. Jest jednak rozdrażniony, albowiem Kozacy pod wodzą Iwana Podkowskiego najeżdżają Mołdawię. Jest ona lennem osmańskim, Batory nie może pozwolić sobie w tym momencie na drażnienie Porty. Daje więc Mroczkowi wyrażnie do zrozumienia, że ma z Kozakiem zrobić porządek. Przed Mroczkiem nikt w filmie żywcem nie uchodzi, toteż Podkowna szybko ląduje na katowskim pieńku. Egzekucję próbuje nieskutecznie przerwać bliski druh Iwana – Samuel Zborowski. Jest mało prawdopodobne, aby ci dwaj nawiązali tak bliskie relacje – wszak Samuel był jeszcze w Krakowie i na Rusi, gdy Podkowna wyprawiał się na Mołdawię. Jego egzekucja nie odbyła się zaś pośród stepów, ale na lwowskim rynku.

Bardzo ciekawa jest ostanina sekwencji opowieści Safjana – próba osadzenia na tronie Jana Zamoyskiego. O ile w środku filmu mieliśmy do czynienia z lekkim wybieleniem Samuela, o tyle teraz przyszła kolej na potężnego kanclerza. „A co zrobiliście z wolnością?” – zapyta przekornie Mroczka Zamoyski, odrzucając kuszącą propozycję zagarnięcia korony. W rzeczywistości Zamoyski chciał zasiąść na tronie, o czym możemy przeczytać u Leszka Podhorodeckiego, Stanisława Grzybowskiego czy Jerzego Besali. Sam Zamoyski nie mógł jednak wysunąć swojej kandydatury, a jego stronnicy przestraszeni przez szykujących się do zemsty Zborowskich okazali się opieszałi. Ostatecznie kanclerz musiał bronić się zbrojnie przed wściekłymi krewnymi Samuela. Miał oczywiście do pomocy Żółkiewskiego, co skończyło się Byczyną i zdobyciem tronu przez Zygmunta III Wazę. Dramatyczne wystąpienie Mroczka możemy zatem odczytywać jako głos jakiegoś wewnętrznego demona karmiącego się gigantyczną przeciw ambicją kanclerza. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

1917 r. / Ragazzi del '99



Najmłodszy żołnierze wli nowego ducha w szeregi włoskiej armii FOT. ARCHIWUM

Włosi na wielkiej wojnie



Piotr Semka

Młodzi żołnierze z rocznika 1899 bohatersko walczyli na froncie. Po jej zakończeniu nie potrafili się odnaleźć w pokojowych czasach

Urodzili się w 1899 r. To po nich sięgnęły Włochy w chwili zachwiania się ich armii w wojnie z Austrią i Niemcami w ostatnim roku I wojny światowej. Chłopcy z rocznika '99 – ci,

którzy polegali, i ci, którzy przeżyli wojenne zmagania dokładnie sto lat temu – stali się bohaterami Italii. O wiele popularniejszymi dziś niż ci, którzy ginęli za Mussoliniego w kolejnej wojnie światowej. Włosi pamiętają o ich ofierze.

Włochy weszły do wojny po stronie ententy dopiero w maju 1915 r. Ich atutem było to, że front wojny z Austrią – odwiecznym wrogiem – znajdował się tylko we wschodniej części kraju. Od zachodu Italia miała sojuszniczą Francję, a od strony północno-zachodniej jej granice osłonięte były przez neutralną Szwajcarię. Linia frontu z państwem Habsburgów była więc stosunkowo krótka i biegła wzdłuż gór. W latach 1915–1917 udało się Włochom szczęśliwie uniknąć wtargnięcia sił przeciwnika na swój obszar, choć kolejne 10 bitew nad rzeką Isonzo nie przyniosło sukcesów armii króla Wiktora Emmanuela III. Najgorsze miało przyjść w 1917 r. Jedenasta bitwa ■

■ pod Isonzo, między sierpniem a wrześniem tamtego roku, mimo ogromnych strat po obu stronach (zginęło 770 tys. żołnierzy, z czego Włochów ok. 350 tys.), przyniosła Italii jedynie nieznaczny postęp – front przesunął się o 6 km. Niemcy, wspomagając Austriaków, po cichu szykowali silne kontrnatarcie. 24 października o świcie w śnieżnej zamieci na wojska gen. Luigiego Cadorny uderzyli oprócz Austriaków żołnierze siedmiu niemieckich dywizji górskich. Cios był druzgocący. Włosi wycofywali się w chaosie, który najlepiej opisał Ernest Hemingway w „Pożegnaniu z bronią”. Nieudolny, szafujący bez umiaru wyrokami śmierci Cadorna został zastąpiony nowym energicznym dowódcą, gen. Armando Diazem. I oto okazało się, że czynnikiem, który pomaga przetrwać największe natężenie ataku Niemców, jest ofiarność młodych rekrutów urodzonych w 1899 r.

Większość z nich otrzymała karty powołania, zanim ukończyła 18 lat. Wiele matek uznało, że chodzi o jakąś pomyłkę, i atakowało karabinierów, wykrzykując, że ich dzieci nie osiągnęły jeszcze wieku poborowego. Protesty nie pomagały, gdyż ofiary ludzkie poniesione podczas pierwszych dwóch lat wojny były tak duże, że państwo było zmuszone sięgać po 17-latków.

Pierwsze włoskie kontyngenty rocznika 1899 – ok. 80 tys. chłopaków – zostały powołane od stycznia do kwietnia 1917 r. Pospieszne szkolenie odbywało się w batalionach milicji terytorialnej. Pod koniec maja 1917 r. karty mobilizacyjne otrzymało kolejnych 180 tys. poborowych. I wreszcie trzecia mniejsza grupa – tu brak ścisłych danych – została zabrana z domów w lipcu tego samego roku. Pierwsi „Ragazzi del '99” zostali wysłani na front w październiku 1917 r., podczas morderczej dla Włochów batalii pod Caporetto. Pokazali się z jak najlepszej strony.

Dzięki ich poświęceniu gen. Diaz mógł ustabilizować front. Kolejne ataki wojsk austro-niemieckich w grudniu 1917 r. załamywały się pod wpływem okrzepłej już obrony.

W rozkazie dziennym z 19 listopada 1917 r. gen. Armando Diaz pisał z patosem: „Młodzież z rocznika 1899 miała dziś swój chrzest bojowy. Ich postawa była wspólna. Dołączyli swój żarliwy

entuzjazm do doświadczenia starszych towarzyszy walki i razem zatriumfowali nad wrogiem. Austriackie bataliony, które ośmieliły się przekroczyć rzekę Piawę, zostały unicestwione. Schwymano 1,2 tys. jeńców, zdobyliśmy liczne armaty wroga. [...] W tej godzinie moim najwyższym obowiązkiem i zaszczytem jest [...] wznieść okrzyk: »Niech żyją Włochy«. Moja armia winna wiedzieć, że nasi młodszy bracia z rocznika 1899 okazali się godni pochwały swego dowództwa i sławy, która na nich też zstępuje”.

W innym rozkazie gen. Diaz pisał: „Widziałem chłopców z '99. Poszli na linię frontu, śpiewając. Widziałem, jak potem wracają zdziśiatkowani. Wciąż śpiewali”.

Te publiczne pochwały stały się początkiem legendy „Ragazzi del '99”.

Szybko podchwyciła je włoska propaganda wojenna, która potrzebowała chwytliwego motywu dla podniesienia morale armii po ciężkiej jesieni 1917 r. Teraz więc młodych, z ich entuzjazmem, stawiano za wzór starszym pokoleniom żołnierzy na froncie.

Dzieci Włoch

Wielu włoskich historyków zastanawiało się nad mitem odważnej generacji. Na pewno istotne było to, że była pierwszym pokoleniem urodzonym już w zjednoczonych Włoszech. Od dziecka wychowanym na wzorcach patriotyzmu z epoki Garibaldiego. Coś jak nasze pokolenie Kolumbów, wychowane od przedszkola na kulcie czynu Polski niepodległej. Wyraźnie laickie rządy liberałów-masonów z lat 1900–1914, takich jak Giovanni Giolitti, Sidney

Sonnino, Luigi Luzzatti czy Antonio Salandra, wyrugowały wpływy katolickie ze szkół, wprowadzając w zamian ideę poświęcenia dla ojczyzny i sprostania legendzie bojujących o zjednoczenie Włoch. Z patriotyzmu uczyniono swoistą świecką religię, której świątynią stał się gigantyczny Ołtarz Ojczyzny w Rzymie. Śmierć w imię ojczyzny był świeckim odpowiednikiem chrześcijańskiego zbawienia. Setki wojennych pocztówek ukazywały poległych na polach bitew włoskich żołnierzy, których anioły sławy wynosiły do świetlanej wieczności. Dodatkowym czynnikiem był duch epoki, w którym młode pokolenie, nie tylko we Włoszech, lecz także we Francji czy w Anglii, marzyło o bojowym chrzcie jako nobilitacji i spełnieniu. Po I wojnie te nastroje mocno osłabną pod wpływem doświadczeń wojennych, ale wtedy przeżywały swoje apogeum.

Są zdjęcia, które stają się symbolami epoki. W czerwcu 1918 r. w czasie bitwy nad rzeką Piawą „Ragazzi del '99” znów stali się bohaterami Włochów za sprawą fotografii pokazującej napis na jednej ze zrujnowanych chatynek we wsi Fagarè della Battaglia, niedaleko San Biagio di Callalta. Wypisany na murze ręką młodego żołnierza włoskiego napis głosił: „Tutti eroi, al Piave, o tutti Accopatti”, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „Wszyscy (będziemy) bohaterami. (Utrzymamy) Piawę albo zginie my wszyscy”. Obok inna ręka wypisała sentencję: „Lepiej dzień żyć jak lew niż sto lat jak owca”.

Pierwszy z tych spontanicznych napisów stał się narodowym sloganem. Do dziś w chwilach narodowych uniesień Włosi skandują te słowa. Napis na murze dotrwał do dziś. Zabezpieczony grubą szybą, jest miejscem patriotycznych pielgrzymek. Sto lat temu zdjęcie z tym napisem rozsławiło z nową mocą „Chłopców z '99”. Walki o sforsowanie Piawy były końcem nadziei Austriaków na złamanie Włoch. Rzeka dosłownie spłynęła wtedy krwią młodych rekrutów. Jak śpiewali żołnierze włoscy: „Rzeka Piawa wówczas krzyczała, zamiast szemrać”.

Nawiązując do słów tej pieśni, dziennikarz Marco Cimmino pisał: „I wszyscy razem krzyczeli, a z nimi tysiące i tysiące karabinów. Krzyczeli żołnierze piechoty, pod huraganem ognia”.

Cztery miesiące później dowódca spod Piawy gen. Ar-



mando Diaz ostatecznie rozbił Austriaków. Przełamał ich opór 25 października 1918 r. pod Vittorio Veneto i wziął do niewoli 300 tys. austriackich jeńców. Wojna kończyła się olśniewającym zwycięstwem, Italia awansowała do klubu europejskich mocarstw, a „Ragazzi del '99” będą symbolami tej wiktorii. W kolejnych latach część z nich będzie szukała kolejnych przygód, choćby w póławanturzystycznych wyprawach Gabriele d'Annunzio na Fiume i Istrię.

Już w 1921 r. powstało Stowarzyszenie „Ragazzi del '99” – narodowy związek kombatanów rocznika 1899 z lat wojny 1915–1918. Wiele miasteczek i gmin naznaczonych wojną czyniło ich swymi zbiorowymi honorowymi obywatelami.

Mussolini, który na czele partii faszystowskiej doszedł do władzy w 1922 r., zrobił karierę właśnie na micie Czynu Pokolenia Zwycięskiej Wojny. Głosił, że „dotąd Włosi walczyli o wolność, a teraz muszą walczyć o swą wielkość”. Podobne idee podjęła NSDAP i „Croix-de-feu” we Francji. Wszędzie w Europie kombatanzi, byli żołnierze frontowi uznawali, że lata w okopach dają im znacznie większe prawo do objęcia władzy niż demokratycznym politykom, którzy bezpiecznie dekowali się na tyłach. Pokolenie '99 idealnie nadawało się na kadrę partii faszystowskiej. Paru z nich zrobiło we Włoszech Mussoliniego błyskotliwe kariery. To przypadek płk. Alessandro Annoniego (1899–1941), nazywanego przez żołnierzy „świętym oficerem”, który między wojnami zrobił błyskotliwą karierę i bohatersko zginął w kwietniu 1941 r. w czasie kampanii greckiej. Z żołnierzy generacji 1899 wywodził się też Giuseppe Bastiani (1899–1961), jeden z najbardziej utalentowanych polityków partii faszystowskiej, który zyska w czasie II wojny złą sławę włoskiego gubernatora okupowanej Dalmacji. Po wojnie Jugosłowianie bez skutku będą żądali jego ekstradycji jako zbrodniarza współodpowiedzialnego za liczne egzekucje ludności chorwackiej.



Słynny napis: „Wszyscy będziemy bohaterami” FOT. ARCHIWUM



Mussolini wykorzystywał mit Czynu Pokolenia Zwycięskiej Wojny FOT. ARCHIWUM

Z wojennej generacji '99 wywodzą się też powojenni politycy chadecji włoskiej, tacy jak Celesto Bastianetto (1899–1953), który całe życie szczycił się medalem za odwagę uzyskanym w 1918 r. Znany malarz Fausto Pirandello (1899–1975), syn pisarza Luigi Pirandello, przerwał w 1917 r. studia klasyczne, aby pójść do wojska. Z frontowej generacji 1899 wywodzi się też malarz Maceo Casadei (1899–1992), którego obrazy stały się powszechnie znanym wyobrażeniem krwawej wojny. I wreszcie z tej generacji wywodzi się pisarz Vincenzo Rabito (1899–1981), przedstawiający realistycznie włoską wieś, ale i literacko gloryfikujący kolonialne podboje Mussoliniego w Afryce.

Na każdą epokę

Kult „Ragazzi di '99” miał wiele szczęścia. Przed wojną należał do kanonu ideologicznego partii faszystowskiej. Także po wojnie, choć nieco zbladł, i tak wyda-

wał się o wiele bardziej poprawny niż udział w wojnach Duce u boku Hitlera. Osłabł w latach 60., ale powoli zaczął odżywać w latach 70. W 1974 r. powstał wielki pomnik żołnierzy z 1899 r., w parku ku ich czci w Bassano del Grappa koło Werony. Wtedy odbył się też powojenny zjazd weteranów walk o Monte Grappa, która góruje nad miastem.

Najdłużej z „wojennych chłopców” żył Alberto Agazzi, urodzony w Piacenzy 30 stycznia 1899 r. Zmarł 13 kwietnia 2007 r. w wieku 108 lat. A jako ostatni umarł Giovanni Antonio Carta, były kapral 151. Pułku Piechoty „Sassari”, który przeżył Agazziego o niecałe dwa miesiące, odchodząc z tego świata 6 czerwca 2007 r.

Włoskie księgarnie wciąż pełne są albumów o legendarnej generacji. Przypominają trochę nasze książki o pokoleniach Legionów. Z kolei podziw i szacunek dla młodzieńczej odwagi i ofiarności przypomina polski kult Orłąt Lwowskich.

W tym roku z okazji 100. rocznicy zwycięstwa Włoch żołnierze rocznika 1899 ponownie wrócili na strony włoskich gazet. Wielkie cmentarze włoskich żołnierzy poległych w I wojnie światowej – na Monte Grappa, w Redipuglia czy w Oslavii, są odwiedzane przez rodziny poległych.

A pieśń napisana przez jednego z „Ragazzi del '99” przypomina los tego dramatycznego pokolenia:

Dziewięćdziesiąt dziewięć, Zapakuli do mnie.

Zapakuli do mnie, zrobili mnie żołnierzem i wysłali na front.

Wysłali mnie, wysłali mnie, bym strzelał.

Walczyłem wśród bomb i nagle coś mnie zatrzymało. Błyszcząca kula. W moją pierś, w moją pierś przenikła.

Czworo przyjaciół wokół mnie. Zabrali mnie do szpitala. I lekarz mi powiedział: „Nie ma co marzyć. Czerwony Krzyż, Czerwony Krzyż. Proszę, proszę, dajcie coś ode mnie na rodziny innych ofiar. Dajcie całusa mojej mamie. I ucałujcie flagę, naszą trójkolorową flagę. Przekażcie całusa mojej mamie. A trójkolorowa flaga zatriumfuje, zwycięży”.

Tani wojenny sentymentalizm? Każdy naród ma do niego prawo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



1945-1956 / Niemcy

Ambicje Gehlena



Marian Zacharski

/ Szef wywiadu RFN był trudnym partnerem dla Amerykanów. Brał od nich pieniądze, lecz chciał być niezależny

Generał Reinhard Gehlen nie przestaje fascynować tych, którzy interesują się historią działalności wywiadów i kontrwywiadów. Systematyczne ujawnianie dokumentacji związanej z generałem pozwala nam na dokonywanie bardziej obiektywnej oceny jego pracy – zarówno podczas II wojny światowej, jak i po jej zakończeniu.

Gehlen czynił wszystko, aby mieć wpływ na decyzje personalne w wyra-
stającej z wojennych zgłiszczy niemieckiej

armii oraz w zakładach zbrojeniowych. Chciał decydować o obsadzie kierowniczych stanowisk w niemieckim kontrwywiadzie. Nie ukrywał, nawet przed spon-
soram, czyli Amerykanami, że dąży do pełnej samodzielności w określaniu celów, praw i obowiązków w kierowanych przez niego instytucjach wywiadowczych, a więc w tzw. Organizacji Gehlena, a później w Federalnej Służbie Wywiadu (BND).

Nie lubił polityków, by nie rzec, że gardził nimi. Uzyskiwane drogą operacyjną informacje o nich, przede wszystkim o ich rozmaitych słabościach, gotów był wykorzystywać do wymuszania na nich prawidłowych, według jego kryteriów, zachowań.

Gehlen miał ambicje polityczne. Pomimo pozycji, jaką zajmował, nigdy nie spotkał się z kanclerzem Adenauerem. A bardzo tego pragnął. Chciał bowiem mieć okazję przedstawienia mu swojej wizji zapewnienia bezpieczeństwa rodzącemu się z popiołów państwu niemieckiemu.

W Bonn interesy Gehlena reprezen-
tował jego zaufany człowiek, Hans von

Lossow, który utrzymywał kontakty z sekretarzem stanu w bońskim MSW, Ritterem von Lexem. To właśnie tą drogą Gehlen otrzymał informację o wpisaniu go na pierwszą pozycję na liście kandydatów do objęcia kierownictwa Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV). Nadzieje na to szybko zgasły. A to za sprawą Wielkiej Brytanii, której przedstawiciele oświad-
czyli, że zawetują kandydaturę Gehlena. Życzeniem Anglików było bowiem, aby pierwszym szefem BfV został dr Otto John. Dopiełni swego. Jak bardzo błędna była ich ocena tego człowieka, pokazał rok 1954, kiedy to szef BfV przekroczył granicę w Berlinie i ku zaskoczeniu wszystkich pojawił się na konferencji prasowej po jego wschodniej stronie.

Twarde warunki współpracy

Gehlen miał ostre spięcia z Ameryka-
nami, którzy chcieli wszystko wiedzieć o już prowadzonych lub planowanych



Reinhard Gehlen (w środku) w otoczeniu oficerów niemieckiego wywiadu, podczas II wojny światowej
FOT. GETTY IMAGES

W trakcie rozmowy Amerykanin postawił twarde, niepodlegające negocjacji warunki dalszej współpracy. Gehlen miał ujawnić tożsamość wszystkich członków swojej organizacji oraz przekazać szczegółowe opisy prowadzonych operacji. Marshall pytał też generała, czy zatrudnia nazistów znajdujących się na listach poszukiwanych. Gehlen zaprzeczył. Najpewniej celowo minął się z prawdą.

Gehlen próbował bronić niezależności działania kierowanej przez siebie organizacji, ale był bez szans. Przede wszystkim z powodów finansowych. Musiał układać się z Amerykanami, aby przetrwać. Było to bardziej małżeństwo z rozsądku niż z miłości.

Krytyczna notatka Amerykanów

Ujawniona nie tak dawno przez Amerykanów notatka dobrze oddaje klimat w relacjach z Gehlenem. Oto jej fragmenty.

28.12.1950 gen. mjr Reinhard Gehlen, niemiecki szef ZIPPER [kryptonim Organizacji Gehlena], korzystając z przygotowanych notatek, wygłosił wobec naszego głównego przedstawiciela przy ZIPPER trzygodzinną tyradę przeciwko amerykańskiemu wtrącaniu się w wewnętrzne sprawy ZIPPER-a. Bronił wszystkich tych swoich działań, wobec których w ostatnim półtoraroczniu mieliśmy odrębne zdanie, atakował politykę „Waszyngtonu” i kilka razy groził rezygnacją. Nasz przedstawiciel, poza paroma komentarzami, nie podjął dyskusji z Gehlenem. Następnego dnia Gehlen zaprosił do swojego biura jednego z głównych amerykańskich asystentów i w jeszcze mocniejszych, ostrzejszych, bardziej precyzyjnych określeniach przedstawił ten sam temat. [...] winniśmy rozważyć celowość wizyty w Niemczech wysokiego przedstawiciela CIA celem przeprowadzenia szczegółowych dyskusji z Gehlenem wiodących do [uzgodnienia] jednoznacznej definicji naszej koncepcji roli, jaką powinien odgrywać niemiecki szef ZIPPER. Tego typu konferencja powinna doprowadzić do ostatecznego wyjaśnienia, czy Gehlen pozostaje, ale na naszych warunkach, czy rezygnuje.

W dalszej części dokumentu Amerykanie pokazują tło konfliktu.

Chociaż ton dysertacji Gehlena był niepotrzebnie nietaktowny i zgorzkniały, to ogólna strategia jego ultimatum nie była całkowicie nieoczekiwana. Wpasowuje się ona do obecnych prób niemieckich liderów nego-

cjowania swoich pozycji i nie odbiega od poprzednich podejść Gehlena do jego amerykańskich przełożonych. Gehlen od 1945 roku urosł z pozycji względnie mało znanego członka niemieckiego Sztabu Generalnego do pozycji głównego politycznego stratega cieszącego się poparciem konserwatywnych frakcji politycznych, niektórych niemieckich przemysłowców i wpływowych resztek niemieckiego wojska. Jednocześnie cieszył się on na pół dyplomatycznymi stosunkami z głównymi służbami wywiadowczymi Europy Zachodniej i ma przewagę w postaci swojego dłuższego aliansu z amerykańskim wywiadem, na którym opiera precyzyjną ocenę naszej strategii i siły.

Obecne ultimatum Gehlena odrzucające „amerykańskie wtrącanie się” nawiązuje do wcześniejszego kontraktowego związku ZIPPER-a z amerykańską armią w Europie. Pierwsze robocze uzgodnienie Gehlena oparte było na ustnym porozumieniu między nim a gen. Edwinem L. Silbertem. Porozumienie to dało Gehlenowi szeroki zakres osobistej odpowiedzialności za organizację oraz prowadzenie operacji i zawierało zobowiązanie Gehlena wobec Amerykanów, że w każdym przypadku weźmie na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie przedsięwzięcia [...]. Nawet wtedy, kiedy kontrola ZIPPER-a przez armię była najmniej uciążliwa, Gehlen często wygłaszał niezadowolone z poziomu i rodzaju wsparcia oraz nadzoru. Administracyjne wtrącanie się niemających doświadczenia amerykańskich wywiadowców w pracę dolnego szczebla pracowników ZIPPER-a, niespójne wsparcie finansowe oraz brak kierunków polityki były krytykowane przez Gehlena, który często, szczególnie w 1948 i wczesnym 1949 r., uzupełniał krytykę groźbami rezygnacji lub likwidacji operacji. Jest jasne, że był niezadowolony z planowania finansowego i [jakości] wyszkolenia personelu amerykańskiego. Pewnego razu wyraził swoje rozczarowanie brakiem amerykańskiego udziału w działalności operacyjnej i [jak zwykle] zagroził rezygnacją, jeżeli ZIPPER nie zostanie przejęty przez CIA. [...]

Po naszym przejęciu stało się czytelne, że intencją Gehlena było utrzymanie status quo zarówno co do [kształtu] organizacji, jak i procedur operacyjnych oraz energiczna obrona ZIPPER-owskich praktyk luźnej kontroli, maksymalne przekazywanie nadzoru nad agentem i operacją, a także minimum rozliczeń i raportów operacyjnych. W obronie tych praktyk w okresie naszej kontroli propozycji ZIPPER-a dot. operacji strategicznych, które później w ponad 90 proc. okazały się bezwartościowe, atakował on ostro Waszyngton za „brak elastyczności, zbyt dużą centralizację i brak wiedzy operacyjnej”. Jego pierwsza groźba rezygnacji pojawiła się w tym czasie, kiedy – pomimo poprzednich zapewnień, że chciał tylko stabilnego budżetu, bez względu na to, czy byłby duży czy mały – kiedy doszedł do wniosku, że nie było możliwe kontynuowanie operacji w oparciu o budżet, który zaproponowaliśmy na przyszły rok. Kiedy 1 VII 1949 r. przejęliśmy ZIPPER-a w celu uzupełnienia podstawowej dyrektywy EUCOM, uznaliśmy za celowe sporządzenie pisemnego porozumienia i dlatego

operacjach i o składzie personalnym kierowanej przez niego instytucji. W początkowym jednak okresie funkcjonowania tzw. Organizacji Gehlena świetnie dogadywał się z amerykańskim gen. mjr. Edwinem Lutherem Sibertem, który pełnił funkcję asystenta szefa sztabu i kierował G-2 (wywiadem) najpierw w 12. grupie armii, a następnie w dowództwie amerykańskiej armii w Europie, tzw. EUCOM.

Sibert wszechstronnie wspierał Gehlena w jego działalności. Sytuacja zmieniła się, kiedy w 1947 r. w USA utworzono Centralną Agencję Wywiadowczą. Decyzją jej pierwszego szefa, kontradmirała Roscoe Henry’ego Hillenkoettera, tzw. Organizacja Gehlena miała zostać wyjęta spod kontroli armii i oddana pod pieczę CIA. W tym celu oddelegowano do Monachium oficera wywiadu Jamesa H. Critchfielda. Doświadczenia w tej pracy zdobywał na terenie Niemiec i Austrii, działając w ramach OSS. Jego pierwsze spotkanie z Gehlenem odbyło się 18 listopada 1948 r. w Pullach.

THE AMERICAN SECTOR
BY BЫЕЗЖАЕТЕ ИЗ
АМЕРИКАНСКОГО СЕКТОРА
VOUS SORTEZ
DU SECTEUR AMERICAİN
SIE VERLASSEN DEN AMERIKANISCHEN SEKTOR



Granica alianckich sektorów w Berlinie

FOT. ARCHIWUM

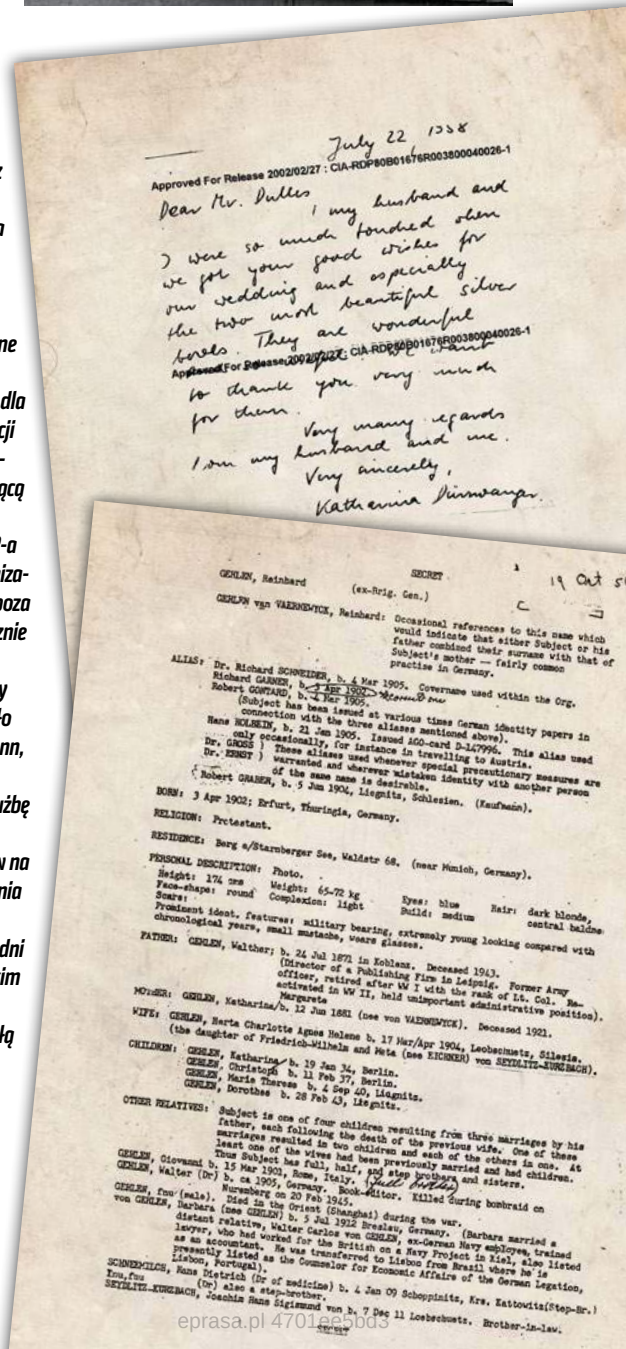
■ nasz przedstawiciel przy ZIPPER-ze latem 1949 dyskutował z Gehlenem na temat wstępnej wersji. Wyjaśniono wówczas, że szkic potrzebny był jedynie w celu przedyskutowania i że ostatecznie nie został on zaaprobowany ani przez Karlsruhe, ani przez Waszyngton. W Waszyngtonie zdecydowano, że nie było sensu zredukowania warunków naszej współpracy do pisemnego porozumienia, które prawdopodobnie wprowadziłoby nas w prawnie trudną sytuację, mocniej wiążącą, niż byśmy tego chcieli za prawne i moralne powiernictwo nad ZIPPER-em. W konsekwencji celowo usiłowaliśmy ograniczać nasze dyrektywy dla ZIPPER-a do spraw aktualnych operacji, organizacji lub administracji. Po rozważaniach uznaliśmy filozoficzną dyskusję relacji USA-ZIPPER za niedotyczącą nadrzędnego celu.

Nasze uporczywe wnikanie w operację ZIPPER-a i nasze naciski na zmiany administracyjne i organizacyjne, jak i na działalność Gehlena wykraczającą poza podstawę funkcjonowania ZIPPER-a, systematycznie nakładało się na poważną różnicę opinii między ZIPPER-em, a bardziej precyzyjnie mówiąc, między Gehlenem a nami. Celem politycznym Gehlena było zabezpieczenie uznania ZIPPER-a przez rząd w Bonn, umocnienie pozycji ZIPPER-a jako dominującego kandydata na przekształcenie się w niemiecką służbę wywiadowczą oraz zabezpieczenie dla personelu ZIPPER-a i przyjaciół pozycji gwarantującej wpływ na zbliżającą się remilitaryzację Niemiec. Jego działania na tych kierunkach obejmowały kontynuację kontaktów z wpływowymi wojskowymi, bezpośredni kontakt z rządem w Bonn i amerykańskim Wysokim Komisarzem, intensywne kontakty z różnymi zachodnimi służbami wywiadowczymi oraz zakładając opozycję wobec Gerharda Grafa von Schwerina [od 1938 r. szef grupy USA-Anglia w Fremde Heere West (Obce Armie Zachód), po krytyce Hitlera usunięty ze Sztabu Generalnego, w końcowej fazie II wojny w stopniu generała dowodził LXXVI Korpusem Pancernym Wehrmachtu – przyp. T.S.] w czasie jego kadencji w charakterze doradcy

wojskowego kancлера Adenauera. Wiele bodźców do tych działań było zbieżnych z naszymi interesami. My też mieliśmy długofalowe zainteresowanie w przekształceniu ZIPPER-a w niemiecką służbę wywiadowczą, a także mieliśmy wspólne krótko- i długofalowe zainteresowanie w ewentualnym uznaniu ZIPPER-a przez rząd w Bonn. Ostre nieporozumienia pojawiły się jedynie z powodu tego, że Gehlen stosował niekiedy beztrojskie metody, które wyglądały na wykrętne i z całą pewnością nie brały pod uwagę kompleksu naszych wywiadowczych zainteresowań w Niemczech oraz we Wschodniej Europie. Nasze przekonanie, że Gehlen był zainteresowany nieustającym dążeniem do realizacji ww. celów ze szkodą dla wywiadowczej misji ZIPPER-a, jest podzielane przez trzeźwo myślących pracowników wysokiego szczebla tej organizacji.

Ekstremalnie małe umiejętności ZIPPER-a w zakresie operacji strategicznych, długofalowych, wysokiego szczebla, głębokiej penetracji, będące w dużym stopniu rezultatem zaniebdywania przez Gehlena podstawowych zagadnień wywiadowczych, zostały oficjalnie udokumentowane w pierwszym roku naszego nadzoru operacyjnego. W połowie lata 1950 cały personel amerykański pracujący przy sprawach ZIPPER-a wyrażał opinię, że organizacja Gehlena była wiarygodną agencją w zakresie zbierania informacji taktycznych i dokonywania wojskowych analiz, ale, z kilkoma wyjątkami, w działalności wywiadowczej

o trudniejszym, bardziej wyrafinowanym charakterze była co najwyżej drugorzędna. Opinia ta, podzielana przez wielu niemieckich pracowników ZIPPER-a, została przekazana Gehlenowi w lipcu 1950 przez naszego reprezentanta przy ZIPPER-ze. Został on jasno poinformowany, że jeżeli my nie mamy akceptować i wspierać ZIPPER-a jedynie jako agencję taktyczną, to Gehlen musi wprowadzić radykalne zmiany personalu, procedur i postaw. Po pewnym namyśle Gehlen wydawał się gotowy zaakceptować tego typu decyzję i nawet wszczął pewne organizacyjne zmiany zmierzające do poprawy pozyskiwania informacji o charakterze strategicznym.



July 22 1958
Approved For Release 2002/02/27 : CIA-RDP80B01676R003800040028-1

Dear Mr. Dulles,
I, my husband and I were so much touched when we got your good wishes for our wedding and especially the two most beautiful silver horses. They are wonderful for them. Very much for them.
Very many regards
I am my husband and me.
Very sincerely,
Katharina Hinwanger.

GEHLEN, Reinhard (ex-Rig. Gen.)

GEHLEN van VARENNYCK, Reinhard: Occasional references to this name which would indicate that either Subject or his father combined their surname with that of Subject's mother - fairly common practice in Germany.

ALIAS: Dr. Richard SCHNEIDER, b. 4 Mar 1905. Governed used within the Org. (Subject has been listed at various times German identity papers in connection with the three aliases mentioned above).
Name: SCHNEIDER, b. 21 Jan 1905. Issued 100-mark D-147996. This alias used only occasionally, for instance in travelling to Austria.
Dr. GROSS: These aliases used whenever special precautionary measures are warranted and wherever mistaken identity with another person of the same name is desirable.
Robert GROSS, b. 5 Jun 1904, Legnitz, Schlesien. (Kaufmann).
BORN: 3 Apr 1902; Erfurt, Thuringia, Germany.
RELIGION: Protestant.
RESIDENCE: Berg a./Starnberger See, Waldstr. 68. (near Munich, Germany).
PERSONAL DESCRIPTION: Photo.
Height: 174 cm Weight: 65-72 kg
Face-shape: round Complexion: light Eyes: blue
Scars: Build: medium Hair: dark blonde, central balding
Prominent ident. features: military bearing, extremely young looking compared with chronological years, small mustache, wears glasses.
FATHER: GEHLEN, Walther, b. 24 Jul 1871 in Koblenz, deceased 1943. (Director of a Publishing Firm in Leipzig. Former Army officer, retired after WW I with the rank of Lt. Col. Re-activated in WW II, held important administrative positions).
MOTHER: GEHLEN, Katharina, b. 12 Jun 1881 (nee von VARENNYCK). Deceased 1921. (the daughter of Friedrich Wilhelm and Meta (nee RICHKOW) von REHLEITZ-KURMBACH).
WIFE: GEHLEN, Katharina, b. 19 Jan 34, Berlin.
CHILDREN: GEHLEN, Christoph, b. 11 Feb 37, Berlin.
GEHLEN, Maria Theresia, b. 4 Sep 40, Legnitz.
GEHLEN, Barbara, b. 28 Feb 43, Legnitz.
OTHER RELATIVES: Subject is one of four children resulting from three marriages by his father, each following the death of the previous wife. One of these marriages resulted in two children and each of the others in one. At least one of the wives had been previously married and had children. Their Subject has full, half, and step brothers and sisters.
GEHLEN, Giovanni, b. 15 Mar 1901, Rome, Italy. (See previous).
GEHLEN, Walter (Dr. b. ca 1905, Germany. Book-editor. Killed during bombardment on Hamburg on 20 Feb 1945).
GEHLEN, Frau (name). Died in the Orient (Shanghai) during the war.
Barbara (nee GEHLEN) b. 3 Jul 1912 Breslau, Germany. (Barbara married a distant relative, Walter Carlos von GEHLEN, ex-German Navy employee, trained as an accountant. He was transferred to Lisbon from Brazil where he is presently listed as the Consul for Economic Affairs of the German Legation, Lisbon, Portugal).
SCHNEIDER, Hans Dietrich (Dr. of medicine) b. 4 Jan 09 Schoepplitz, Krs. Katowice (Step-Dr. of GEHLEN).
Kau, Frau.
REHLEITZ-KURMBACH, Josephine Hans Sigmund von b. 7 Dec 11 Loebichwitz. Brother-in-law.

Chociaż jego obecny wybuch jest pierwszym silnym oporem, który Gehlen demonstrował już od pewnego czasu, to jest oczywiste, że jego częste unik, wykręty i bezkompromisowość wobec naszych zaleceń mogą w pewnym momencie uczynić pożądanym jego usunięcie z ZIPPER-a. Ogólnie zgadzamy się, że poza obecnymi okazjonalnymi kłopotami w kierowaniu Gehlenem to jednak on będzie miał wpływ na jakość przyszłej niemieckiej służby wywiadowczej, której może zostać szefem. Chociaż na tych polach, na których leżały jego osobiste zainteresowania, był on silnym i efektywnym liderem ZIPPER-a, to [trzeba stwierdzić] stanowczo, że brakuje mu zaangażowania w kontrolowanie operacji strategicznych, a szereg nadal obecnych w ZIPPER-ze przypadków korupcji jest bezpośrednio związanych z zaniedbaniami właśnie Gehlena. Bez wątpienia jest również życzeniem Gehlena jako szefa przyszłych niemieckich służb połączenie organów bezpieczeństwa wewnętrznego z wywiadem zewnętrznym, ale my nie mamy zamiaru wspierać tego typu rozwoju.

W grudniu 1950 r. wymieniliśmy poglądy na temat sposobów pozbycia się Gehlena, jeżeli pojawi się taka potrzeba, i zdecydowaliśmy wówczas, że nie powinniśmy przeoczyć okazji dania mu kopniaka w górę do służby w rządzie w Bonn. W szczególności jeżeli tego typu stanowisko związane byłoby z wojskiem, to nie ma wiele wątpliwości, że Gehlen by je z radością zaakceptował i z dużym prawdopodobieństwem nie

kontynuowałby wywieranie niepożądanego wpływu na ZIPPER-a.

Promowanie zięcia

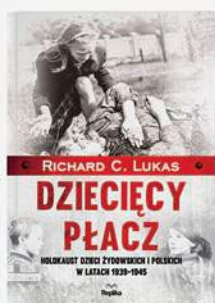
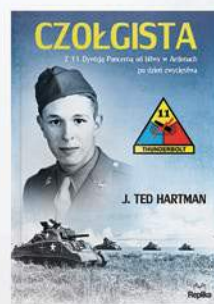
W maju 1956 r. Gehlen i jego żona Herta z domu Seydlitz-Kurzbach zaprosili do swojego domku w Bergu, kończącego prawie ośmioletnią letnią misję w Pullach i wracającego do USA, Kenta Jamesa Mashalla vel Critchfielda wraz z małżonką. Gehlen wręczył wówczas Amerykaninowi m.in. pamiątkowy złoty medal z wygrawerowaną postacią św. Jerzego pokonującego smoka. Gehlen zdecydował, że św. Jerzy będzie patronem jego organizacji. Na medalu wyryta była data „3.31.1956” będąca ostatnim dniem istnienia Organizacji Gehlena. 1 kwietnia 1956 r. rozpoczęła działalność federalna służba wywiadu BND. Państwo Gehlenowie zwrócili się do gości z prywatną prośbą. Chodziło im o roztoczenie opieki nad Kathariną, która zapisała się na studia w Hunter College w Nowym Jorku. Usłyszeli, że ich córka w trakcie pobytu w USA może traktować dom państwa Critchfield-

dów jak rodzinny i że zrobią wszystko, aby jej pobyt był bardzo udany. Tak też się stało. Po powrocie ze Stanów Katharina poślubiła o 19 lat starszego od siebie, urodzonego we Wrocławiu, odznaczonego w 1942 r. Krzyżem Rycerskim oficera armii niemieckiej, Alfreda Dürrwängera. Jak przystało na jednego z 16 członków „klanu Gehlenów”, pracował w BND. Kierował biurem w Bonn. W 1962 r. Katharina zapragnęła powrócić do USA. W związku z tym Gehlen zwrócił się do Amerykanów o wyrażenie zgody na objęcie stanowiska szefa misji BND w Waszyngtonie przez jego zięcia. Ku ogromnej konsternacji generała Amerykanie odmówili. Był kompletnie rozczarowany i po rozmowie z córką podjął natychmiastową decyzję o delegowaniu jej męża jako przedstawiciela BND do Paryża. I w tym przypadku Amerykanie nie pozostali bierni, informując Francuzów o swoim negatywnym stanowisku zajętym wobec zięcia Gehlena. Po latach Katharina wspominała, że ta negatywna postawa kierownictwa CIA wobec jej męża ponownie obudziła w jej ojcu wielkie antyamerykańskie resentymenty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

HISTORYCZNE BESTSELLERY ROKU



Replika
wydawnictwo
www.replika.eu

Tel. 61 868 25 37
Tel. 515 339 739



Sławomir Koper

/ Kobiety uwielbiały polskiego wirtuoza, wpadały w erotyczną ekstazę na jego koncertach. On sam również nie stronił od przygód ani romansów

Po zakończeniu nauki w stołecznym Instytucie Muzycznym Paderewski został tam nauczycielem w niższej klasie fortepianu. Jedną z jego uczennic była pochodząca z Kresów Antonina Korsakówna. Dość przeciętnie uzdolniona muzycznie (podobno w karierze pianistki przeszkadzała jej zbyt drobna budowa) posiadała jednak wdzięk i urok, które ujęły przyszłego wirtuoza. Poprosił ją o rękę, został przyjęty, pobrali się i zamieszkali w Warszawie przy ul. Chmielnej. Rok później Antonina urodziła syna i kilka dni później zmarła, a na domiar złego młody Alfred doznał paraliżu dziecięcego i nigdy już nie powrócił do zdrowia.

W tym czasie pianista poznał Helenę Górską (z domu Rosen), wywodzącą się z rodziny spolonizowanych inflanckich Niemców. Była żoną skrzypka i kompozytora Władysława Górskiego, wraz z mężem prowadziła w Warszawie salon muzyczny. Otoczyła Paderewskiego opieką, namawiając go do studiów kompozytorskich. To pod jej wpływem wyjechał do Berlina, a potem do Wiednia, by kontynuować naukę. Był zdeterminowany, by podbić koncertowe sale Europy, i niebawem miał ten cel osiągnąć.



RYŚ KRZYSZTOF WRZYKOWSKI

Polska i miłość / Kobiety wybitnego pianisty

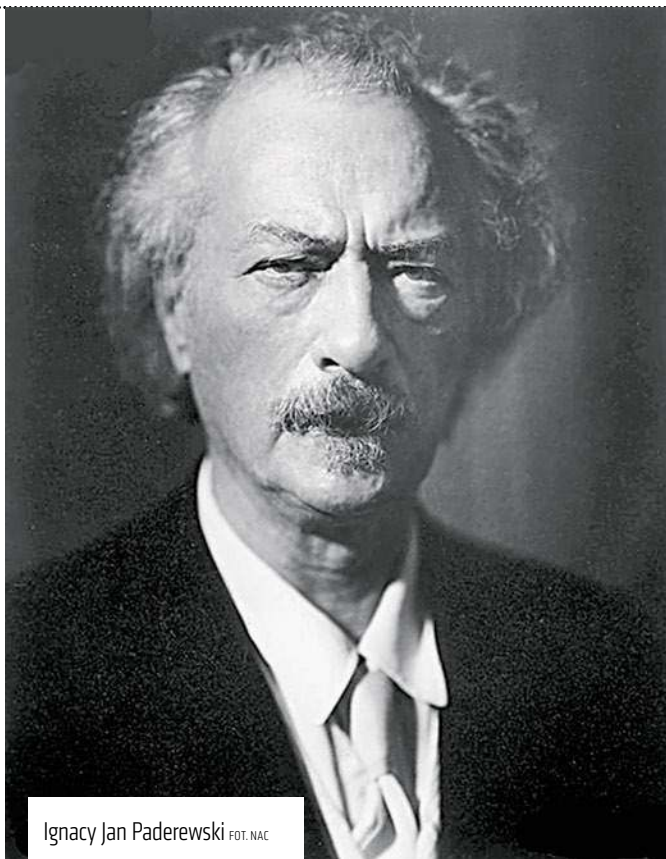
Romanse Paderewskiego

Pierwsze sukcesy osiągnął w Paryżu, a ogromną rolę odegrała jego prezencja. Szczupły, bardzo przystojny mężczyzna, o twarzy otoczonej aureolą złotorudych włosów. Wyglądał jak personifikacja wirtuoza, ucieleśnienie kobiecych marzeń o prawdziwym artyście. Pełen temperamentu, z uczuciem interpretował jednak fragmenty pełne melancholii, aby po chwili olśnić słuchaczy wręcz książęcą elegancją.

Zapraszano go do domów najzamożniejszych: Rothschildów, Radziwiłłów, Czartoryskich, Polignaców. Poznał miejscowy świat artystyczny: Gounoda, Saint-Saënsa, Massenet, Faurégo, Delibes, Sarah Bernhardt. Szczególną jednak rolę w jego życiu odegrać miały dwie rumuńskie księżne mieszkające nad Sekwaną.

Rachel de Brancovan – piękna 40-letnia Greczynka – była wdową po potomku gospodarów wołoskich. Utalentowana pianistka prowadziła najważniejszy salon muzyczny Paryża i Paderewski szybko został jej kochankiem. Oparł się natomiast wdziękiem innej rumuńskiej księżnej, Heleny Bibesco. Młoda wdowa bez końca zapraszała go do siebie, codziennie pisywała do niego listy. Na obiadach, wydawanych na jego cześć, wszystko było à la Polonaise, a kiedy wspomniano przy niej imię artysty, przejmująco wdychała, a w jego obecności teatralnie mdlała. Paderewski zdecydowanie jednak preferował księżną Rachel, w której znalazł inteligentną przyjaciółkę i namiętną kochankę.

Pod wpływem Paderewskiego księżna de Brancovan porzuciła żalobę, ponownie stając się wesołą, pełną temperamentu kobietą. Opiekowała się partnerem, interesowała się niemal każdym jego krokiem. Kiedy wyjeżdżał z Paryża na koncerty, zasypy-



Ignacy Jan Paderewski FOT. NAC

wała go troskliwymi listami, nie przekraczając jednak granic dobrego smaku, czego nie można powiedzieć o księżnej Bibesco.

Rachel nie zdawała sobie jednak sprawy, że ma w Paryżu groźną rywalkę. Paderewski, nie przejmując się specjalnie sytuacją, nawiązał równocześnie romans z Heleną Górską. Obie panie były ze sobą zaprzyjaźnione, a Paderewski utrzymywał z mężem Heleny bliskie kontakty. Często grywali razem na koncertach, przez wiele lat korespondowali, Górscy również od lat opiekowali się jego sparaliżowanym synem.

Można podziwiać umiejętność dyplomatyczne Paderewskiego – przez dłuższy czas żadna z pań nie dowiedziała się o swojej rywalce. A Paderewski zrezygnował między obiema paniami. Wakacje spędził po połowie: jedną spędził z Rachel w jej willi nad Jeziorem Genewskim, a drugą z Heleną w Paryżu...

korespondencję z Rachel. Mniej szczęścia miała księżna Bibesco – jej listy z reguły pozostawały nieodpieczone.

Po powrocie z USA Paderewski udał się na wypoczynek do willi Rachel. Oczywiście kontynuowali romans, chociaż księżna podejrzewała go o zdradę. Domysły kierowała jednak na kontynent amerykański, nie przypuszczając, że jej prawdziwa rywalka przebywa w Paryżu. Kiedy wreszcie artysta przyjechał nad Sekwanę, pani Górską przedstawiła swoje warunki. Od tej pory mieli już być razem i nie było od tego odwołania. Ignacy przyjął ultimatum, ale pragnął zdyskontować swój amerykański sukces. Tego pani Helena nie potrafiła zrozumieć. Straciła panowanie nad sobą, podała kontrakt, zarzucając kochankowi skrajny egoizm. A przecież Paderewski miał teraz na utrzymaniu oprócz siebie jeszcze cztery osoby (wliczając w to ojca w kraju).

Kłótnie kochanków

Helena potrzebowała jednak partnera nie tylko życiowego, lecz także erotycznego. Nie wiemy, jak układało się jej współżycie z Górkim, ale na pewno doceniała seks z Paderewskim. Zachowane listy nie pozostawiają wątpliwości:

„Chcę Ciebie – rozumiesz – chcę – po nocach całych wołam i zrywam się do uścisków Twoich – Chcę ust Twoich – chcę rozkoszy – Ciebie, Ciebie – A tyś daleko – a życie mija – a mnie bez Ciebie pusto, zimno i tęskno. Nie gorsz się tym – żem Ciebie tak spragniona. Tyś mnie uczynił taką. Chciałeś namiętności, chciałeś zmysłowości – więc ją masz – ciesz się dziełem swoim i kochaj

„mnie – kochaj, bo pomimo tylu przeżytych rozkoszy – ja Ci jeszcze dużo dam szczęścia. Zobaczysz. Jeszcze nieraz będziemy bliscy nieba”.

Kiedy Ignacy w połowie 1893 r. powrócił z drugiego amerykańskiego tournée, wydawało się, że już na stałe związał się z Heleną. Lato spędzili w wynajętym domu w Normandii, Helena przyjęła odminną taktykę od rumuńskiej księżnej. Stwarzała domową atmosferę, czemu służyć miały obecność Alfreda oraz przyjazd siostry Paderewskiego. Nie zmienia to faktu, że w lipcu wyjechał z Normandii, aby spędzić z księżną kilka tygodni w Szwajcarii i we Włoszech. Odnawili romans – najwyraźniej monogamia była pojęciem obcym dla Paderewskiego. Kiedy jednak zdecydował się na powrót ze Szwajcarii do Paryża, doszło do kłótni z kochanką. Księżna de Brancovan również oczekiwała wyłączości.

Paderewski powrócił nad Sekwanę i wynajął małe mieszkanie, ukrywając się przed znajomymi (przed Heleną również). Stołował się w małym bistro, które odwiedzali miejscowi dorożkarze i – co dziwne – zachwycał się jedzeniem. Można podejrzewać, że na pewien czas miał dosyć obu kochanek.

Poprzednik Elvisa

Pierwsze amerykańskie tournée przyniosło Paderewskiemu gigantyczny sukces, po pierwszych koncertach amerykańskich melomanów ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Podstawiano specjalne pociągi, zapewniając dojazd na koncerty, publiczność chwila zachowywała się jak podczas rozgrywek sportowych.



Ignacy Jan Paderewski z żoną Heleną i Augustem Zaleskim, posłem RP (z prawej), we Włoszech. FOT. NAC

Przed kasami biletowymi rozgrywały się dramatyczne sceny, na wieczorne koncerty przyjeżdżano już wczesnym rankiem.

Diennikarze nie ograniczali się wyłącznie do recenzji z koncertów Paderewskiego, relacjonowali niemal każdy krok pianisty. Szczególne zainteresowanie budziły objawy entuzjazmu wielbicieli; jak zwykle przodowały w tym kobiety:

„Sama zapowiedź recitalu Paderewskiego wywołuje u obu płci [...] podniecenie nie mniejsze niż ukazanie

ciasnych. Dziewczęta rosły i wybujały, a także krępe i niskie. Te w kapeluszach i te w czepkach. Z obrączkami i bez”.

Na pierwszych stronach gazet diennikarze donosili: „dziewczęta w spazmach”, „szał dziewcząt na poranku muzycznym”. Ktoś zauważył, że „długowłose pianista działa na kobiety nowojorskie tak samo jak słoik konfitur na sieroty z przytułku”.

Podobno „trzy nowojorskie damy wyszły sobie na swoich pończochach frazy muzyczne z »Menueta« artysty”.

Jeden z muzycznych recenzentów stwierdził, że Paderewski działa na kobiety jak słoik konfitur na sieroty z przytułku

się w ulu ćmy trupiej główki. Istotnie, recitale fortepianowe odwiedzają przedstawiciele obu płci. Ponieważ jednak kobiety stanowią płęć silniejszą i bardziej energiczną, wczoraj zajęły wszystkie miejsca na recitalu Paderewskiego w Carnegie Hall, zasłaniając cały widok białymi kapeluszymi”.

Podobno na niektórych koncertach 90 proc. słuchaczy stanowiły kobiety:

„Znalazłem się tam po prostu osaczony przez dziewczęta. Wokół mnie kipiało potężne i dominujące królestwo kobiet. Miałem wokół siebie dziewczęta w białych jedwabnych i flanelowych bluzkach; te w luźnych gorsetach i w gorsetach

Podczas jednego z koncertów „liczna grupa rozhisteryzowanych dam zebrała się z przodu sali, gdzie oparłszy brody na estradzie, trwały jak zahipnotyzowane”. W 1894 r. w Edynburgu „około tuzina zemdlnych dam trzeba było wynieść z sali”. Na podobne przejawy uwielbienia dla artysty świat musiał poczekać aż do czasów Elvisa Presleya i The Beatles...

Helena Górka nieważniła swoje małżeństwo i w maju 1899 r. w Warszawie wyszła za Paderewskiego. Pianista był już wówczas właścicielem szwajcarskiej posiadłości Riond-Bosson w Morges nad Jeziorem Genewskim. Zarekomendowała mu ją Rachel de Brancovan, a jej opinia

przypadła Paderewskiemu do gustu. Wynajął willę jako dom letniskowy, a następnie kupił ją na własność.

Atmosfera Szwajcarii odpowiadała Paderewskiemu – dodatkową atrakcją były doskonałe połączenia kolejowe niemal z całym kontynentem. Największe znaczenie dla pianisty miał jednak alpejski klimat, idealny dla chorego Alfreda. Syn pianisty dobrze czuł się nad Jeziorem Genewskim, a ojciec zrobiłby wiele dla jego szczęścia.

Posiadłość obejmowała 23 ha parku i kilkukondygnacyjny dom o dziwacznej architekturze. Biograf Paderewskiego (Adam Zamojski) zauważył, że wyglądał jak „skrzyżowanie domu letniskowego z pałacem weneckim z dodatkiem pewnych rysów charakterystycznych dla hotelu Ritza”. Nazwał budowlę „obrzydliwą” i zapewne miał dużo racji. Jednak gust jest sprawą czysto osobistą, a Paderewskiemu dom bez wątplenia odpowiadał, Helena zresztą również.

Otruć panią Paderewską!

Bałwochwalcze uwielbienie Heleny dla męża stało się problemem, gdy pianista został premierem rządu odrodzonej Rzeczypospolitej. W ramach troski o jego zdrowie namawiała go do odpoczynku, gdy miał zaplanowane ważne spotkania, odprawiała umówionych peentów bez jego wiedzy. Kiedy spał, osobiście przyjmowała dokumenty, otwierając je (!) rzekomo po to, aby sprawdzić ich wagę. Dokonywała w ten sposób selekcji czy wręcz cenzury informacji dochodzącej do premiera. Często ważne wiadomości nie dochodziły do Paderewskiego, albowiem

Helena potrafiła zapomnieć, gdzie włożyła papiery. Najczęściej odnajdywano je w praniu pani premierowej, co – biorąc pod uwagę to, że pianista był jednocześnie ministrem spraw zagranicznych – groziło poważnymi konsekwencjami.

Helena nie potrafiła również zachować się publicznie w sposób odpowiadający jej pozycji, a także wiekowi. Wywołała niezdrową sensację, gonianą za mężem wychodzącym z paryskiego Ritza na obrady konferencji paryskiej, wykrzykując: „Inuniu, zwierzaku mój, zapomniłeś szaliczka!” (mieli wówczas oboje po blisko 60 lat!). Co gorsza, potrafiła przerwać posiedzenie Rady Ministrów, wchodząc bez pukania na salę i zwracając się do członków gabinetu:

„Dajcie już spokój mojemu mężowi, tak mi biedaka męczą... A czy długo jeszcze będą panowie radzić?”.

Siedziała przy tym na poręczy fotela premiera i głaśniała go po głowie...

Kiedy Piłsudski zapraszał Paderewskiego do Belwederu, oczywiście jechała z mężem. Bez ceregieli wchodziła do gabinetu i była obecna przy rozmowach. Piłsudski, chcąc w Belwederze spokojnie porozmawiać z Paderewskim, wychodził z nim do łazienki na papierosa. Roman Dmowski powiedział wprost, że premier może liczyć na jego współpracę wyłącznie wówczas, jeśli otruły żonę.

Pani premierowa nie cieszyła się popularnością, opowiadano na jej temat różne historie, po latach trudno odróżnić prawdę od złośliwej propagandy. Podobno nawet gdy ofiarowywała wotum na Jasną Górę, to kazała wyrzucić (wygrawerować?) napis: „Helena, Marii!”. Najwyraźniej według opinii publicznej żona premiera czuła się równa Matce Boskiej.

Paderewski podał się do dymisji na początku grudnia 1919 r. i trzy lata później wyruszył w swoje kolejne tournée koncertowe. Entuzjazm słuchaczy przejawiał się w niespotykanych formach – kiedy w maju 1924 r. wszedł na estradę w Brukseli, belgijska para królewska powstała w swojej łóż, składając hołd pianistę!

Upływ czasu nie wpłynął negatywnie na przejawy entuzjazmu płci pięknej. Na jednym z koncertów damy w sukniach wieczorowych wdrapywały się na estradę „jak małpy”, zdarzyło się także, że Paderewski „przy akompaniamencie burzy okrzyków stał się ofiarą ataku trzech zwalistych niewiast, z których jedna nie miała lat dwudziestu”.

Paderewski wydawał się niezniszczalny, czego nie można było powiedzieć o Helenie. W połowie lat 20. pojawiły się u niej symptomy demencji starczej, nie mogła już towarzyszyć mężowi w jego trasach koncertowych. Helena zmarła 16 stycznia 1934 r., pianista przeżył ją o siedem lat. Chociaż do końca pozostawał aktywny w sprawach polityki i muzyki, to nigdy już nie powrócił do dawnej formy psychicznej.

Paderewski zmarł tak, jak żył – z ogromną klasą. Pod koniec czerwca 1941 r. u przebywającego w USA pianisty rozpoznano zapalenie płuc. W niedzielę, 29 czerwca, stan jego zdrowia gwałtownie się pogorszył i wezwany ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Kiedy otoczenie oczekiwało na śmierć pianisty, Paderewski niespodziewanie oprzytomniał i zażądał szampana. Wypił podany trunek, po czym zapadł w sen, z którego już się nie obudził. Pochowano go kilka dni później na cmentarzu Arlington.

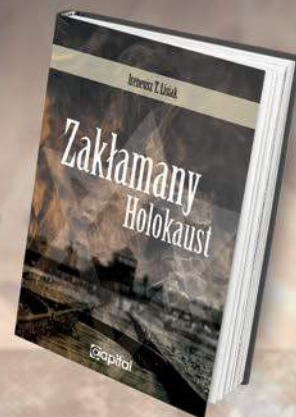
© Wszelkie prawa zastrzeżone

IMPERIUM
DOBRYCH
KSIĄŻEK

WYDAWNICTWO
capital

ZAKŁAMANY HOLOKAUST

32,00 ZŁ
39,90 ZŁ



NINIEJSZA POZYCJA OPISUJE ZAKŁAMANE HISTORIE OSÓB, KTÓRE CELOWO ZAFALSZYWAŁY HISTORIE DOTYCZĄCE HOLOKAUSTU, CZERPIĄC Z TEGO KORZYŚCI FINANSOWE I ZDOBYWAJĄC SŁAWĘ JAKO EKSPERCI HISTORYCZNI, CZĘSTO SZKALUJĄC POLSKĘ I POLAKÓW.

ŻYDOWSCY KOLABORANCI HITLERA

32,00 ZŁ
39,90 ZŁ



„SZALEŃCZO POSZUKUJĄC KOLABORANTÓW WŚRÓD NARODÓW EUROPEJSKICH, ZAPOMINA SIĘ O NARODZIE, KTÓRY BYŁ DLA ŻYDÓW NAJGROŹNIEJSZY. NIEZWYKLE CIEKAWIE, BOGATO UDOKUMENTOWANE OPRACOWANIE, UKAZUJĄCE NIECHŁUBNĄ STRONĘ LOSÓW NARODU ŻYDOWSKIEGO.

☎ 533 496 436 ✉ sklep@capitalbook.pl

www.capitalbook.pl

Wywiad / Z amerykańskim historykiem prof. Jonathanem Brentem



Piotr Zychowicz

Pisarz Aleksandr Fadiejew przemawia podczas pogrzebu Solomona Michaela, 1948 r.

FOT. GETTY IMAGES

Żydowskie ofiary Stalina



/ Stalin oskarżył żydowskich lekarzy o chęć zamordowania kierownictwa ZSRS. To miał być pretekst do wielkiej czystki

PIOTR ZYCHOWICZ: W 1942 r. w Związku Sowieckim powstał Żydowski Komitet Antyfaszystowski. Po co Stalinowi był ten komitet?

PROF. JONATHAN BRENT: On miał otworzyć mu drogę do Ameryki. Stalin wiedział, że w Stanach Zjednoczonych żyje wielu Żydów pochodzących z byłego Imperium Rosyjskiego. Za pomocą komitetu chciał wpłynąć na nich, aby naciskali na amerykański rząd w sprawie utworzenia drugiego frontu i udzielania większej pomocy Armii Czerwonej.

W 1943 r. Sowieci zorganizowali nawet specjalny wyjazd członków Żydowskiego Komitetu do Ameryki. To dość nietypowe, bo bolszewicy rzadko wypuszczali swoich obywateli za granicę.

Stalinowi tak bardzo zależało na dotarciu do amerykańskiej opinii, że gotów był zaryzykować. I miał rację.

Podróż po Ameryce i innych państwach Zachodu trwała kilka miesięcy, a członkowie komitetu zebrali miliony dolarów. Zorganizowali też olbrzymie proswieckie wiece, w których brało udział po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Między innymi w słynnej hali Madison Square Garden w Nowym Jorku, która była zapchana do ostatniego miejsca.

Kto stał na czele tej delegacji?

Przewodniczący komitetu wielki aktor i reżyser – Solomon Michael. Spotkał się on z Einsteinem i innymi sławnymi postaciami. Amerykańskie gazety pisały o przybyściach ze Związku Sowieckiego na pierwszych stronach. Ta podróż zrobiła naprawdę wiele dla poprawy wizerunku Stalina i Sowietów w Ameryce.

Czyli komitet był użytecznym narzędziem, które po wojnie – gdy Hitler został pokonany – przestało być potrzebne.

Dokładnie. Stalin już go nie potrzebował. Tymczasem Michael uważał, że jego pozycja jest bardzo mocna. Wierzył, że uda mu się załatwić coś u Stalina dla sowieckich Żydów, dla rozbitej, rozproszonej społeczności ocalałych z Holocaustu. Michael chciał, żeby Żydzi poczuli

się znowu narodem. Zjednoczyli się.

Członkowie komitetu wpadli na pomysł, żeby utworzyć autonomiczną republikę żydowską na Krymie.

To nie był nowy pomysł. Mówiono o tym już w latach 30. Zapowiedziano wówczas sowieckim Żydom, że mogą się tam osiedlać. Uprawiać ziemię, tworzyć żydowską społeczność. I tysiące Żydów rzeczywiście przeniosły się na Krym. Wydawało się to lepszym pomysłem niż tworzenie żydowskiej republiki w odległym egzotycznym Birobidżanie.

Czyli po prostu odkurzono ten pomysł.

Tak. Dwóch wpływowych członków politbiura – Władimir Łenin i Gieorgij Malenkow – podobno było „za”.

Tyle że to nie oni decydowali. Jaka była reakcja Stalina?

„Czego ci pieprzeni Żydzi ode mnie chcą!? Własne państwo na Krymie? Oni chyba powariowali!”. Proszę pamiętać, że to wszystko działo się w momencie tworzenia państwa Izrael. Stalin obawiał się – i miał trochę racji – że w Związku

Sowieckim dojdzie do żydowskiego ożywienia narodowego.

Dlaczego miał trochę racji?

W 1948 r. do Moskwy przyjechała izraelska ambasador Golda Meir. Wygłosiła mowę w wypakowanej ludźmi synagodze. Została przyjęta niezwykle entuzjastycznie, Żydzi dosłownie nosili ją na rękach. Żona Mołotowa, znana działaczka komunistyczna Polina Żemczużyna powiedziała jej w uniesieniu w języku jidysz: „Ich bin jidisze tochter”. Jestem córką żydowskiego narodu.

To nie skończyło się dla niej najlepiej.

Ktoś to usłyszał i przekazał Stalinowi. Dyktator uznał, że Żydzi – nawet na najwyższych stanowiskach partyjnych – nie są lojalnymi obywatelami. Uznał, że stali się patriotami Izraela. A co za tym idzie, nie można im ufać. W 1949 r. Żemczużyna została aresztowana. Oskarżono ją o kontakty z „kołami syjonistycznymi” i „żydowski nacjonalizm”.

Jednocześnie sowiecki aparat propagandowy rozpoczął nagonkę na Żydów, których nazwał „kosmopolitami”. Jak rozumieć to słowo?

Stalin wziął to od Hitlera. Oznaczało to, że Żydzi są ludźmi bez ojczyzny. A co za tym idzie, nie są nielojalni wobec krajów, w których mieszkają. Są lojalni tylko wobec siebie nawzajem. Słowo „kosmopolita” stało się nie tylko synonimem zepsutego Żyda, lecz także zaczęło być łączone z antyamerykanizmem.

No, tak. Zaczynała się przecież zimna wojna.

Stalin – tak jak wspominałem – chciał wyrugować żydowski patriotyzm. To nie był jednak największy problem, jaki miał po wojnie. Przede wszystkim Związek Sowiecki nie był w stanie wyżywić swojego narodu. Mimo wielkich zwycięstw pod Stalingradem i Berlinem gospodarka znajdowała się w fatalnym stanie.

To był permanentny stan gospodarki ZSRS.

Tak, ale po wojnie było to szczególnie widoczne. Sowieci zmiażdżyli Hitlera, podbili pół Europy, a mimo to nie byli w stanie zaspokoić najbardziej podstawowych potrzeb obywateli. Tymczasem Zachód świetnie się rozwijał.

Dla Sowietów to był wielki problem. Obnażało to bowiem prawdę o niewydolności komunistycznej utopii. I sprawności kapitalizmu.



Sowiecka karykatura ukazująca „prawdziwą twarz” lekarzy kremlowskich

FOT. ARCHIWUM

Właśnie dlatego setki tysięcy sowieckich jeńców, którzy przeżyli piekło niemieckich obozów, po „wyzwoleniu” powędrowały do łagrów. Dla Stalina to byli ludzie podejrzani, bo byli za granicą. Stalin robił wszystko, żeby ludzie nie dowiedzieli się, że Związek Sowiecki nie jest krajem mlekiem i miodem płynącym, jak to twierdziła czerwona propaganda.

Sowiety jednocześnie parły do konfliktu z Zachodem.

Po pobiciu Niemiec Stalin zdał sobie sprawę, że jego nowym wrogiem nie stała się wcale Wielka Brytania, której imperium obracało się w gruzy. I na pewno nie stała się nim Francja. Nowym wrogiem numer jeden stały się Stany Zjednoczone. Jednocześnie jednak ludzie sowieccy kochali Amerykę! Wszyscy wiedzieli o dostawach Lend Lease. O tym, że Ameryka dała Sowietom traktory, ciężarówki, buty i konserwy z mieloną. Mało tego, w 1945 r. wielu sowieckich żołnierzy poznało Amerykanów. Pili z nimi wódkę, fraterizowali się, prowadzili handel wymienny. Przekonali się, że Amerykanie nie są żadnymi diabłami, tylko bardzo miłymi ludźmi.

Domyślam się, że Stalinowi wszystko to bardzo się podobało.

(Śmiech) Ma pan rację. Stalin uznał więc, że musi zohydzić Amerykę w oczach społeczeństwa. Stwierdził, że skoro Żydzi już raz pomogli mu w jego polityce wobec Stanów Zjednoczonych, to mogą mu „pomóc” jeszcze raz. Stalin ogłosił, że cały Związek Sowiecki został opleciony lepką siecią żydowskiego spisku, za którym stoi Ameryka.

Kto konkretnie miał być amerykańskim agentem?

Oczywiście Żydzi z Komitetu Antyfaszystowskiego. Komitet został z polecenia Stalina rozwiązany w 1948 r. A jego członkowie rok później aresztowani. Ogłoszono, że są „szowinistami” i „szpiegami”. Byli bici, dręczeni w śledztwie. Zmuszano ich do składania samooskarżających się zeznań. Spośród 13 aresztowanych członków komitetu 12 zostało zamordowanych.

Co się stało z szefem komitetu Solomonem Michaelsem?

Zginął jako pierwszy. W styczniu 1948 r. kazano mu pojechać do Mińska, gdzie miał odbyć jakieś spotkanie. Tam czekali już na niego zabójcy z MGB. Według jednej z wersji staranowali go na ulicy samochodem. Według drugiej – uprowadzili, zamordowali, a następnie rozjechali ciężarówką jego martwe ciało. Tak, żeby upozorować wypadek. Egzekutorzy ci wykonywali osobisty rozkaz Stalina.

Sowieckie państwo stosowało metody mafijne.

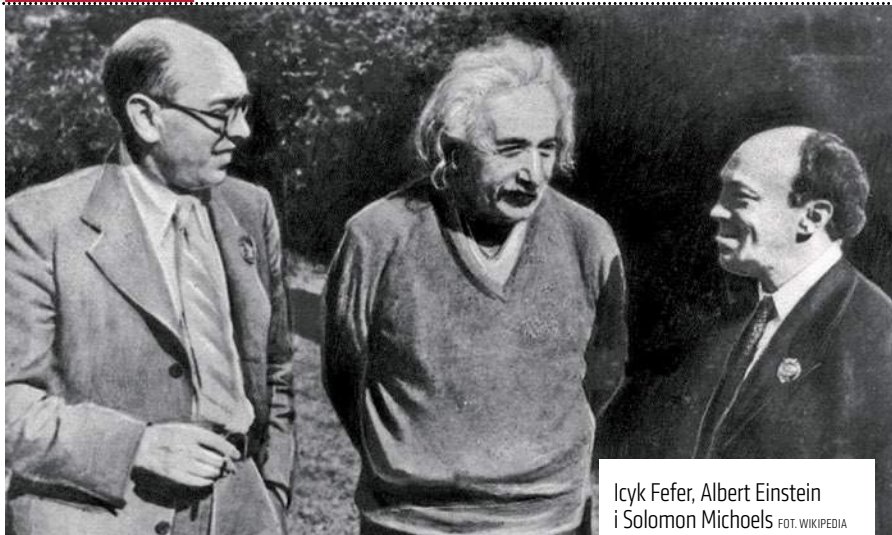
Najbardziej obrzydliwe w całej sprawie było to, że szczątki Michaela zostały przetransportowane samolotem do Moskwy. I tam urządzono mu uroczysty, partyjny pogrzeb.

To była pierwsza faza czystki.

Rozprawa z komitetem okazała się niewystarczająca. Nikt bowiem nie uwierzył, że grupka intelektualistów zagrażała bezpieczeństwu Związku Sowieckiego. Kto miał być tym groźnym amerykańskim agentem? Stary działacz bolszewicki Salomon Łozowski, który został komunistą, kiedy jeszcze nosił pieluszkę? Aktor i poeta Salomon Michael? Bądźmy poważni. Stalin potrzebował czegoś „mocniejszego”. To „coś” dostarczyła mu tajna policja.

Co to było?

Lekarze! Żydowski lekarze! W 1950 r. aresztowany został znany dr Jakow Etinger, który był luźno powiązany z Żydowskim Komitetem Antykomunistycznym. Jego sprawą zajmował się młody, ambitny oficer MGB Michaił Riumin. Riumin wymyślił iście diabelską intrygę – oskarżył Etingera o otrucie dwóch prominentnych sowieckich aparaczyków. Aleksandra



Icyk Fefer, Albert Einstein
i Solomon Michoels FOT. WIKIPEDIA

■ Szczerbakowa i Andrieja Żdanowa. Etinger był lekarzem Szczerbakowa i konsultantem lekarzy, którzy opiekowali się Żdanowem. Riumin postanowił to wykorzystać do spreparowania rzekomego spisku. Ówczesny szef MGB Wiktor Abakumow był jednak do tej sprawy nastawiony niezwykle sceptycznie.

Co zrobił Riumin?

Zaczął sadystycznie znęcać się nad Etingerem. Robił wszystko, by wycisnąć z niego przyznanie się do winy. Prześluchiwał go non stop przez kilkadziesiąt dni i nocy. Pozbawiał go snu. Kazał mu godzinami stać na baczność. Etinger miał tymczasem 64 lata, czyli – jak na warunki sowieckie – był starszym panem. W efekcie Riumin „przedobrzył”. W marcu 1951 r. Etinger wrócił z przesłuchania do celi i upadł na ziemię. Jego serce nie wytrzymało. Umarł. Dla Riumina była to prawdziwa tragedia.

Dlaczego?

Ponieważ nie udało mu się wycisnąć z Etingera przyznania się do winy! Stało się to w fatalnej sytuacji. Wychodził bowiem na to, że Abakumow miał rację. Sprawa była dęta i wobec Riumina mogły być wyciągnięte konsekwencje. Młody funkcjonariusz postanowił działać po sowiecku. Czyli zamiast się bronić – zaatakował. Wysłał do Stalina list, w którym skłamał, że Etinger przyznał się do winy. A Abakumow krył żydowskich spiskowców!

Stalin mu uwierzył?

Ta sprawa spadła Stalinowi jak z nieba! Zwołał specjalne posiedzenie Komitetu Centralnego i odczytał na nim siekrietnoje pismo. Ujawnił w nim

cały schemat rzekomego spisku lekarzy. Na terenie całego Związku Sowieckiego żydowscy lekarze planowali otruć działaczy partyjnych i dowódców Armii Czerwonej. Planowali wymordować całe sowieckie kierownictwo! Według Stalina ci wredni lekarze mogli swobodnie knuć i spiskować, bo parasol ochronny rozpięli nad nimi Wiktor Abakumow oraz kierownictwo MGB.

I rozpoczęła się czystka.

To była prawdziwa histeria, podsycana przez agresywną sowiecką propagandę. Dochodziło do tego, że matki były się przyprowadzać do żydowskich lekarzy dzieci. Nie przepisywano opatentowanych przez nich leków, zabroniono korzystania z napisanych przez nich podręczników medycyny. Żydów wyrzucano z pracy. Nie tylko lekarzy, lecz także dziennikarzy, naukowców, inżynierów. Rozpoczęły się aresztowania.

Wróćmy do spisku lekarzy kremlowskich. Ilu z nich trafiło za kraty?

Czterdziestu trzech. To byli najstynniejsi, najwybitniejsi lekarze ZSRS. A co ciekawe, w grupie tej znaleźli się nie tylko Żydzi. Aresztowani zostali: Jegorow, Wasilenko, Majorow, Winogradow. Ten ostatni był osobistym lekarzem Stalina, który popełnił poważny błąd. Po wojnie powiedział dyktatorowi, żeby wziął wolne i pojechał na długie wakacje. Stalin – jako paranoik – odebrał to jako spisek mający na celu odebranie mu władzy. I nigdy mu tego nie zapomniał.

Jak lekarze byli traktowani w śledztwie?

MGB starało się – wszystkimi znanymi sobie metodami – zmusić ich do przyznania się do współpracy z amerykańskim

wywiadem. Do zamordowania szefa Kominternu Georgiego Dimitrowa i pisarza Maksyma Gorkiego. Na liście przyszłych ofiar spiskowców miał się zaś znajdować sam towarzysz Stalin. Według śledczych celem spisku miało być obalenie partii komunistycznej.

Co się tymczasem działo na szczytach MGB?

Dotychczasowy szef bezpieczeństwa Abakumow i jego najbliżsi współpracownicy zostali zdymisjonowani i aresztowani. Do więzień wtrącono także żydowskich oficerów MGB. Podczas brutalnych przesłuchań kazano im przyznać się do tego, że byli żydowskimi szowinistami; że mieli uważać, iż rasa żydowska jest inteligentniejsza niż inne rasy. A co za tym idzie, Żydzi powinni rządzić Związkiem Sowieckim i światem. Rosjanie i inni Słowianie powinni zaś służyć Żydom jako niewolnicy.

A co się działo z Riuminem?

Stalin oczywiście docenił jego wysiłki. Riumin piął się po szczeblach kariery.

Jak – w zamyśle Stalina – miała się zakończyć sprawa lekarzy?

Wielkim procesem pokazowym, na wzór procesów z lat 30. Cały świat miał się dowiedzieć o podłych knowaniach Żydów i Amerykanów. Wszyscy winni mieli być oczywiście straceni. To, do czego są zdolni bolszewicy, pokazała noc zamordowanych poetów. 12 sierpnia 1952 r. MGB jednej nocy potajemnie straciło na Łubiance 13 żydowskich literatów.

Na kiedy planowano ten wielki proces?

Początkowo miał się odbyć w 1951 r., ale śledczym nie udało się przygotować całego materiału „dowodowego”. Wówczas Stalin przełożył go na rok 1952, ale MGB znowu nie dotrzymało terminu. Ostatecznie datę procesu ustalono na wiosnę 1953 r., ale 5 marca zmarł Stalin.

Na szczęście!

A wiedział pan, że zgon dyktatora nastąpił dokładnie w święto Purim?

Nie, nie wiedziałem. To nie mógł być jednak przypadek!

(Śmiech) Tak, to na pewno nie był zbieg okoliczności. Śmierć dyktatora uratowała życie kremlowskim lekarzom i wszystkim Żydom, którzy siedzieli w sowieckich więzieniach w oczekiwaniu na procesy.

Cud.

Nie, to nie był cud. Ci wszyscy ludzie zawdzięczają ocalenie konkretnej osobie. Była to kobieta. Nazywała się Sophia Karpai. Była technikem medycznym zajmującym się obsługą elektrokardiogramu. Gdy MGB zaczęło preparować sprawę lekarzy kremłowskich, została aresztowana. Dla oficerów śledczych, którzy montowali schemat rzekomego spisku, ta skromna kobieta miała kluczowe znaczenie. Była najważniejszym elementem całej układanki.

Dlaczego?

Ponieważ była jedyną osobą żydowskiego pochodzenia, która rzeczywiście brała udział w nieudanej terapii Andrieja Żdanowa! Zmuszenie jej do przyznania się do udziału w spisku było więc kluczowe, aby cała układanka się zamknęła. Tymczasem Sophia Karpai była jedyną osobą spośród wszystkich aresztowanych, która nie dała się złamać! Wszyscy mężczyźni aresztowani w ramach sprawy lekarzy skapitulowali i podpisali to, czego żądało od nich MGB. A ona jedna konsekwentnie odmawiała!

Domyślam się, że oficerowie śledczy robili wszystko, by ją nakłonić do zmiany zdania.

Oczywiście, była strasznie torturowana! Ku frustracji MGB ona jednak cały czas się trzymała. A co za tym idzie, spowiadała całą czystkę. To dzięki uporowi tej jednej żydowskiej kobiety sowieckie władze musiały odraczać termin wielkiego procesu pokazowego!

W końcu Beria się zniecierpliwił i napisał do Stalina:

„Myślę, że trzeba ją rozstrzelać!”.

Stalin jednak kategorycznie odmówił:

„Nie wolno jej rozstrzelać, ona musi mówić”.

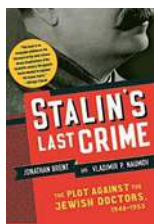
Sophia Karpai nie chciała jednak mówić. I w ten sposób ocalała wszystkich! Niestety Karpai została niemal całkowicie zapomniana. Dzisiaj nikt o niej nie pamięta. A rola, jaką odegrała, była gigantyczna.

Czyli to prawda, że kobiety są jednak twardsze od mężczyzn.

(Śmiech) Tak, to prawda. Musi pan to koniecznie powiedzieć w Polsce.

Słyszę to codziennie od swojej żony.

(Śmiech) To proszę opowiedzieć jej historię Sophii Karpai. To potwierdzi jej teorię.



**JONATHAN BRENT
VLADIMIR NAUMOV
„STALIN'S LAST CRIME: THE
PLOT AGAINST THE JEWISH
DOCTORS, 1948-1953”**

HARPER

Zakończenie tej historii jest typowo sowieckie.

Tak, po śmierci Stalina wszyscy oskarżeni zostali zwolnieni z więzienia. Sprawa została uznana za niebyłą. A nowa gwiazda w MGB zgasła tak szybko, jak zażyła. Michaił Riumin został rozstrzelany za... wymuszanie fałszywych zeznań. Zlikwidowano również wszystkie inne osoby, które były zamieszane w fabrykowanie spisku.

Czy to prawda, że sprawa lekarzy miała być początkiem kolejnej wielkiej czystki?

Tak, to prawda. Proszę pamiętać, że wojna wywarła wielki wpływ na Stalina. Kolosalna presja i stres, które towarzyszyły mu w trakcie konfrontacji z Hitlerem, odcisnęły na nim piętno. Zestarzał się, posiwił, przygarbił. A co za tym idzie, poczuł się zagrożony. Obawiał się, że inni czołowi działacze oraz rzesze młodych ambitnych aparatchyków odsuną go od władzy. Postanowił uprzedzić ich atak. Sprawa spisku lekarzy miała być wstępem do olbrzymiej czystki w partii, tajnych służbach i wojsku. To miała być kolejna totalna rzeź, na wzór straszliwych lat 1937-1938. Powtórka z wielkiego terroru.

Ta czystka nawet się chyba zaczęła.

Ma pan pewnie na myśli tzw. sprawę leningradzką. Na przełomie lat 40. i 50. MGB wymordowało cały aparat partyjny w tym mieście. Potem Stalin planował zabrać się do swojego „wewnętrznego kręgu”. Dokonać kolejnej masakry najwyższych rangą aparatchyków. Zlikwidować Mołotowa, Mikojana, a przede wszystkim swojego głównego rywala – Ławrientija Berię.

Czy to prawda, że Stalin planował też masowe deportacje Żydów?

Władimir Naumow – z którym napisałem książkę o spisku lekarzy – znalazł w archiwum KGB intrygujące dokumenty. Zatwierdzone w styczniu i lutym 1953 r. plany stworzenia czterech wielkich kompleksów łagrowych

na sowieckim Dalekim Wschodzie. Oficjalnie obozy te miały być przeznaczone dla „wyjątkowo groźnych” niemieckich zbrodniarzy wojennych. Więźniów tych miało być 19,6 tys. Problem w tym, że w 1953 r. w sowieckich rękach nie znajdowało się już tylu „niemieckich zbrodniarzy”.

Poza tym cztery wielkie kompleksy łagrowe to chyba trochę za dużo dla 20 tys. ludzi.

Naumow, który w latach 50. był młodym człowiekiem, powiedział mi, że mówiono wtedy, iż te obozy miały być przeznaczone dla Żydów. Niestety, nie zachowały się żadne dokumenty, które mogłyby to potwierdzić na 100 proc. Oczywiście Stalin nie planował „ostatecznego rozwiązania” w wersji sowieckiej. Chodziło raczej o odseparowanie i zniszczenie żydowskiej elity. To był znany, sprawdzony sposób Stalina. To samo zrobił z Polakami i innymi narodami, które ujarzmił.

Czy Stalin był antysemitą?

Nie, to złe postawienie sprawy. Stalin nienawidził wszystkich ludzi. Nienawidził wszystkich narodów. Gruzinów, Żydów, Ukraińców, Francuzów, Brytyjczyków, Polaków. Polaków pewnie nienawidził nawet bardziej niż Żydów.

Czyli motywem jego działań nie był antysemityzm, tylko nienawiść do człowieka.

Na tym właśnie polegał fenomen bolszewizmu. Stalin był nastawiony wrogo do ludzi. Sowiecki system był nastawiony wrogo do ludzi. Sowieckie państwo było nastawione wrogo do ludzi. Każdy człowiek – niezależnie od rasy, narodowości i wyznania – mógł paść jego ofiarą. Każdy człowiek mógł zostać przez nie poarty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Jonathan Brent jest amerykańskim historykiem i sowietologiem, dyrektorem YIVO Institute for Jewish Research w Nowym Jorku. Specjalizuje się w dziejach sowieckich Żydów. Napisał m.in. „Inside the Stalin Archives” i „Silence of Isaac Babel”.

Paweł Witaszek

Po latach dotarłem do rodzinnych relacji o zagładzie polskości na Kresach. Lektura odnalezionych dokumentów jest wstrząsająca

Ciocia Hala (1909–1999) nie była moją faworytką. Mieszkała, jak się wtedy wydawało, pod „ruską granicą” i przyjeżdżała do nas, mieszkańców warszawskiego gierkowskiego apartamentowca, na święta Wielkanocne i bożonarodzeniowe. Była starą panną. Może nie jakoś upiornie zrzędliwą, ale w odróżnieniu od ciotek mojego ojca na pewno nie była tryskającą radością. Była też elementem swoistej pedagogiki mojej mamy: „Pawełku, przyjeżdża ciocia Hala – postaraj się, żebym nie musiała się znowu za ciebie wstydzić”. Nie budowało to relacji. W konsekwencji niewiele, a praktycznie nic o niej nie wiedziałem.

Józef Zaremba, mój pradziadek, a ojciec cioci Hali, wyrósł na dalekich kresach I Rzeczypospolitej. Rodzina potrafiła wykazać się szlachectwem, ale własnego majątku już nie miała. Józef zarządzał więc majątkami cudzymi. Mimo wszystko żyło się dostatnio. Do kościoła jeżdżono powozem z czterema końmi. Przed I wojną Józefowi urodziło się troje dzieci (Edward, Wanda, Halina), a w jej trakcie najmłodszy syn – Władek. Edek (1905) chodził do szkoły w Humaniu.

O tych czasach, zresztą podobnie jak o innych, nic od cioci nie słyszałem. Pod koniec życia udało się jej nagrać luźne wspomnienia. Magnetofon się zaciął, taśma się później poskręcała. Zostało z tego ok. 20 minut. Słucham teraz tych opowieści z taśmy magnetofonowej przeniesionych na MP3. Słucham i odnajduję klimaty znane z opowiadań i ze wspomnień o zagładzie polskości na Kresach. W zasadzie pojawia się kilka obrazów. Każdy z nich wygląda na kopię ze znanej literatury, a ciocia Hala była przecież polonistką. Jeńcy austriaccy



Józef Zaremba (z prawej) FOT. ARCHIWUM AUTORA

1939–1945 / Koniec cywilizacji na Kresach

Ciocia Hala i Golgota Wschodu

przydani do pomocy we dworze. Opuszczenie dworu i ucieczka do miasta. Próba ratowania mebli. Powrót do dworu po pokoju brzeskim i wkroczeniu Niemców. Wyrozumiałość okazywana chłopom, którzy przed chwilą rabowali dwór – tu ciocia opowiada, że gdy na polecenie Niemców chłopci przyszliz zapłacić za zrabowany inwentarz i zapasy, dziadek brał pieniądze, a matka w drzwiach kuchennych je oddawała. Koczowanie tygodniami na dworcu w oczekiwaniu na miejsce w pociągach, które oblepione były ludźmi. Spieniężanie majątku, żeby zdobyć pieniądze na ucieczkę z bolszewickiego raju. I czekanie na Polskę, która upomni się o swoich i swoje, a w konsekwencji wyratuje z opresji.

Wielu Polaków uciekało na Zachód już jesienią 1919 r. Józef z rodziną wytrwali dłużej. Dzięki temu ciocia mogła wspominać wjazd Piłsudskiego do Winnicy wiosną 1920 r. Jednak do trzech razy sztuka – razem z odwrotem wojska z Kijowa spakowali się i pojechali na Zachód. Edek już wcześniej był w szkole w Równem. Żona, Julia z Tokarzewskich, z młodszymi dziećmi dotarła do Milanówka. Józef został, żeby jeszcze spakować trochę rzeczy. Przez pół roku nie było wiadomo, co się z nim dzieje – list aresztowanych ani pomordowanych nie ogłaszano, pocztą przez linię frontu nie kursowała, zresztą w obie strony nie było wiadomo, na jaki adres wysyłać. W końcu, już po Bitwie Warszawskiej, pojawił się z dwiema wa-



Ciocia Hala (z lewej) i Jerzy Putrament, 1933 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

lizkami starych ubrań. To wszystko, co udało się ocalić z rewolucyjnej i wojennej pożogi. Za kordonem zostały trzy siostry Józefa. Jedna najprawdopodobniej rozstrzelana z mężem, burmistrzem Baru już w trakcie rewolucji. Druga zmarła w latach 20. Ostatnia, zesłana kilka lat później, nie wróciła z zsyłki. Dzięki Internetowi po stu latach udaje się odnaleźć ich potomków.

Życie trzeba było zaczynać od nowa. W odbudowanej, ale skurczonej Rzeczypospolitej osób, które potrafiły zarządzać majątkami ziemskimi, nie brakowało. Józef trafił w okolice Słonima, gdzie administrował lasami. Wynagrodzenie było na poziomie wykwalifikowanego robotnika, więc dorabiali uprawianiem ogródka.

Mimo trudnej sytuacji finansowej dzieci się kształciły. Jedynie najmłodszy Władek zamiast się uczyć, młodo się ożenił. Niestety, z panną niezbyt wysokich lotów. Ciocia Hala najpierw myślała o ścieżce artystycznej – malowała i chciała studiować w tym kierunku. W końcu trafiła na polonistykę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Tuż przed wojną zaczęła pracę w gimnazjum w Baranowiczach. Pod pierwszą okupacją pracowała w szkole. Za Niemca pielęgnowała ogródki. Po wojnie goniła za przesuwaną się ponownie na zachód Polską – zapisała się na „repatriację” i w końcu wylądowała w Bielsku

Podlaskim. Nie chciała przenosić się do Warszawy. Chyba potrzebowała resztek kresowego klimatu. Żyła skromnie, nie brała odznaczeń, „nie płaszczyła się po komitetach”, chociaż ze studiów знаła Putramenta i w ogóle miała „wrażliwość lewicową”. Wojna wpoila w nią przekonanie o wartości dolara. Do końca życia wszystkie wolne środki zamieniała na dolary i trzymała „w skarpecie”. Przed wojną interesowała się okultyzmem i teozofią. Z Kościołem przez większą część życia była na bakier. Pod koniec lat 70. zaczął częściej odwiedzać ją dawny uczeń (matura ’49), który został księdzem. Gdy umarła, właśnie on odprawiał mszę pogrzebową i prowadził pogrzeb. Było to akurat w roku 50-lecia matury, więc resztki klasy także pojawiły się na pogrzebie. Wśród nich mama mojej koleżanki ze szkoły podstawowej.

Właśnie ów ksiądz opowiedział historię, która zupełnie nie pasowała do znanego obrazu cioci. Otóż ciocia była zaręczona i przez wiele lat czekała na powrót z wojny swojego narzeczonego. Sprawa wydawała się lekko nieprawdopodobną legendą, bo jakoś trudno było sobie wyobrazić tę wiekową zgorzkniałą starą pannę na ślubnym kobiercu. Gdy jednak trzeba było zrobić porządek z pozostałym po cioci skromnym dobytkiem, znalazły

się potwierdzające tę historię listy od Karola i pierścioneł, który można uznać za zaręczynowy. Czy Karol miał wrócić z lasu, z niewoli, wywózki czy zagranicznej tułaczki – tego nie wiemy. W każdym razie ciocia się go nie doczekała. Życia sobie „inaczej nie ułożyła”, za to postanowiła poświęcić się przekazywaniu młodzieży polskości. Też byłem po trosze obiektem w tej sztafecie, chociaż piękno literatury staropolskiej, którą próbowała mi podsuwać, odkryłem znacznie później i nie za jej sprawą.

Wśród pozostawionych szpargałów jest też trochę listów od starszej o dwa lata siostry, Wandy. Pierwsza kartka, datowana 10 lutego 1940 r., zaczyna się tak: „Kochana Hala, piszę w wagonie, który mnie wiezie na wschód...”. Z zachowanej korespondencji poznajemy codzienność zsyłki, której wśród wielu Polaków doświadczyci siostra i ojciec cioci Hali. Listy pisze Wanda, ojciec czasem dopisuje na koniec kilka słów. Przede wszystkim pięknie kaligrafuje adres ruskimi bukwami. Ta umiejętność, zdobyta jeszcze pod carskim samodzielnictwem, okazała się przydatna, gdy rządzący proletariatus upominał się o terytoria zamieszkałe przez swych braci Białorusinów i Ukraińców. Warunki pogodowe nie są zbyt korzystne, piłowanie drzewa zaś na tyle męczące, że Wanda po pół roku

zapada na ciężką chorobę. „Pan Bóg pozwolił jeszcze żyć, a doktor ratował tak szczerze, gorliwie, chyba swoich bliskich większą opieką nie otoczyłby. Pierwszą noc całą spędził ze mną i prawie całą noc przeleżałam z głową na jego kolanach. Przez kilka nocy przychodził w nocy, a potem o 6 rano zjawiał się dla mnie jak zbawienie, bo noc jak wiek. Niósł ukojenie i ulgę. Jest to, jak pisałam, Żyd, doktor z Warszawy, specjalista od dzieciennych chorób, ma bardzo miłą, inteligentną żonę, nic nieprzypominającą z akcentu ani bycia żydówką. Są to ludzie kulturalni, a używają tylko języka polskiego. Wysłano [czyli zesłano – przyp. P.W.] ich za to, że chcieli wrócić do Warszawy. Jak przyjechali, czuli się bardzo samotni i rozpaczni, a ja jak umiałam, starałam się im ułatwić pierwsze chwile i widocznie za to okazali mi tyle serca”.

Niesamowite: Żyd pragnący uciekać z czerwonego raju



Listy cioci Wandzi z zesłania

FOT. ZBIÓR AUTORA

■ pod jarzmo hitlerowskie, dopadnięty przez sowiecką sprawiedliwość, spotyka się z sympatią przedstawicieli jaśniepańskiej Polski i rewanżu-je się za to opieką w chorobie.

W masie spadkowej po cioci znalazła się też stara butelka wina. Wino jest domowej roboty i pewnie dawno się już zepsuło. Przywiózł je do Baranowicz, do swojej siostry, mój dziadek, Edward Zaremba. Zapropomował, żeby na razie go nie otwierać, tylko wypić, gdy wszyscy szczęśliwie spotkają się po wojnie. Nie wiadomo, kiedy dokładnie się to zdarzyło. Dziadek mieszkał w Warszawie, więc bardzo prawdopodobne, że już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, bo wcześniej komunikacja między Warszawą a Baranowiczami była raczej utrudniona. Jeżeli tak, to określenie „wszyscy” nie obejmowało już najmłodszego Władka. Wiadomo, że w związku z bliżej nieokreślonymi sprawami (praca konspiracyjna równie dobrze jak kontrabanda) przekraczał granicę między okupacją sowiecką a niemiecką. Wiosną 1941 r. jedna z wycieczek zakończyła się kąpielą w Bugu. Skutkiem było zapalenie płuc, a to z kolei doprowadziło do zgonu.

Dziadek Edward zdążył ożenić się przed wybuchem wojny, w 1939 r. Był chemikiem, w czasie studiów ukończył podchorążówkę, ale we wrześniu nie został zmobilizowany. Tak jak wielu mężczyzn „zdolnych do noszenia broni” wyszedł z Warszawy na wschód. Nie nawojował się, ale później konspirował, wykorzystując umiejętności zawodowe do produkcji materiałów wybuchowych. W czerwcu 1944 r. został aresztowany przez Niemców, a miesiąc później, po nieudanej akcji odbicia więźniów z Pawiaka, rozstrzelany. Po dziadku zostały kilka przedwojennych zdjęć i wysłana z więzienia kartka. Mieszkanie, tak jak większość budynków w Warszawie, legło w gruzach. Babcia, czteroletnia mama oraz urodzony już po aresztowaniu dziadka wuj, tak jak większość warszawiaków, spędzili najbliższe dwa miesiące w ciemnych i słabo wentylowanych pomieszczeniach.

W 1963 r., w 20. rocznicę powstania w getcie warszawskim, Edward



Pogrzeb Władka Zaremby, Baranowicze 1940 r. fot. ARCHIWUM AUTORA

Zaremba został odznaczony PRL-owskim orderem Virtuti Militari za pomoc okazaną bojownikom getta. Komunizm to jedno wielkie kłamstwo, więc i historia tego odznaczenia wydaje się związana z mistyfikacją. Zasługi dziadka, który faktycznie ratował Żydów i został przez Niemców zamordowany, posłużyły do uwiarygodniania życiorysów i dokonania cwaniaczków wpisujących się w komunistyczną narrację.

Józef Zaremba i Wanda zostali zwolnieni ze zsyłki w wyniku zawartego 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski. Dzięki skrupulatności sowieckiego systemu więziennego wiemy, kiedy zostali zwolnieni i jaki zadeklarowali cel podróży. Nigdy do niego nie dotarli. Ciocia Hala pewnego dnia nie spotkała świadka ich śmierci. Umarli jesienią 1941 r. na barce płynącej na południe gdzieś na Amu-darii. Nazywało się to: „śmierć z wycieńczenia”.

W jednym z listów Wanda pisała: „Doktorowa powiedziała, że jak kiedyś będziemy o sobie opowiadać, to nikt tego nie zrozumie, tak i moje

opowiadanie jest niczym. Trzeba było zobaczyć, dopiero coś o tym sądzić”.

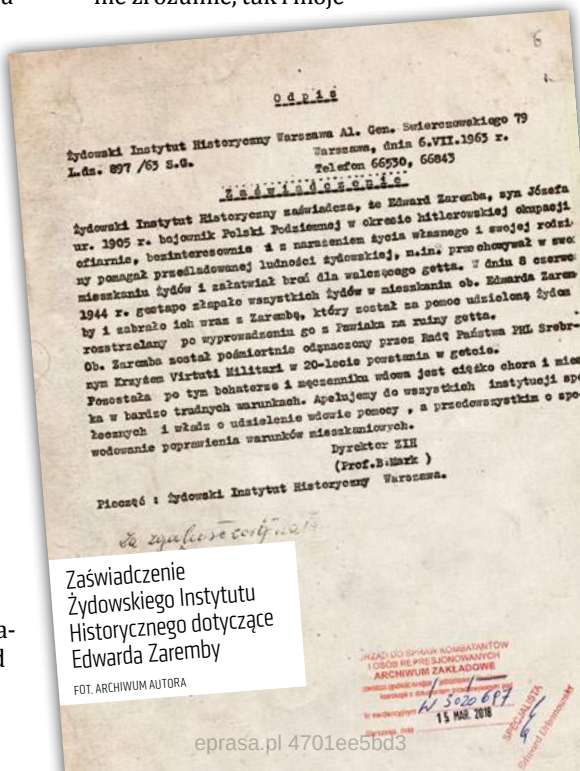
Pamiętam, gdy w VI czy VII klasie (druga połowa lat 70.) zrobiłem cioci mały egzamin z historii. Wiedziałem już wtedy o Katyniu, ale miałem świadomość, że jest to

wiedza tajemna. Minęły już wprawdzie czasy, kiedy głośno oskarżało się o Katyń Niemców, demaskując odmiennie myślących jako uczestników goebbelsowskiej propagandy. O Katyniu się po prostu nie mówiło. Indagowana w tej sprawie przeze mnie nauczycielka historii wyjaśniła, że nie wiadomo, czy to dzieło Niemców czy Rosjan. To był wariant B. Wariant A – najlepiej nic o tym nie mówić. Wiedząc już jednak, jak było naprawdę i jaka jest wersja oficjalna, zapragnąłem sprawdzić stan wiedzy cioci Hali. Popatrzyła na mnie, jakbym był lekkim przygłupem, a gdy nadal domagałem się jasnego określenia sprawców tej zbrodni, powiedziała: „Jak to kto? Sowiety”. Najpierw nie zrozumiałem lub też myślałem, że nie dosłyszałem. Problem polegał na tym, że takie słowo nie funkcjonowało w ówczesnej polszczyźnie. Były Kraj Rad, Związek Radziecki, z rzadka w miejsce przymiotnika „radziecki” używano „sowiecki”, ale „Sowiety” jako określenie państwa budującego raj na ziemi po prostu nie było w użyciu.

Co jakiś czas odżywa dyskusja, które określenie jest bardziej poprawne: „sowiecki” czy „radziecki”. Uważam, że słowa: „Sowiety”, „Sowieci” i „sowiecki” są zgrabniejsze językowo – krócej, a więc sprawniej możemy wypowiedzieć nazwę państwa, unikamy łamańców, próbując nazwać mieszkańców czy obywateli Związku Sowieckiego. Przede wszystkim tak się po prostu w wolnej Rzeczypospolitej mówiło. I chociażby z szacunku dla pokoleń cioci Hali wypada przywracać i upowszechniać ten zwyczaj.

Przed wielu laty przybyły z Ameryki ks. Peszkowski próbował upowszechniać określenie „Golgota Wschodu”. Czy jednak popularyzowane ostatnio za ocenami pojęcie „Polish Holocaust” nie oddaje znacznie lepiej tego doświadczenia?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zaświadczenie
Żydowskiego Instytutu
Historycznego dotyczące
Edwarda Zaremby

FOT. ARCHIWUM AUTORA



DAVE MATTHEWS BAND

EUROPE 2019

KONCERT

25 marca 2019 | 20:00
COS Torwar Warszawa

Bilety: prestigemjm.com

Z KAŻDYM ZAKUPIONYM BILETEM
 - NAJNOWSZY ALBUM COME TOMORROW DO POBRANIA ZA DARMO
DAVEMATTHEWSBAND.COM | WAREHOUSE.DAVEMATTHEWSBAND.COM

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOŁĘDY”

zaśpiewają:

**Beata Rybotycka, Edyta Krzemień,
 Joanna Pocica, Maciej Balcar,
 Zbigniew Preisner,
 Zespół Jana Karpiela Bułecki**

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
 14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
 15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
 16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
 17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
 19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

1795–1798 / Grodno i Petersburg

Smutny koniec Stanisława Augusta



Tomasz Stańczyk

/ Był wprawdzie honorowanym, ale i faktycznym więźniem politycznym w Rosji. Ostatnim aktem jego uległości i upokorzenia stała się abdykacja

Swiętując stulecie odzyskania niepodległości, trudno uciec od pytań, dlaczego utraciliśmy ją w XVIII w. Historycy podzielili się na dwa obozy. Jedni upatrują przyczyny rozbiorów w agresywnej polityce i apetytach potężnych sąsiadów Rzeczypospolitej. Drudzy wskazują na wewnętrzną słabość i anarchię polskiego państwa. I wszyscy mają rację, bo to kombinacja tych przyczyn zabiła Polskę.

Był jednak ktoś, kto – być może – mógł ocalić państwo. Król Stanisław August. Osadzony na tronie dzięki Katarzynie II. Znajdujący się pod stałą presją rosyjskich ambasadorów, którzy potrafili go upokarzać. Uległy wobec Rosji. Uległość to jednak tylko jedna strona jego osobo-



Stanisław August Poniatowski, miniatura według obrazu Élisabeth Vigée-Lebrun z 1797 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

wości. Drugą były: chęć, ambicja i próby naprawy ustrojowej Rzeczypospolitej. Szczytowym momentem tych dążeń było uchwalenie Konstytucji 3 maja. Wprawdzie król był niemal marionetką w rękach Katarzyny II, lecz – w oczach carycy – marionetką nielojalną i niebezpieczną. Nie dawał gwarancji, że państwo polskie będzie bezdyskusyjnie, bez żadnych zastrzeżeń rosyjskim protektorem i że on sam pogodził się z tym na zawsze.

Biograf króla, Emanuel Rostworowski, pisał: „Nasuwa się przypuszczenie, że gdyby na jego miejscu zasiadał jakiś gnuśny, ale znający reguły gry europejskiej, a dla spraw narodowych obojętny Sas, to może nie mielibyśmy ani tak pięknego wieku Oświecenia, ani rozbiorów. Forsując reformy, i to w budzącym szczególne opory w kraju i za granicą kształcie monarchicznym, król walnie przyczynił się do wprowadzenia anarchicznej i zagrożonej z zewnątrz Rzeczypospolitej, w stan dramatycznych wstrząsów, z których wyłaniała się coraz to lepsza forma rządu, aż państwo przestało istnieć”.

Tak bardzo chciał król naprawić Rzeczpospolitą, że aż ją doprowadził do ostatecznego rozbioru.

Bardziej dobitnie wypowiedział się inny biograf króla, Adam Zamoyski: „Gdyby przyjął postawę monarchy odpowiedzialnego jedynie przed sobą samym i Bogiem, przyłgąłby niczym pijawka do rosyjskiej protektorki, bezwzględnie karząc barzan i patriotów – i niemal na pewno ocaliłby królestwo”.

Największą wadą i błędem Stanisława Augusta nie było więc to, że był rosyjską marionetką, ale to, że w oczach Katarzyny II był marionetką nielojalną, fałszywie tylko oddaną Rosji. Co nam z kolei pozwala spojrzeć na niego z pewną sympatią.

Uległość, będąca wynikiem wieloletniej tresury przez Katarzynę II i jej ambasadorów, spowodowała smutny

koniec życia Stanisława Augusta. I odebrała mu szansę na zapisanie się w ostatnim momencie gestem sprzeciwu, który przeszedłby do historii.

Wywieziony do Grodna

Nie był takim gestem akces do powstania kościuszkowskiego. Nie miał bowiem żadnego znaczenia dla insurekcji ani dla jej władz. Nie zataił fatalnego wrażenia, jakim było przystąpienie króla do konfederacji targowickiej. Akces do powstania oceniony został w Petersburgu jako kolejny dowód nielojalności Stanisława Augusta. Taki człowiek na polskim tronie mógł być niebezpieczny. Także po stłumieniu powstania. Nikołaj Repnin, były ambasador rosyjski, pisał w końcu 1794 r. do Katarzyny II: „Liczne przykłady nas utwierdzały, że ten władca stał zawsze w poprzek naszym interesom, żadne zorganizowane przeciw nam przedsięwzięcia nie obyły się bez króla i pod jego głównym przewodem”.

Rosja nie miała więc do króla żadnego zaufania. Mogła obawiać się kłopotów z jego strony w przyszłości. A Stanisława Augusta może i otaczała niechęć oraz nieufność rodaków, ale był królem – symbolem władzy i państwa. Dlatego też Katarzyna II wysłała do niego w grudniu 1794 r. list. Wyrażając troskę o bezpieczeństwo króla w tak niedawno zrewoltowanej Warszawie, „doradza” mu, by wyjechał z „obciążonego występkami miasta” do Grodna. Stanisław August musiał być świadomy, że wyjazd ze stolicy państwa, z królewskiej rezydencji, pozbawia go nawet pozorów władzy i jest nieformalną abdykacją. Tak jak zazwyczaj, zanim okazał uległość, starał się grać na zwłokę. Już jednak na początku stycznia 1795 r., stosując się do „rady”, a w istocie rozkazu Katarzyny II, opuścił Warszawę. Mieszkańcy stolicy żegnali go ze smutkiem i nawet z płaczem.

Mówiono, że spowodowała to plotka, jaką miał rzekomo kazać rozgłosić Stanisław August. Gdy wyjedzie, Rosjanie dokonają w Warszawie takiej rzezi jak na Pradze. Przyczyną żalu i łez, okrzyków: „Niech żyje król!” było jednak w istocie poczucie, że wyjazd eskortowanego przez rosyjskich żołnierzy Stanisława Augusta ze stolicy jest symbolem końca



Pałac Marmurowy w Petersburgu, ostatnia rezydencja Stanisława Augusta FOT. A. SAVIN/WIKIMEDIA COMMONS

pobitej Rzeczypospolitej. Króla wywożono do Grodna, ale była to już zagranica. Miasto należało od II rozbioru do Rosji.

Stanisław August był jednak nadal królem, Rosjanie pozwolili mu więc zabrać do Grodna dwór, okrojony co prawda o połowę, do ponad stu osób. Wybór Grodna na siedzibę króla nie był zapewne podyktowany złośliwością. Stanisław August nie mógł jednak nie czuć się upokorzony. Miał bowiem przebywać w mieście, w którym dwa lata wcześniej Sejm ratyfikował II rozbiór.

W Grodnie Stanisław August był w istocie honorowym więźniem politycznym, pilnowanym przez żołnierzy rosyjskich. Na „opiekuna” króla wyznaczono hrabiego Eljasza Bezborodkę, jako marszałka dworu. A jeszcze wyżej czuwał nad jego pobytem w Grodnie Nikołaj Repnin. Każdy krok króla, każde jego spotkanie były skrupulatnie kontrolowane. Ludzie, do których Stanisław August miał zaufanie, byli usuwani z jego dworu. Jednakże w otoczeniu króla byli szpiegzy rosyjscy: jego sekretarz Christian Friese i Fryderyk Moszyński.

Maria Żywirska, autorka książki o ostatnich latach Stanisława Augusta, pisała o jego spacerach we wsi Łosośna. „Tam na miejscu król, wysiadłszy z karety, błądził po pobliskich łąkach i lasach, niekiedy stawał i przeważnie milcząc, patrzył długo w stronę Warszawy, jakby stamtąd oczekiwał wybawienia. I to także stało się podejrzanym dla Repnina, zwłaszcza gdy coraz częściej celem spacerów zamieszkanych stały się obszary leżące za Niemnem, bliżej dawnej granicy Korynii i Litwy. Pewnego dnia, bez żadnego wyjaśnienia, Repnin kazał rozebrać most na Niemnie, zamykając w ten sposób

możliwość odbywania takich wycieczek”. Repnin raportował Katarzynie II, że król miota się między nadzieją a rozpaczą.

Stanisław August był zarazem realistą i człowiekiem naiwnym. Zdawał sobie sprawę z końca Rzeczypospolitej. A jednocześnie uważał, że jeśli nastąpi ostateczny rozbiór, to Katarzyna II wypuści go ze swoich rąk i pozwoli na wyjazd za granicę. Chciał – jak pisał do niej – spędzić resztę życia „w klimacie bardziej łagodnym”. W liście tym stwierdzał, że jeśli nic nie może już zrobić dla swoich rodaków, to nie ma powodu, by przebywać wśród nich. Marzył o zamieszkaniu we Włoszech. Poleciał swemu bratankowi Stanisławowi wyszukanie dla niego pałacu w Rzymie. Katarzyna II nie zamierzała ryzykować wypuszczenia go. Mógł znów okazać się nielojalny i związać się z polskimi emigrantami politycznymi.

Długi i abdykacja

Wkrótce po podpisaniu konwencji rozbiorowej przez zaborcze mocarstwa, kładącej kres istnieniu Rzeczypospolitej, Katarzyna II zażądała od Stanisława Augusta, by abdykował. Był to ostatni moment, w którym król mógłby zdobyć się na gest sprzeciwu. Gest bez znaczenia dla przesądzonych już losów Polski, lecz jakże symboliczny. Niezgoda na abdykację byłaby odmową zaakceptowania likwidacji państwa. I byłby może Stanisław August zdobył się na taki gest, gdyby nie jego gigantyczne długi. W innej sytuacji mógłby powiedzieć: „Nie abdykuję i róbcie ze mną, co chcecie”. Jednak wówczas trzeba było mieć mocny charakter i być gotowym na wynikające

■ z tego konsekwencje. Takiego charakteru król, nienadający się na męczennika, nie miał.

Nadzorujący króla Repnin postawił sprawę jasno: spłata długów w zamian za abdykację.

Stanisław August uległ. Zanim się podpisał, 25 listopada 1795 r. – w dniu swojej koronacji i w imieniu Katarzyny II – pod aktem abdykacji, doznał kolejnego upokorzenia. Był jak uczeń, któremu niezadowolony z jego wypracowania nauczyciel każe powtarzać błędy. Nauczycielem był Repnin. Akt abdykacji był kilkakrotnie pod jego dyktando poprawiany. Aż wreszcie uzyskał zadowalającą formę. Stanisław August musiał napisać, że zrzeka się korony dobrowolnie. Katarzyna poinstruowała bowiem Repnina, że akt abdykacji nie może wywoływać wrażenia przymusu. „Nie obeszło się bez łez, i to łez gorzkich – ale nie zrzeczenie się było ich powodem, wywołała je myśl o przyszłym losie Polski” – pisał Repnin.

Uprzejmy car Paweł I

Po śmierci Katarzyny II wstąpił na tron jej syn Paweł I. Nienawidził matki. Podobno miał powiedzieć, że był przeciwny rozbiorom, lecz sprawy zaszły już za daleko, by odwrócić ich skutki.

Zaprosił Stanisława Augusta do Petersburga. Paweł I, z całą, nieudawaną, sympatią dla byłego już króla, nie zamierzał jednak pozwolić mu na opuszczenie Rosji. W marcu 1797 r. car witał osobiście Stanisława Augusta w wyznaczonym mu na rezydencję Pałacu Marmurowym. I znów był to grymas historii. Poniatowski, kochanek Katarzyny II, wprowadzał się do pałacu, który wybudowała dla innego swojego kochanka, Grigorija Orłowa. Cesarz Paweł I zapraszał go do swoich rezydencji w Carskim Siole i Gatchynie oraz na dworskie przyjęcia. Przysłał mu insygnia Orderu św. Andrzeja, przyznanego królowi przez Katarzynę II, by Poniatowski mógł uczestniczyć w święcie orderowym. Zaprosił go też



Marcello Bacciarelli „Śmierć Stanisława Augusta”
FOT. MATHIAS REX/WIKIMEDIA COMMONS

na swoją koronację w Moskwie i dał mu osobną łóżę.

Adam Zamoyski pisał o Stanisławie Augustcie: „Był po części honorowanym gościem, po części zaś – trofeum – ponieważ ekscentryczny car chciał wyrazić dezaprobatę dla nikczemnego postępowania matki, ale jednocześnie sprawiało mu radość, że ma w swym orszaku króla”. Brutalniej nazwał sytuację Poniatowskiego pamiętnikarz Jędrzej Kitowicz. Stwierdził, że Paweł I naśladował rzymskich wodzów, którzy w triumfie prowadzili w kajdanach pokonanych królów. Z tą tylko różnicą, że Stanisław August miał kajdany na sercu, nie zaś na nogach i rękach.

Paweł I wielokrotnie spotykał się ze Stanisławem Augustem. W czasie jednej z rozmów miał przekonywać go, że jest jego synem... „Gdy dowodziłem mu, że to niemożliwe, nalegał tym bardziej” – pisał Stanisław August do swojego bratanka, Stanisława.

Jeśli Paweł I naprawdę wbił sobie do głowy, że jest synem Poniatowskiego, tłumaczyłoby to jego, pełne grzeczności, zachowanie wobec Poniatowskiego. A może i ewentualne plany wobec przyszłości Polski. W Nowy Rok 1798 car przyjechał do Stanisława Augusta, by złożyć mu życzenia. Paź króla, Jan Sagatyński, pisał w swoich wspomnieniach, że po tej rozmowie Stanisław August był odmieniony i uradowany. Miał powiedzieć: „Przecież uprzykrzyło się losowi prześladować nas dłużej, będziemy wkrótce oglądać Warszawę jako stolicę zwróconej ojczyzny, a znaczenie imienia polskiego znowu w całym blasku zajaśnieje”.

Maria Żywirska pisała, że ta historia miała pewne realne podstawy, gdyż na

plany odbudowania Polski pod berłem Hohenzollernów Paweł I mógł ripostować analogicznym własnym pomysłem i podzielić się nim ze Stanisławem Augustem.

Jeśli tak było, a dowiedzieliby się o tym pruscy szpiedzy, trudno się dziwić plotce, że Stanisław August, który zmarł w Petersburgu w lutym 1798 r., został otruty niezostawiającą śladów trucizną „aqua tofana”.

Los pośmiertny

Paweł I wyprawił Stanisławowi Augustowi prawdziwie królewski pogrzeb. Nałożył zmarłemu koronę na głowę. Na nagrobku kazał wyrzeźbić słowa: „Gościowi i przyjacielowi”. Rosja uhonorowała go po śmierci, jak nigdy nie zdobyła się na to Polska. W 1938 r. Sowieci przekazali Polsce trumnę Stanisława Augusta. Najwyższe władze Rzeczypospolitej zdecydowały, że szczątki ostatniego króla zostaną złożone, bez żadnych uroczystości pogrzebowych, w miejscu jego urodzenia w Wołczynie. Stało się to w nocy. Rządzący Polską byli legioniści, którzy poszli w 1914 r. na wojnę z Rosją, oceniali jednoznacznie Stanisława Augusta jako rosyjską marionetkę. Nie widzieli dla niego miejsca w kryptach wawelskich, w których spoczął Józef Piłsudski. Przez łamy prasy przetoczyła się burzliwa dyskusja na temat pochówku Stanisława Augusta. Większość elity intelektualnej opowiedziała się za Wawelem. Tylko kilka głosów było za tym, by pozostawić trumnę króla w Wołczynie. Pośrodku znajdowali się zwolennicy pochowania króla w katedrze św. Jana w Warszawie.

Resztki splądrowanej trumny z fragmentami tkanin i być może okruciami kości króla zostały przewiezione do Polski w 1988 r. Przez siedem lat (!) nie wiadano, co z nimi zrobić. Także władze III Rzeczypospolitej odmówiły królowi miejsca na Wawelu. Nie przestała na Stanisławie Augustcie ciążyć opinia rosyjskiej marionetki. Ostatecznie prochy z Wołczyna spoczęły w katedrze św. Jana w Warszawie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polacy i Żydzi / Tragedia we Lwowie

Spalona synagoga Beit Chasidim FOT. WIKIPEDIA

„Pogrom lwowski” — historia prawdziwa



Mirosław Szumiło

Czy krwawe zajścia z listopada 1918 r. były klasycznym antysemickim pogromem, zaplanowanym odwetem czy zwykłymi bandyckimi rozruchami?

W świadomości historycznej Polaków walki o Lwów w listopadzie 1918 r. zapisały się przede wszystkim jako niezwykle heroizm dzieci i młodzieży (Orląt Lwowskich), nieszczęśliwych własnego życia w obronie polskości miasta. Jednakże bezpośrednio po wyparciu oddziałów ukraińskich ze Lwowa doszło do krwawych wypadków w dzielnicy żydowskiej, które przeszły do historii pod nazwą „pogromu lwowskiego”. W prasie zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej publikowano mocno przesada-

dzone doniesienia o masowym mordzie dokonanym na ludności żydowskiej przez polskich żołnierzy i oficerów. Pisano o ponad tysiącu ofiar śmiertelnych. Taki obraz wydarzeń we Lwowie poważnie zaszkodził wizerunkowi odrodzonej Rzeczypospolitej w świecie i był wykorzystywany w antypolskiej propagandzie.

Z ustaleń polskich historyków wyłania się bardziej złożony przebieg i charakter wypadków lwowskich, spowodowanych kilkoma różnymi czynnikami. Wiedzę o tym czerpiemy głównie z relacji świadków zdarzeń i akt śledztwa przeprowadzonego przez Nadzwyczajną



czajną Rządową Komisję Śledczą, kierowaną przez cieszącego się wielkim autorytetem i nieposzlakowaną opinią sędziego dr. Zygmunta Rymowicza. Komisja pracowała na przełomie lat 1918 i 1919, starając się zachować jak największą bezstronność w ferowaniu ocen.

Lwów był wówczas miastem wielonarodowym z większością ludności

■ polskiej. Żydzi stanowili jednak ponad 30 proc. jego mieszkańców. Ludność żydowska w przeważającej mierze skupiała się w tzw. Trzeciej Dzielnicy, obejmującej centralne rejony Lwowa. Z chwilą wybuchu walk polsko-ukraińskich 1 listopada 1918 r. Żydowski Wydział Bezpieczeństwa ogłosił neutralność dzielnicy żydowskiej i powołał do życia liczącą ponad 200 osób Milicję Żydowską pod dowództwem kpt. Juliusza Eislera, która miała zapewnić porządek i bezpieczeństwo w tym rejonie miasta. Teren działania milicji został ściśle określony w zawartej kilka dni później umowie z Wojskiem Polskim. Niewątpliwie powstanie milicji odbyło się za wiedzą i zgodą wojskowych władz ukraińskich, które dostarczyły koniecznego uzbrojenia milicjantom. Byli uzbrojeni nie tylko w karabiny, lecz także broń maszynową.

Z relacji świadków zdarzeń i raportu Komisji Rymowicza wynika, że Milicja Żydowska nie zachowała pełnej neutralności. Wyraźnie sympatyzowała z Ukraińcami, wykazując arogancję wobec Polaków, wyłapując ochotników usiłujących przedostać się na stronę polską i przekazując ich Ukraińcom. Odnotowano przypadek czynnego współdziałania milicji z oddziałami ukraińskimi w walkach na ul. Źródlanej. Stwierdzono także współdziałanie milicjantów w zamordowaniu przez Ukraińców 14–15 listopada kilkunastu polskich jeńców na Zamarstynowie.

Telegram do USA

Także część ludności żydowskiej, reprezentująca kierunek syjonistyczny, zajmowała stanowisko zdecydowanie niechętnie Polakom. Gazeta syjonistów „Neue Lemberger Zeitung” redagowana była w duchu skrajnie nieprzychylnym Polsce, popierając państwowość ukraińską. Na relacje polsko-żydowskie w okresie walk listopadowych fatalnie wpłynął telegram wysłany przez Żydowski Wydział Bezpieczeństwa we Lwowie do prezydenta USA Wilsona, ogłoszony w „Neue Lemberger Zeitung” 15 listopada 1918 r. Był to apel o podjęcie skutecznych kroków przeciw rzekomemu przymusowemu wcielaniu Żydów do

szeregów Wojska Polskiego. Telegram wywarł fatalne wrażenie na obrońcach i polskim społeczeństwie Lwowa. Walczący byli bowiem ochotnikami, a poboru w zasadzie nie przeprowadzono. Wśród ponad 6 tys. żołnierzy i ochotników walczących o Lwów znalazło się całkowicie dobrowolnie 49 polskich Żydów, m.in. por. Bernard Mond, późniejszy generał i dowódca 6. Dywizji Piechoty w kampanii wrześniowej 1939 r.

W polskiej społeczności Lwowa panowało powszechne przekonanie, że Żydzi stanęli po stronie ukraińskiej. Wyraził to w swoich wspomnieniach Maciej Rataj,

polityk ludowy, obecny w tamtych dniach w mieście: „Prawda, że w czasie walk na ulicach Lwowa przez 22 dni uzbierało się w sercach polskich dużo słusznego i uzasadnionego oburzenia do Żydów, którzy głosząc neutralność, na ogół biorąc, stanęli po stronie Ukraińców nie tylko z sympatiami, ale także z czynną pomocą”.

Ponadto w szerokich masach ludności rozpowszechnione było przekonanie, że Żydzi w czasie całej wojny światowej dorabiali się na lichwie i paskarstwie, a od służby frontowej za pomocą łapówek umieli się uwolnić. W Austrii cała prawie intendentura i wszystkie dostawy dla armii były w ich rękach. Podczas gdy ludność polska w czasie walk o Lwów cierpiała głód i niedostatek, u żydowskich handlarzy miały być nagromadzone

duże zapasy żywności i innych towarów. Takie przeświadczenie musiało stanowić zachętę do działania dla wszelkiej maści rabusiów i elementów przestępczych.

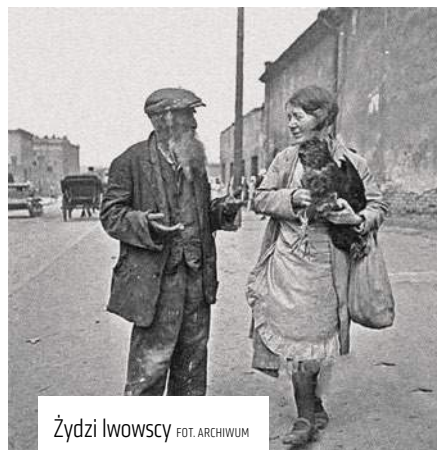
Niestety, w szeregach polskich obrońców Lwowa znaleźli się również kryminaliści. Należy pamiętać o tym, że brakowało ludzi do walki. Mężczyźni zdolni do noszenia broni zostali w większości zmobilizowani do armii austriackiej, dlatego musieli ich zastąpić w dużej części gimnazjaliści i harcerze. Oddziały ochotnicze tworzyły się oddolnie. Broń wydawano wszystkim, którzy się po nią zgłaszali. W ciągu pierwszych kilku dni rozdano 2,5 tys. karabinów. Brak obycia ochotników ze służbą



wojskową powodował także duże problemy z utrzymaniem dyscypliny w oddziałach. Wyjątkowo niezdyscyplinowany był np. złożony z batiarów lwowskich waleczny oddział legendarnego por. Wilhelma Starcka.

3 listopada 1918 r. z więzienia przy ul. Kazimierzowskiej, zwanego popularnie Brygidkami, zbiegło co najmniej 294 więźniów osadzonych tam za najcięższe zbrodnie. W sumie mówi się o liczbie od 500 do 1 tys. zbiegłych i wypuszczonych z więzień przestępców. Część z nich wstąpiła do oddziałów polskich. Dowódcy przymykali oko na kryminalną przeszłość swoich podwładnych, którzy dość często okazywali się „równie dobrymi żołnierzami i dobrymi rabusiami”. Jak pisano w jednym z raportów: „[...] rzec się tej siły znaczyło po prostu rzec się walki o Lwów”.

Przewodniczący Komisji Śledczej sędzia Rymowicz pisał: „Podczas walk polsko-ukraińskich stan bezpieczeństwa we Lwowie, w każdym razie bardzo poważnie nadwątlony, stał się praktycznie katastrofalnie zły, zarówno po polskiej, jak i ukraińskiej stronie. Ze względu na brak policji i autorytetu władzy wśród mieszkańców napady i rabunki miały stałe miejsce. Profesjonalni krymina-



Żydzi lwowscy FOT. ARCHIWUM

liści organizowali napady i żołnierze obu stron czynili to również". W trakcie walk w mieście powstały umundurowane bandy rabunkowe złożone z Polaków i Ukraińców, które zapuszczały się na teren dzielnicy żydowskiej. Nic w tym dziwnego, bo gdy tylko zawierucha wojenna chociażby przejściowo eliminuje parasol ochronny służb policyjnych, wówczas ludzie marginesu zwykłe korzystają z okazji, aby wzbogacić się kosztem innych. Sytuacja wytworzona w mieście stanowiła zatem podłoże do wybuchu ekscesów na większą skalę. Wystarczyły tylko jakiś pretekst i sprzyjający temu bieg okoliczności.

„Ekscesy”

Bezpośrednią przyczyną rozruchów były starcia między Wojskiem Polskim a Milicją Żydowską. W nocy z 21 na 22 listopada pod wpływem fałszywej analizy sytuacji Ukraińcy postanowili wycofać się poza rogatki miasta. Decyzję podjęto nagle, co spowodowało, że Milicja Żydowska nie została o tym poinformowana. Żołnierze polscy wkraczający do dzielnicy żydowskiej w kilku miejscach napotkali silny opór milicjantów żydowskich. Doprowadziło do eksplodowania nastrojów antyżydowskich, a panujące zamieszanie skrzętnie wykorzystwały bandy złożone z kryminalistów. Zajścia trwały dwa dni. Względny spokój i porządek w dzielnicy żydowskiej został przywrócony dopiero nad ranem 24 listopada przez silne patrole oficerskie i elitarne oddziały wojskowe.

Ze śledztwa Komisji Rymowicza wynika, że zabójstw i rabunków dopuszczali się głównie umundurowani bandyci, zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Podobnego zdania był Henry Morgenthau, stojący na czele powołanej przez rząd Stanów Zjednoczonych komisji mającej zbadać położenie Żydów w Polsce, który pisał: „Te właśnie podejrzane elementy spłądowały domy i sklepy w dzielnicy żydowskiej, dokonując grabieży na kwotę milionów koron; gdy napotymano opór, nie wahano się mordować”. Raport Morgenthaua określał grabieże mienia Żydów i morderstwa na nich dokonywane we Lwowie nie jako pogrom, lecz jako ekscesy.



Bolesław Roja ukrócił ekscesy antyżydowskie we Lwowie. FOT. WIKIPEDIA

Nie ulega jednak wątpliwości, że wśród sprawców grabieży i mordów byli także żołnierze Wojska Polskiego, m.in. z oddziałów przybyłych z Przemyśla na odsiecz Lwowa. Podczas wcześniejszych walk w Przemyślu zetknęli się oni również z Milicją Żydowską, która ogłosiwszy neutralność, w rzeczywistości udzieliła wsparcia oddziałom ukraińskim. Według relacji dowódcy obrony Lwowa kpt. Czesława Mączyńskiego w gronie ujętych na miejscu sprawców rozruchów w dzielnicy żydowskiej było aż 18 oficerów i 54 żołnierzy. Samego Mączyńskiego obciąża natomiast to, że dopiero 23 listopada wieczorem wydał rozkaz wprowadzenia sądów doraźnych.

Ile było ofiar?

Jedną z bardziej istotnych kwestii spornych jest liczba ofiar śmiertelnych tych wydarzeń. W tej sprawie istnieje duża rozbieżność wśród badaczy i publicystów. Raport wysłanników Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 17 grudnia 1918 r. mówił o „co najmniej 150” zabitych Żydach. Wiemy jednak, że dokument

ten miał charakter tendencyjny i był w dużej części falsyfikatem. W literaturze historycznej najczęściej jest powtarzana liczba 72 zabitych (wyłącznie Żydów), oficjalnie podana przez Żydowski Komitet dla niesienia pomocy ofiarom rozruchów i rabunków w listopadzie 1918 r. we Lwowie (tzw. Żydowski Komitet Ratunkowy). Raport Morgenthaua mówił o 64 zabitych Żydach, a raport sędziego Rymowicza o ok. 50 zabitych Żydach i kilku chrześcijanach.

Profesor Zbigniew Zaporowski odnalazł w archiwach lwowskich nieznane dotąd dokumenty rzucające nowe światło na kwestię liczby ofiar i faktycznego charakteru „pogromu lwowskiego”. Opublikował je niedawno na łamach wydawanego przez IPN czasopisma „Pamięć i Sprawiedliwość” (nr 31/2018). Są to efekty dochodzenia Dyrekcji Policji we Lwowie, która sporządziła szczegółowe wykazy osób zabitych i rannych w czasie rozruchów we Lwowie w dniach 22–24 listopada. Wynika z nich, że

łączna liczba ofiar śmiertelnych wyniosła 44 osoby, z czego 11 było chrześcijanami.

Ustalenia te potwierdzają wyraźnie bandycki charakter zająć we Lwowie, które dotknęły nie tylko Żydów. Nie ulega jednak wątpliwości, że z motywami rabunkowymi współhistniała przejawiana przez część lwowian chęć odwetu na Żydach za „zdradę” i złamanie neutralności. Obok kryminalistów brali w nich udział także zwykli mieszkańcy Lwowa i żołnierze.

Moim zdaniem nie można wypadków lwowskich zestawiać z klasycznymi pogromami, złożony spłot różnorodnych czynników wymyka się jednoznacznym ocenom. Chyba najbliższy prawdy był prof. Czesław Madajczyk, który stwierdził: „Przytoczone świadectwa wskazują, że gwałty antyżydowskie we Lwowie nie tyle wynikały z antysemityzmu, ile były konsekwencją zawieruchy wojennej i dezorientacji co do odpowiedzialności zarówno Polaków, Ukraińców, jak i Żydów za przebieg wydarzeń”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, historykiem, pracownikiem naukowym IPN i UMCS.

100 lat temu / Kalendarium

1919: pierwszy rok Niepodległej



Maciej Rosalak

/ Polska odzyskała niepodległość w 1918 r. Jednak to kolejny rok był kluczowy dla kształtowania się naszej państwowości. Jakie były sukcesy Polaków? Z jakimi problemami się mierzyli?

Rząd Ignacego Jana Paderewskiego – powołany w połowie stycznia 1919 r. przez Tymczasowego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, rychło zatwierdzony przez zwołany w imponującym tempie Sejm Ustawodawczy – stał się włodarzem kraju rozdartego zaborami i zniszczonego wojną. Ujednolicenia wymagały systemy praw, administracji, sieci dróg czy kolei. Podatkami od zubożałych obywateli nie sposób było wypełnić dziury w budżecie... W dramatycznym przemówieniu tak mówił 12 listopada

1919 r. – podczas posiedzenia Sejmu w pierwszą rocznicę odzyskania niepodległości – premier Paderewski:

„Gdyśmy obejmowali władzę, na wszystkich krańcach Polski toczyła się wojna, a w Paryżu układał się pokój. Troszcząc się najusilniej o zaspokojenie najpilniejszych potrzeb ludności, rząd musiał przede wszystkim zwrócić uwagę na rzecz najważniejszą, a rzeczą najważniejszą są granice. Staraliśmy się o ich ustalenie na zachodzie. Rozmawialiśmy i rozmawiamy, gdzie rozmawiać można, biliśmy się i bijemy tam, gdzie bić się trzeba. Program nasz zawierał się więc w czterech wyrazach: wygrać pokój,

wygrać wojnę. [...] Mało kto doprawdy u nas rozumie, że tam na tym długim północno-wschodnim froncie leje się krew nasza, sączy się energia narodu, topnieje lwia część skromnych zasobów Państwa, że tam zużywają się codziennie cenne polskie siły!”

Istotnie, u zarania niepodległości płomień wojny wybuchają zewsząd wokół nas. Ewakuująca się ze wschodu niemiecka armia pozostawia za sobą tereny zajmowane natychmiast – na mocy tajnego porozumienia zawartego z bolszewikami w listopadzie 1918 r. – przez Armię Czerwoną, prąca na zachód w złowrogiej dla nas operacji „Cel Wisła”. Wyzwolony 22 listopada 1918 r. Lwów oblegany jest nadal przez Ukraińską Halicką Armię (zbrojne ramię Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej), w której rękach znajduje się niemal cała Galicja Wschodnia. Na zachodzie zwycięskie powstanie toczą od końca grudnia Polacy w Wielkopolsce, ale Niemcy szykują się do kontruderzenia. Ziemie zamieszkane przez Polaków będą próbowali wyszarpać także mniejsi sąsiedzi: Czesi, którzy ogłosili 28 paź-

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski i premier Ignacy Jan Paderewski, 1919 r. FOT. WIKIPEDIA



4 stycznia pod Nową Wilejką doszło do pierwszych starć z nacierającą Armią Czerwoną, mającą przygniatającą przewagę nad improwizowanymi oddziałami polskiej samoobrony. Po krótkich walkach o Wilno 154 oficerów i 1035 szeregowych z trzech batalionów piechoty złożyło broń przed Niemcami, ale zostało wysłanych pociągami na terytorium pod kontrolą rządu polskiego. Weszli w skład tworzącej się Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Natomiast 450 żołnierzy (m.in. z pułku ułanów) sformowało Wileński Oddział Wojska Polskiego i pod dowództwem braci Władysława i Jerzego „Łupaszki” Dąmbrowskich nieprzerwanie kontynuowało walkę.

Nocą z 4 na 5 stycznia grupa oficerów – sympatyków endecji oraz prawicowych polityków, kierowana przez płk. Mariana Januszajtisa-Żegotę – próbowała dokonać w stolicy zamachu stanu. Spiskowcy opanowali parę obiektów wojskowych i aresztowali premiera, socjalistę Jędrzeja Moraczewskiego oraz kilku ministrów, zostali jednak szybko i bezkrwawo powstrzymani oraz aresztowani. Decyzją Józefa Piłsudskiego nie ukarano ich, lecz jedynie ośmieszono.

11 stycznia gen. Józef Dowbor-Muśnicki został głównodowodzącym powstania wielkopolskiego. Wraz z innymi oficerami I Korpusu Polskiego na Wschodzie przybył m.in. płk Władysław Anders, który został szefem sztabu. Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem. Do początku trzeciej dekady stycznia dominowali Polacy, potem Niemcy przysyłali coraz więcej regularnego wojska i udało się im zająć część miejscowości wcześniej wyzwolonych przez Wielkopolan.

16 stycznia rząd Moraczewskiego podał się do dymisji; Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa, powołał nowy gabinet pod przewodnictwem Paderewskiego, związanego z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu. Spośród 16 ministerstw 10 przypadło ministrom bezpartyjnym lub powiązanym z prawicą, a pozostałe – członkom PPS, PSL „Lewica” i „Piast”. Jako pierwsze uznały rząd polski 30 stycznia Stany Zjednoczone Ameryki, Rada Najwyższa Mocarstw Sprzymierzonych dokonała tego 21 lutego. Jednym z zadań nowego premiera miało być doprowadzenie do porozumienia władz w kraju z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu (Paderewski podał swój

gabinet do dymisji po 11 miesiącach, 9 grudnia 1919 r., głównie z powodu konfliktu z konserwatywnym ministrem skarbu Leonem Bilińskim).

18 stycznia rozpoczęła obrady konferencja pokojowa w Paryżu. Polskę reprezentowali Roman Dmowski i Ignacy Paderewski, którego zastępował tymczasowo Kazimierz Dłuski. Jako ekspert do spraw gospodarczych i finansowych do polskiej delegacji dołączył Władysław Grabski. Natomiast do Komitetu Narodowego Polskiego weszli – za porozumieniem Piłsudskiego z Dmowskim – współpracownicy Naczelnika Państwa.

23 stycznia 16-tysięczne wojska czeskie przekroczyły linię demarkacyjną i zajęły Śląsk Cieszyński (zwany Zaolziem), na którym Polacy stanowili większość (według spisu ludności z 1910 r.: 55 proc. Polacy i 27 proc. Czesi). Czesi złamali porozumienie z 5 listopada 1918 r. o przyszłym plebiscycie, a za pretekst uznali ogłoszenie przez Polskę wyborów sejmowych na spornym terenie. W tym czasie siły polskie liczyły tam zaledwie 1,5 tys. ochotników; wszyscy inni żołnierze walczyli z bolszewikami, z Ukraińcami i Niemcami. Konflikt przerodził się w wojnę (siedmiodniową, według czeskiej nazwy, choć sporadyczne ataki Czechów trwały jeszcze miesiąc). Czesi mordowali jeńców, np. w Stonawie, i dokonywali samosądów na działaczach polskich. 31 stycznia pod presją aliantów walki ustały, ale Czesi zajęli teren plebiscytowy oraz Spisz i Orawę. W lipcu 1920 r. przypieczętowali swój zabór na konferencji w Spa, uzależniając zgodę na tranzyt transportów broni do zagrożonej przez bolszewików Polski od rezygnacji polskiego premiera Władysława Grabskiego ze Śląska Cieszyńskiego. Wymuszona szantażem zgoda została przekreślona w 1938 r. odebraniem Zaolzia przez Polskę.

26 stycznia – pierwsze w odrodzonej Polsce wybory do Sejmu Ustawodawczego. Frekwencja w poszczególnych okręgach wyniosła od 60 do 94 proc. Narodowa Demokracja zdobyła najwięcej głosów (34,2 proc.) i stała się najsilniejszym ugrupowaniem politycznym w Sejmie. Na koniec kadencji Sejm liczył 442 posłów, z czego 364 wybrano w pięcioprzymiotnikowych wyborach zarządzanych przez władze polskie, 20 – po włączeniu parlamentarzystów z Sejmu Litwy Środkowej, 28 – z izby poselskiej austriackiej Rady ■

dziennika 1918 r. powstanie niepodległej Czechosłowacji, i Litwini, którzy w miejscie zależnego od Niemców, utworzonego po układzie brzeskim (marzec 1918 r.) Królestwa Litwy powołali 2 listopada 1918 r. Republikę Litewską.

Dramatyczny był ów pierwszy rok niepodległości. Oto kalendarz najważniejszych dla Polaków wydarzeń.

1 stycznia polskie oddziały samoobrony rozbijają zbrojne bojówki miejscowych komunistów, opanowują Wilno i szykują się do obrony miasta przed Armią Czerwoną. W szeregach ochotników walczy 17-letni wówczas Witold Pilecki.

2 i 3 stycznia Komenda Główna Wojsk Powstańczych podzieliła opanowane ziemie wielkopolskie na dziewięć okręgów wojskowych. Polacy zdobyli już wiele miast wielkopolskich oraz obiektów publicznych i wojskowych w samym Poznaniu. Działaniami dowodził mjr Stanisław Taczak, który jako pierwszy oficer armii niemieckiej (w randze kapitana) zgłosił się w listopadzie 1918 r. do Wojska Polskiego.

■ Państwa, 7 – z niemieckiego Reichstagu, a 6 posłów – po kompromisie wyborczym na Śląsku Cieszyńskim.

7 lutego Naczelnik Państwa podpisał 49 dekretów, w tym o powszechnym obowiązku szkolnym dla dzieci w wieku 7–14 lat o utworzeniu Najwyższej Izby Kontroli i Prokuratury Generalnej, o powołaniu Pocztowej Kasy Oszczędności.

10 lutego Piłsudski uroczystie otworzył obrady Sejmu Ustawodawczego; na jego marszałka został wybrany Wojciech Trąmpczyński. 20 lutego Sejm przyjął przez aklamację uchwałę o powierzeniu Józefowi Piłsudskiemu urzędu Naczelnika Państwa (wcześniej – Tymczasowego...). Do czasu przyjęcia właściwej ustawy konstytucyjnej stawał się on głową państwa i wykonawcą uchwał Sejmu, powoływał rząd i ponosił wraz z nim odpowiedzialność za sprawowanie urzędu przed Sejmem. Akty państwowe Naczelnika wymagały kontrasygnaty odpowiedniego ministra. Uchwałę nazwano Konstytucją małą. Do najważniejszych ustaw uchwalonych przez ten Sejm należą: konstytucja z 17 marca 1921 r., Statut Organiczny Województwa Śląskiego z 15 lipca 1920 r. i szeroki pakiet ustaw socjalnych.

14 lutego – starcie pod Mostami opodal Szczuczyna (50 km od Grodna) zasygnalizowało początek bolszewickiej ofensywy „Cel Wisła”. Oddziały polskie wysunięte przed wycofujące się wojska niemieckie powstrzymały bolszewików. Polacy zdobyli Berezę Kartuską, gdzie wzięli do niewoli 80 żołnierzy sowieckich i zdobyli dwa ckm-y. Do końca lutego powstał 150-kilometrowy front od Prypeci do okolic Grodna. Siły polskie składały się na nim z 12 batalionów piechoty, 12 szwadronów jazdy i trzech baterii artylerii. Grupa Poleska gen. Antoniego Listowskiego na odcinku południowym prawym skrzydłem utrzymywała łączność z Grupą Wołyńską gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, a lewym skrzydłem – z Dywizją Litewsko-Białoruską gen. Wacława Iwaszkiewicza na odcinku północnym.

16 lutego w Trewirze podpisany został układ rozejmowy między ententą a Republiką Weimarską, który niejako przedłużył wygasający rozejm z Compiègne. Zakończył on także walki polsko-niemieckie w Wielkopolsce. Niemcy

sprzeciwili się objęciu rozejmem również frontu wielkopolskiego, jednak pod naciskiem Francji wyrazili ostatecznie zgodę. Wytyczono linię demarkacyjną, nieco mniej korzystną dla Polski niż granica I Rzeczypospolitej (po stronie niemieckiej został np. Międzyrzecz nad Obrą), ale oznaczała ona zwycięstwo Polaków.

7 marca Lwów został odcięty od zachodu po zdobyciu i zniszczeniu przez Ukraińców mostu w rejonie Gródka Jagiellońskiego. Tego dnia zginął również – śmiertelnie ranny w ataku na Torczyn – mjr Leopold Lis-Kula, który na Wołyniu dowodził oddziałem piechoty wzmocnionym kawalerią i artylerią. Podczas uroczystości pogrzebowych na pl. Saskim w Warszawie Naczelnik Wódz złożył wieniec z dedykacją: „Memu dzielnemu chłopcu – Józef Piłsudski”.

7 marca Sejm uchwalił ustawę o powszechnym poborze rekrutów z roczników 1896–1901, obejmującą ok. 600 tys. ludzi. Po przeprowadzeniu poboru obojczniczego stan liczebny Wojska Polskiego w połowie stycznia 1919 r. wynosił 110 tys. żołnierzy, a liczebność niezbędną do obrony państwa określano na 500 tys.

15 marca w rejonie Gródka Jagiellońskiego walczyły już znakomicie wyszkolone, uzbrojone i ostrzelane oddziały z Wielkopolski. Po trzech dniach uwielbiani przez lwowian „Poznańczycy” osiągnęli dworzec w Gródku i definitywnie odblokowali Lwów. „Odcięcie skończone! Radość w mieście nie do opisania!” – stwierdził gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski, dowódca wojsk polskich w Małopolsce Wschodniej.

21 marca władzę na Węgrzech przejęli komuniści i ogłosili utworzenie Węgierskiej Republiki Rad. Sformowali Armię Czerwoną, stosowali terror, nacjonal-

izowali przemysł, ogłosili reformy bez pokrycia, do szkół wprowadzili – zamiast religii – edukację seksualną. Chłopi zamiast ziemi dostali kołchozy. Opór Węgrów, przerwanie pomocy od bolszewików i interwencja rumuńska położyły 6 sierpnia kres komunistycznym rządowi. W lutym 1920 r. reaktywowano Królestwo Węgier z regentem adm. Miklósom Horthym.

16 kwietnia ruszyła ofensywa polska na kresach północno-wschodnich. Po czterech dniach wojsko polskie zdobyło Wilno. 22 kwietnia Józef Piłsudski wydał tam „Odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, w której zapowiedział rozwiązanie spraw narodowościowych i wyznaniowych „tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub ucisku z polskiej strony”. Twórcą idei federacji, łączącej kraje dawnej Rzeczypospolitej w obronie przed Rosją, był Piłsudski. Wysuwał postulat federacji z Białorusią, a w kwietniu 1920 r. zawarł sojusz z Ukraińską Republiką Ludową. Idee federacji, obce polskiej endecji, zdecydowanie odrzuciła jednak także Republika Litewska. Nieprzejednane stanowisko Litwinów spowodowało, że 20 lutego 1922 r. Sejm Wileński uchwalił przyłączenie się Litwy Środkowej do II RP.

23–26 kwietnia w Krakowie na początkowym zjeździe PPS, PPSD i PPS zaboru pruskiego podjęto decyzję o powołaniu zjednoczonej Polskiej Partii Socjalistycznej.

3 maja – pierwsze w odrodzonej Polsce obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja jako święta narodowego.

11–12 maja w wyniku połączenia Narodowej Demokracji, Stronnictwa Ludowego i części Zjednoczenia Narodowego powstał Związek Ludowo-Narodowy, zwany potocznie endecją. Na I Zjeździe Wszechpolskim w październiku 1919 r. na preza ZLN wybrano Stanisława Głąbińskiego.

28 czerwca podpisano w Wersalu traktat pokojowy z Niemcami, które obarczono wyłączną odpowiedzialnością za wybuch wojny. Obłożono je reparacjami w wysokości 132 mld marek w złocie, odebrano im kolonie oraz terytoria na korzyść Francji, Polski i Belgii. Kłajpedę i Gdańsk wyłączono z terytorium Niemiec.



Polscy żołnierze zamordowani w Stonawie przez Czechów FOT. NAC



William Orpen „Podpisanie traktatu wersalskiego”
FOT. WIKIMEDIA

26 artykułów traktatu wersalskiego stanowił pakt Ligi Narodów. Traktat uznał zachodnie granice Polski, obejmujące Wielkopolskę, o przynależności zaś Górnego Śląska, Mazur z Warmią i Powiślem miały zadecydować plebiscyty. Jednocześnie Polska, Rumunia, Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, Czechosłowacja oraz Grecja musiały podpisać traktaty w sprawie ochrony mniejszości narodowych – tzw. mały traktat wersalski.

Oddzielne traktaty pokojowe podpisano z Austrią w Saint-Germain (10 września 1919), z Bułgarią w Neuilly (27 listopada 1919), z Węgrami w Trianon (4 czerwca 1920), z Turcją w Sevres (10 sierpnia 1920 – kiedy zlikwidowano imperium osmańskie) oraz w Lozannie (24 lipca 1923 – po zwycięstwie Turcji nad Grecją w 1922 r.).

13 lipca amerykańska komisja rządowa pod przewodnictwem Henry'ego Morgenthaua przybyła do Polski i przez dwa miesiące badała rzekome pogromy Żydów, których – zdaniem zachodniej prasy i środowisk żydowskich – mieli dopuścić się Polacy. Raport Morgenthaua informował (publikacja 3 października), że od listopada 1918 do sierpnia 1919 r. na terenach polskich doszło do ośmiu większych ekscesów (nie – pogromów!) antyżydowskich: w Kielcach, we Lwowie, w Pińsku, Lidzie, Wilnie, Kolbuszowej, Częstochowie, Mińsku Litewskim. W ich wyniku śmierć poniosło 280 Żydów. Zaznaczono, że w zdecydowanej większości były to wypadki wynikające z warunków wojennych. Komisja uznała, że władze polskie nie były inicjatorami zająć, co sugerowały nieprzychylnie nam środowiska.

16 lipca polskim zwycięstwem zakończyła się wojna z Ukraińcami (ZURL). Na pole walki przybyło wczesną wiosną 1919 r. 35 tys. żołnierzy Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera (I Korpus gen. Dominique'a Josepha Odry'ego, w składzie 1. i 2. Dywizji Strzelców Polskich), co pozwoliło w maju na ofensywę Wojska

Polskiego. Oddziały UHA 7 czerwca przystąpiły do kontrofensywy i udało im się wyprzeć wojska polskie na zachód. Spowodowało to odrzucenie polskiej propozycji przymierza i utworzenia linii demarkacyjnej, zwanej linią Delwiga. 28 czerwca armia polska przełamała front pod Jazłowcem, a 16 lipca zmusiła siły UHA do wycofania się za Zbrucz, na teren Ukraińskiej Republiki Ludowej (wschodniej, kijowskiej), gdzie wsparły wojska URL w walce z bolszewikami. ZURL przestała faktycznie istnieć, choć jej emigracyjny rząd trwał w Wiedniu do 1923 r. Paryska konferencja pokojowa zatwierdziła 25 czerwca 1919 r. administrację tymczasową Polski na terytorium Galicji Wschodniej.

26 lipca tzw. linia Focha wytyczyła przebieg rozgraniczenia między Polską a Litwą na Suwalszczyźnie.

1 sierpnia Sejm uchwalił ustawę o Orle Białym w koronie jako godle i biało-czerwonych barwach Rzeczypospolitej. Uchwalono także ustawę o unifikacji Wielkopolski z resztą państwa polskiego oraz o przywróceniu Orderu Virtuti Militari.

Nocą z 16 na 17 sierpnia wybuchło I powstanie śląskie jako protest przeciw antypolskiemu terrorowi policji niemieckiej. Powstanie obejmowało powiaty rybnicki i pszczyński, a następnie tarnogórski, bytomski i katowicki. Walki trwały do 24 sierpnia – bez szans powodzenia. Po upadku powstania wielu jego uczestników musiało uciec ze Śląska w obawie przed represjami. Terror niemiecki osłabł po przybyciu na Śląsk Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej, a zwłaszcza – w lutym 1920 r. – wojsk alianckich i usunięciu wojsk niemieckich. Polski Komisariat Plebiscytowy z Wojciechem Korfantyem na czele wzmacnił oparcie w Polskiej Organizacji Wojskowej.

23 sierpnia wybuchło powstanie sejneńskie POW przeciw administracji litewskiej, bezprawnie zarządzającej tere-

nem przyznanym Polsce po wytyczeniu „linii Focha”. Nocą z 22 na 23 sierpnia polski atak wyparł wroga z Sejny i Krasnopola. Byli jeńcy. Po litewskiej stronie „linii Focha” zajęto trzy miejscowości. Litwini kontratakowali przeważającymi siłami i Sejny przechodziły z rąk do rąk. 26–27 sierpnia dotarły regularne oddziały WP i zepchnęły Litwinów poza „linię Focha”. Tak zakończyło się jedno z czterech – obok powstania wielkopolskiego 1806 r., powstania wielkopolskiego 1918–1919 i II powstania śląskiego – zwycięskich powstań w dziejach Polski.

1 września wszedł w życie układ o zawieszeniu broni między Wojskiem Polskim a oddziałami Dyktoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej (atamana Petlury). Linia demarkacyjna przebiegała wzdłuż rzeki Zbrucz.

11 października nastąpiło uroczyste wznowienie działalności polskiego uniwersytetu w Wilnie wskrzeszonego dekretem Józefa Piłsudskiego z sierpnia 1919 r. i nazwanego Uniwersytetem Stefana Batorego. Cztery dni później odbyła się inauguracja nowej uczelni technicznej w Krakowie – Akademii Górniczej.

8 grudnia Rada Najwyższa Ententy uznała, że tymczasowa wschodnia granica Polski powinna przebiegać wzdłuż linii Curzona (od nazwiska ówczesnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych), która jednak nie rozstrzygnęła przynależności Galicji Wschodniej.

24 grudnia, w Wigilię, Józef Piłsudski wysłał depeszę do Herberta Hoovera, jako przewodniczącego Amerykańskiej Administracji Pomocy, dziękując za dary dla polskich dzieci. Hoover (prezydent USA w latach 1929–1933) w czasie I i II wojny światowej oraz po nich organizował wyjątkowo hojną pomoc dla Polski. W 1922 r. powstały w Warszawie skwer Hoovera i pomnik Wdzięczności dla Stanów Zjednoczonych Ameryki dłuta Ksawerego Dunikowskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Włoczyk

/ Często narażali własne życie, by przyjść z pomocą członkom polskiego podziemia. Ostatni żyjący żołnierze wyklęci wspominają zasługi leśników dla niepodległości Polski

Słyszeliśmy tylko warkot przejeżdżających w pobliżu wielkich sowieckich ciężarówek. Szukali nas po akcji we wsi Moniaki, gdzie ukaraliśmy tych mieszkańców, którzy pracowali dla komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. To był wrzesień 1946 r. Czerwoni do pościgu za nami zaangażowali duże siły: Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego i UB. My tymczasem spokojnie siedzieliśmy w gościnie u leśniczego, pana Ćwikły. Bardzo dużo ryzykował, ale na szczęście komuniści nie zajrzeli do niego. Zachowanie pana Ćwikły nie było wyjątkiem, tylko regułą – leśnicy byli po naszej stronie – wspomina w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” 95-letni Marian Pawełczak ps. Morwa, jeden z ostatnich żyjących żołnierzy wyklętych, członek AK i WiN na Lubelszczyźnie. Marian Pawełczak był wówczas podporucznikiem, dowódcą ochrony sztabu u słynnego „Zapory” – mjr. Hieronima Dekutowskiego.

– Synowa pana Ćwikły kupowała dla nas zaopatrzenie, opiekowała się nami. Wszystko utrzymywane było w największej tajemnicy, na tych ludzi można było liczyć – mówi nasz rozmówca. I dodaje: – Leśnicy dbali o nasze bezpieczeństwo. Sami wiedzieli najlepiej, co się w lasach dzieje, więc dawali nam znać, czy w danym miejscu można kwaterować, czy nie. A w razie pojawienia się nieproszonych „gości” alarmowali nas, że trzeba się zwinąć. Dlatego proszę się nie dziwić, że bardzo pozytywnie wspominam tych ludzi.

Marian Pawełczak ujawnił się w 1947 r. Przez cztery lata żył w spokoju

Leśnicy dla Niepodległej



Straż leśna leśnictwa Torfy, 1938 r. FOT. NAC

ju, ale w 1951 r. został aresztowany za działalność w oddziale „Zapory”. Skazany na 15 lat, odbywał karę m.in. we Wronkach. Został zwolniony po czterech latach. W więzieniu zachorował na gruźlicę, z której leczył się potem wiele lat. Losy rodziny Pawełczaków wypadają wyjątkowo tragicznie nawet na tle innych rodzin żołnierzy wyklętych. Komuniści odpowiadają za śmierć trzech braci Mariana Pawełczaka.

– Najgorszy był los mojego najmłodszego brata Eugeniusza, rocznik 1933. Gienek nie wytrzymał tych prześladowań, które na nas spadały. Byliśmy uważani za rodzinę bandytów. Gienek załamał się i odebrał sobie życie w wieku 22 lat. Z czterech synów tylko ja zostałem rodzicom – mówi weteran.

Na wspomnienia o roli leśników nie trzeba też namawiać Leszka Mroczkowskiego, członka zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, który w 1952 r. został schwytyany przez KBW. Komunistyczny sąd skazał go na śmierć, ale karę złagodzano mu do 12 lat. Na wolność wyszedł w 1959 r. na mocy tzw. amnestii.

Leśni patrioci

– Lasy były dla nas, oddziałów partyzanckich, domem. Na polach, łąkach nie dało się prowadzić działalności niepodległościowej. Tylko lasy dawały nam schronienie – opowiada żołnierz wyklęty. – Wiele zawdzięczaliśmy ludności mieszkającej na terenach leśnych, w tym oczywiście leśnikom, którzy byli gospodarzami tych terenów. Pomagali nam, jak umieli, udzielali kwater. Wiadomo, że logistyka w partyzantce nie istnieje. Gdyby nie leśnicy i ludzie mieszkający w okolicy lasów, to nie byłoby nas. Nie byłoby żadnego podziemia niepodległościowego.

Leszek Mroczkowski do podziemia antykomunistycznego trafił w 1948 r., w wieku 17 lat. Działał głównie na Dolnym Śląsku w rejonie Jeleniej Góry.

– Gdy poszedłem do lasu, byłem bardzo młody, ale wtedy to były inne czasy. Poza tym nie czułem się dzieckiem. Wstąpiłem do WiN, bo cała moja klasa – 17 chłopców – była już zaprzysiężona! Nie mogłem odstawać od kolegów i w grudniu 1948 r. byłem już po przysiędze. Prawie od razu trafi-

łem do lasu – mówi weteran. I dodaje: – Kwaterowaliśmy w leśniczówkach, gajówkach. Leśnicy nierzadko karmili nas, podrzucali nam pieczywo, jakieś mięso. Jakie to były rarytasy! Łapczywie to jedliśmy, bo zazwyczaj kiszki grały nam marsza.

– Raz tylko słyszałem, że jeden z leśniczycy pracował dla komunistów, ale wiem to tylko z drugiej ręki, bo sam nigdy takiego leśniczego nie spotkałem. Ci, na których trafiałem, byli „nasi”. To byli prawdziwi patrioci – mówi żołnierz wyklęty.

Odbudowa RP

Leśnicy od samego początku włączyli się w budowę odradzającej się Rzeczypospolitej. 11 listopada 1918 r., gdy Józef Piłsudski przejmował dowództwo nad polskimi siłami zbrojnymi, polscy leśnicy – przy pomocy polskich żołnierzy – przejęli od Niemców gmach Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr

dawcze, wykupowano z rąk prywatnych lasy, którym groziło zupełne wycięcie.

Równocześnie Lasy Państwowe stały się jednym z filarów gospodarki II RP. W pierwszych latach przekazywały nieodpłatnie duże ilości drewna na odbudowę wyniszczoną przez wojny kraju, w kolejnych dochody z nich były jednym z głównych źródeł zasilających budżet państwa. Za sprawą LP powstały podwaliny rodzimego przemysłu drzewnego, bardzo nowoczesne wtedy zakłady, agencje eksportowe, wybudowano nabrzeże drzewne w Gdyni.

Wybuch II wojny światowej okazał się dla polskiego leśnictwa tragedią nie tylko w wymiarze ekologicznym (okupacja niemiecka zmieniła ok. jednej szóstej lasów w Generalnym Gubernatorstwie w nieużytki), lecz także w wymiarze ludzkim. Szacuje się, że nazistowski najazd kosztował życie ok. 1650 leśników. Jeszcze bardziej tragicznie wyglądała pod tym względem okupacja sowiecka. Adam Lorek, pierwszy dyrektor naczelny Lasów

Szacuje się, że nazistowski najazd kosztował życie ok. 1650 leśników. Jeszcze bardziej tragicznie wyglądała pod tym względem okupacja sowiecka

Koronnych, w którego kompetencjach leżały sprawy gospodarki leśnej. W kolejnych latach czekał ich ogrom pracy.

Lata niewoli, szczególnie zaś I wojna światowa, okazały się dla polskich lasów katastrofą. Rabunkowa polityka prowadzona w tym zakresie przez zaborców dwukrotnie zmniejszyła lesistość kraju – do ok. 20 proc. Symbolem tego ekologicznego dramatu była zagłada białowieskiej populacji żubrów, z których ostatni padł z rąk kłusowników w 1919 r.

Polskie Lasy Państwowe powołane do życia w czerwcu 1924 r. uchwałą rządu Władysława Grabskiego oraz rozporządzeniem prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Ich status doprecyzowały kolejne rozporządzenia i dekrety prezydentów na przełomie lat 20. i 30. Mimo skrajnie trudnych okoliczności leśnicy zdołali odnowić wiele pozostałych po wojnie zrębów, zalesili nowe tereny, stworzono szkoły leśne, instytuty ba-

państwowych w II RP, został aresztowany przez Sowietów już 17 września 1939 r. i niedługo później zabity. Mord dyrektora Loreta był zapowiedzią strasznego losu wielu spośród jego podwładnych. Około 3 tys. leśników zostało zamordowanych po tym, jak bolszewicy zajęli Kresy. Ich rodziny były niemal z „automatu” wywożone w głąb Związku Sowieckiego. Lista kategoryńska zawiera nazwiska 724 leśników i zarazem oficerów Wojska Polskiego zamordowanych przez NKWD.

W sumie w czasie II wojny światowej z bronią w rękę walczyło ok. 11 tys. leśników. Byli oni m.in. żołnierzami Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r., służyli w AK, przeszli z gen. Andersem cały szlak ze Związku Sowieckiego aż do Włoch. Jak pokazują wspomnienia ostatnich żyjących żołnierzy wyklętych, po zakończeniu II wojny światowej Polska wciąż mogła liczyć na opiekunów naszych lasów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1885-1944 / Od Legionów do śmierci w powstaniu warszawskim

FOT. MAC

Kadena prawdy brutalne



Krzysztof Masłoń

„Mieszczkańskość jego moralności” zatrzymała Iwaszkiewicza. Nic dziwnego: etyka widoczna w dziełach Kadena-Bandrowskiego musiała zostać odrzucona przez PRL

Juliusz Kaden-Bandrowski nazwisko nosił po matce, Helenie z Kadenów – śpiewaczce i pianistce, oraz ojcu Juliuszu Marianie Bandrowskim – lekarzu i dyrektorsze teatru. Przyjął je w podwójnej formie, by odróżnić się od swego starszego o dwa lata brata, Jerzego, też człowieka pióra, publicysty i powieściopisarza.

Juliusz miał być muzykiem, studiował w konserwatoriach w Brukseli, Lipsku, we Lwowie i w Krakowie, ale karierę pianistyczną uniemożliwiło mu dwukrotne złamanie ręki. Zajął się więc działalnością publicystyczną, przesyłając z Brukseli, gdzie zdecydował się na studia filozoficzne, artykuły do prasy krajowej, początkowo na tematy artystyczne, z czasem społeczno-polityczne. Za granicą obracał się w kręgach lewicowych, wywarł na niego znaczący wpływ mieszkający wówczas w Brukseli Edward Abramowski. Przyszły autor „Generała Barcza” zaangażował się w działalność Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej im. Joachima Lelewela, wstąpił też do PPS-Frakcji Rewolucyjnej. W 1911 r. zadebiutował jako pisarz, wydając powieść „Niezgula”, po roku dobrze przyjęty tom nowel „Zawody”, a w roku 1913 kolejną powieść „Proch”. Do rodzinnego Krakowa, dokąd zdążył wrócić przed wybuchem wojny, przyjeżdżał jako znany już, dobrze rokujący autor. Miał 29 lat.

Persona nie była jaka

Po wybuchu wojny, w sierpniu 1914 r., wstąpił do Legionów Polskich. Przez pewien czas był adiutantem Józefa Piłsudskiego, następnie oficerem werunkowym i kronikarzem I Brygady. 1 stycznia 1917 r. został awansowany na podporucznika 5. Pułku Piechoty. Od września

1918 r. działał w Polskiej Organizacji Wojskowej. Dwa miesiące później gen. Bolesław Roja (tytułowa postać ze sławnej powieści Kadena wyposażona została w jego cechy oraz doszukiwać się w niej można samego Piłsudskiego, a jak niektórzy twierdzą, i Sosnkowskiego) mianował go kierownikiem Biura Prasowego w Polskiej Komendzie Wojskowej w Krakowie. Podczas walk o Przemyśl służył jako oficer sztabowy; pisał relacje z walk polsko-ukraińskich o Lwów, a potem, w trakcie wojny z bolszewikami, z wypraw na Wilno i Kijów. Kierował wtedy Biurem Prasowym Naczelnego Dowództwa. Do rezerwy przeszedł w stopniu kapitana. Przeżył i doświadczenia legionowe zamknął Kaden-Bandrowski m.in. w powieści „Łuk” (1917) i w licznych zbiorach wspomnień oraz w tomie prozy „Przymierze serc i inne nowele” (1924). Po wojnie wydał również liczne zbiory esejów i reportaży, m.in. po pobycie w Ameryce, gdzie pełnił obowiązki korespondenta pisma „Naród”. Wygłosił tam cykl odczytów o Polsce; często i chętnie korzystał z takiego bezpośredniego kontaktu z czytelnikami, mówcą był bowiem wybornym.

Najważniejsze w jego dorobku pisarskim okazały się, oczywiście, wielkie powieści polityczne, których zapowiedzią był „Łuk”, a twórczym rozwinięciem „Generał Barcz”

(1922–1923), „Krwawe skrzydła” (1928–1929) i „Mateusz Bigda” (1933).

Inny charakter miała autobiograficzna proza wspomnieniowa, ujęta w tomy „Dom mojej matki” (1925) i „W cieniu zapomnianej olszyny” (1926), za które pisarz otrzymał w 1928 r. państwową nagrodę literacką.

We wrześniu 1939 r. nie skorzystał z propozycji opuszczenia Warszawy i wyjazdu za granicę. A był personą nie byle jaką: przewodniczył Związkowi Zawodowemu Literatów Polskich, sekretarował Polskiej Akademii Literatury, był też warszawskim radnym. W trakcie obrony stolicy kierował działem propagandy prasowej w Komisariacie Cywilnym.

W czasie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu, udzielał również lekcji muzyki. Zmarł 8 sierpnia 1944 r. na skutek ran odniesionych w powstaniu dwa dni

wcześniej. Miał Kaden dwóch synów bliźniaków, urodzonych w roku 1920. Andrzej zginął w AK-owskiej akcji na pl. Napoleona jeszcze w 1943 r., Paweł w powstaniu – 15 września. Wszyscy spoczywają na Cmentarzu ewangelicko-reformowanym przy ul. Żytniej w Warszawie.



Krzyż Niepodległości

FOT. ARCHIWUM

Żywa materia rzeczy

Odrębność Kadena w naszej literaturze podkreślał m.in. Jan Emil Skiwski, zauważając, że „pisarz ten

wpadł na pomysł: krótki polski parcours wypełnić krzykiem. Stał się jednak niedługo pedantem i narodowym prorokiem brutalności. Zaczął brutalizować z z a s a d y. Sens tego eksperymentu jest ten: kiedy orkiestra zasypia, trzeba wziąć fortissimo. Już to, że chciał to zrobić, że zdecydował się na to, jest na naszym gruncie czynem wiekopomnym. Oddech naszej literatury nie stał



Juliusz Kaden-Bandrowski (pierwszy z lewej) podczas służby w Legionach Polskich FOT. WIKIPEDIA

■ się przez to dłuższy, ale bodaj na chwilę mocniejszy. I za to Bóg zapłać!”.

Autentyzm powieści Kadena określał ten sam krytyk jako „socjalny”. To w „Czarnych skrzydłach”, utrzymywał Skiński, „autor chce dotrzeć do głębi życia socjalnego i stworzyć pewien przekrój tego życia bez żadnych osłonek, dając obraz tego, co można by nazwać przekrojem fizjologii pracy. Pracy nie idealizowanej przy pomocy sztucznych sposobów, ale zgłębianej we wszystkich jej rozgałęzieniach i procesach często potwornych, rzuconej na malowane szerokimi rysami tło ścierających się egoizmów ludzkich”.

Dodajmy tutaj, że w „Czarnych skrzydłach”, będących efektem studyjnego wyjazdu pisarza na Śląsk w latach 1923–1924, nie tylko z racji podjętej tematyki widać odbicie sławnej powieści Emila Zoli „Germinal”. W ten sposób naturalizm łączył się u Kadena z ekspresjonizmem.

A w kontekście „Czarnych skrzydeł” Skiński pisał jeszcze: „W pewnym sensie jest Kaden przeciwieństwem Żeromskiego. Autor »Czarnych skrzydeł« wyznaje konsekwentnie zasadę zupełnego wyrzeczenia się wszelkiej potocznej relacji w powieściopisarstwie. Eliminuje wszelkie informatorstwo, wprowadzanie w akcję sposobami opisu, streszczeń, przytaczania przeszłości bohaterów, wtajemniczania w ich zamierzenia. Ambicją autora jest całkowite zespolenie się z opisywaną chwilą, znalezienie tych słów i powiązań stylowych, które tę chwilę ukażą czytelnikowi w jej żywej

pulsacji. Żeromski łatwo ulegał pokusom publicystycznym, czynił to zresztą świadomie w błędnym mniemaniu, że tą drogą głębiej poruszy czytelnika – Kaden karmi nas tylko żywą materią rzeczy”.

Swoją drogą, gdy wielu znanych ludzi pióra oburzało się na „brutalizmy” Kadena, Żeromski bronił go, podkreślając zalety jego oryginalnej, nowoczesnej prozy. Z kolei autor „Generała Barcza”

niepodległości, stać było na ową »brutalną swobodę prawdy«, na dzieło, które miało odwagę podjąć temat tak »dziennikarski« jak walka o władzę w nowym państwie. Porównajmy: za najwybitniejsze dzieła prozatorskie wydane w 1994 roku, a więc pięć lat od rozpoczęcia budowy III RP, Przemysław Czapliński i Piotr Śliwiński uznają »Pannę Nikt« Tomka Tryzny, »Kabaret metafizycz-

/ Nie oszczędza pisarz tak często wysławianej ponad miarę demokracji parlamentarnej. Sejmowładztwo pokazuje Kaden jako system zdegenerowany, może najostrej w „Mateuszu Bigdzie”

postrzegat w Żeromskim najważniejszego pisarza wskrzeszonej Polski, poświęcając mu w 1930 r. esej „Stefan Żeromski, prorok niepodległości”.

Apoteoza szyderstwem podszyta

Odnosnie do „Generała Barcza”, to ma on – stwierdza prof. Maciej Urbanowski – „niezwykłe walory edukacyjne i jest czymś w rodzaju policzka wymierzonego histerykowi ku otrzeźwieniu serca i umysłu. Najpierw jednak powieść. Najpierw jednak powieść budzi uczucie zazdrości, że literaturę polską, i to ledwie pięć lat od momentu odzyskania

ny» Manuela Gretkowskiej, »Fractale« Nataszy Goerke, »Paryżanina« Krysitana Piwowarskiego oraz »Lustro i kamień« Tadeusza Komendanta. Pomijając ich różną wartość, można stwierdzić, że są to książki ostentacyjnie prywatne, ostentacyjnie ignorujące istnienie III RP i związanej z tym problematyki politycznej, zdawałoby się zupełnie wyjątkowej i nowej. [...] może »nasz« »Generał Barcza« nie powstał, bo polscy pisarze nie przeżyli czegoś w rodzaju »radości z odzyskanego śmietnika«. Czyli tego, co stało się udziałem legionistów.

Najważniejsza powieść Kadena wywołała niebywały skandal. Dla wielu osób nie do pojęcia było, jak wybitny piśmudczyk Juliusz Kaden-Bandrowski może tak krytycznie oceniać środowisko skupione wokół Komendanta. Umykało

im, że poprzez takie, dalekie od idealizacji, ujęcie postaci wodza autor ukazuje jego wielkość w toczących się zmaganiach o władzę. Inna sprawa, że pisarz przejął się nieco wymierzoną w niego nagonką (m.in. Adolf Nowaczyński określił powieść jako „wielkomiejsko-tinglowskie stręczycielstwo literackie”, a Stanisław Cat-Mackiewicz orzekł, że „»Generał Barcz« czyni wrażenie powieści pisanej z głową wciśniętą w muszlę klozetową”) i w drugim wydaniu książki niektóre epizody z życia Barcza złągodził, z innych zaś zrezygnował (przywrócone zostały w edycjach powojennych). Bulwersowały ówczesnych czytelników takie między innymi fragmenty jak ten, w którym gen. Dąbrowa, jeden z ludzi Barcza, mówi: „– Strzelamy już do służby folwarcznej – sądzisz, Barcz tego nie wie?... W miastach strzelamy do bezrobotnych – sądzisz, Barcz o tym nie wie?... Wie, ale wam życiorysy, guziki emaliowane pod oczy podtyka, byście każdy patrzył w guzik, jak sroka w kość... A w narodzie co? Wybory szykujecie, których nikt nie chce! A w wojsku? W wojsku złotem wichrzą i mącą...”.

„Kaden nie ma ambicji wielkiego diagnosty – pisał o »Generale Barczu« Michał Sprusiński, jedyny monografista Kadena. – Jest tylko rzetelnym analitykiem. Partyjna orientacja nie odbiera mu ostrości spojrzenia. Apoteoza piśsudczyzny – losy Barcza – jest szyderstwem podszyta”.

Sentyment, dobroć, serdeczność

Nie oszczędza pisarz, tak często wysławianej ponad miarę, demokracji parlamentarnej. Sejmowładztwo pokazuje jako system zdegenerowany, może najostrejsze w „Mateuszu Bigdzie”, gdzie starania tytułowego bohatera (będącego odbiciem lustrzanym Wincentego Witośa) o władzę zamieniają się w karykaturę polityki. Od pisarza najwięcej dostało się ludowcom czy – mówiąc wprost – chłopom, którzy zdaniem Kadena po latach zaborów nie dorosli do polityki, ale chorobę widzi głębiej i szerzej, gdyż zżera cały parlamentaryzm: polski i europejski. To chyba najbardziej okrutna z książek Kadena, przy tym utrzymana

w stylu najbardziej dosadnym i drastycznym.

Komuniści zarządzający kulturą polską po wojnie nie byli najmądrzejsi. Książki Kadena uznano bowiem za głęboko niesłuszne i w latach 1951–1954 nie tylko nie wznawiano ich, lecz także – poza także niewznawianym „Miastem mojej matki” – wycofano je z bibliotek. Z kolei po Październiku ’56 akcentowano w jego prozie wyłącznie wątki antysanacyjne. Dzięki temu mogła jednak powstać adaptacja sceniczna „Generała Barcza”, którą w reżyserii Jerzego Krasowskiego pod tytułem „Radość z odzyskanego śmietnika” w 1960 r. wystawił Teatr Ludowy w Nowej Hucie, a spektakl pokazano też w Teatrze Telewizji.

Podobnie też jednostronnym był film Ewy i Czesława Petelskich „Czarne skrzydła” z 1963 r. i pamiętne przedstawienie telewizyjne „Bigda idzie!” z 1999 r. w reżyserii Andrzeja Wajdy, z Januszem Gajosem w roli tytułowej, a była to – oczywiście – adaptacja powieści „Mateusz Bigda”. I jeszcze jedną powieść Kadena zekranizowano, a mianowicie „Łuk” jako „Łuk Erosa” w reż. Jerzego Domaradzkiego w roku 1987 – film, w którym liczy się seks i niewiele poza nim.

Z oczywistych powodów zgoła inny charakter i wydźwięk mają książki Kadena, które pisał dla swoich synów: „Wakacje moich dzieci” (1924) i „Aciaki z I a” (1932) oraz naprawdę znakomite „Miasto mojej matki” ze swoim dopełnieniem „W cieniu zapomnianej oleszyny”, jeśli porównywalne z czymkolwiek, to – sądzę – z „Sercem” Amicisa. Znajdujemy tu to samo stężenie uczuć,

ten sam sentyment, tę samą serdeczność i dobroć, w których wyczuwamy zapaszek naftaliny, ale specjalnie nie przeszkadza on w lekturze. Kiedyś drażnił on, widać, Jarosław Iwaszkiewicz, bo gdy w 1957 r. wreszcie wydano tę niesłuchanie popularną w międzywojniu książkę, powiatał ją z zastrzeżeniami. Utyskiwał bowiem: „Najbardziej odbiega od pojęć dnia dzisiejszego moralność Kadena. Z prawdziwym zażenowaniem czytamy dzisiaj znakomite, żywe, prawdziwe (?), ale jakże nieprzyjemne opowiadania, jak »Grotka«, »Wyścigi«, »Skarbonka«... Mieszczańskość jego moralności jest chwilami zatrważająca”.

No nie, zatrważająca jest postawa Iwaszkiewicza wytrenowana w latach stalinowskich, a co do etyki mieszczańskiej czy drobnomieszczańskiej, to ta lepiej sprawdziła się w naszej historii najnowszej niż ta rewolucyjna, ze wschodnim akcentem. Oczywiście, Kaden jest w „Miście mojej matki” anachroniczny, podobnie jak choćby w swoich najlepszych książkach Kornel Makuszyński. Sporo tu może nazbyt „łopatologicznej” dydaktyki, ale jeszcze więcej przykrywającego ją humoru, rozmach portretów członków rodziny: rodziców, świetnych wujów, cudownego Gucia czy zmarłego w dzieciństwie na nieuleczalną wtedy błonicę braciszka pisarza, Tanczusia. I Kraków końca XIX w., z hrabiowskimi powozami, balami, kołmi malowanymi przez Kossaka – nie, jeszcze nie Wojciecha, ale jego ojca: Juliusza. To był świat w starym, ale dobrym stylu. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dlaczego Niemcy przegrali wojnę ze Związkiem Sowieckim? Burzliwa dyskusja na ten temat toczy się od 1945 r. Jej uczestników można z grubsza podzielić na zwolenników trzech teorii.

1. Konserwatywni, kostyczni generałowie Wehrmachtu sabotowali kolejne znakomite decyzje i plany kierującego się bezbłędnym instynktem Hitlera.

2. Stuknięty, nieznający się na prowadzeniu wojny Hitler swoimi interwencjami psuł pracę profesjonalnych generałów Wehrmachtu.

3. Niemcy popełnili kolosalne błędy polityczne. Zamiast wyzwolić narody uciemiężone przez bolszewizm, przyniosły na wschód pożogę i zniszczenie.

Ja należę do zwolenników teorii numer trzy. Z ciekawością obserwuję jednak debatę między zwolennikami teorii numer jeden i dwa. Jednym z najważniejszych głosów w tej dyskusji są wspomnienia jednego z najwybitniejszych dowódców XX w. feldmarszałka Ericha von Mansteina.

W trakcie współpracy z Führerem Manstein wyrobił sobie o nim bardzo krytyczne zdanie. Choć nie odmawiał mu energii ani intuicji, wskazywał, że Hitler był wojskowym dyletantem. Kaganiec, który nałożył swoim generałom, stał się dla nich utrapieniem.

„Hitler zawsze podkreślał swoje pozytywne nastawienie do wojska – pisał Manstein. – W rzeczywistości wojskowy sposób myślenia i tradycje wojskowe były mu całkowicie obce”.

Czołowi niemieccy generałowie wywodzili się z arystokracji, otrzymali solidne wychowanie i wykształcenie. Wojnę traktowali jak pojedynek wytrawnych fehmistrzów. Hitler był zaś człowiekiem z gminu, który wojnę traktował jak bijatykę w knajpie, w której używa się kufla i stołowych nóg. Oni byli ludźmi XIX w., on był człowiekiem wieku XX.

„W pierwszych latach wojny – podkreślał feldmarszałek – Wehrmacht odniósł nadzwyczajne sukcesy dzięki elastycznemu systemowi dowodzenia. W trakcie pierwszego kryzysu pod Moskwą Hitler przejął od Stalina receptę na upartą i zaciekłą obronę każdej pozycji. Był bowiem człowiekiem uznającym jedynie brutalną walkę do ostatniej kropli krwi. Jego sposobowi myślenia bardziej odpowiadał obraz wykrwawiających się przed naszymi liniami mas aniżeli widok eleganckie-



Adolf Hitler z generałami Wehrmachtu. Erich von Manstein pierwszy z lewej. FOT. NAC

Książka miesiąca / Wspomnienia von Mansteina

Kapral kontra marszałkowie

go szermierza, który potrafi się cofnąć, by za moment wyprowadzić decydujące pchnięcie. Pojęciu sztuki wojennej Hitler przeciwstawił brutalną przemoc. Przemoc, której skuteczność gwarantowała, według niego, potęga jego woli”.

Problem w tym, że Hitler siłą własnej woli przeceniał. W okładaniu się na maczugę z bolszewikami Niemcy – ze względu na mniejszą liczebność – skazani byli na klęskę. Zdaniem Mansteina klęski tej udałoby się uniknąć, gdyby Führer pozwolił swoim oficerom na bardziej finezyjne prowadzenie wojny. Wycofywanie się z zagrożonych odcinków, dokonywanie uników i szybkich kontrataków.

Hitler zaś, gdy zaczynały się kłopoty, miał tylko jedną receptę. Nie oddamy ani pędzi zdobytej ziemi! W efekcie całe niemieckie armie dostawały się w okrążenie i wykrwawiały się w straszliwych męczących bojach obronnych. Modelowym przykładem był oczywiście Stalingrad.

Manstein często całymi dniami musiał przekonywać upartego jak osioła Führera do podjęcia niezbędnej decyzji. Wówczas jednak na ogół było już zbyt późno.

Polskiego czytelnika zainteresują rozdziały książki poświęcone kampanii 1939 r. Z pewnością spodobać mu się te fragmenty, w których Manstein wytyka bierność Francuzom i Brytyjczykom. Gdyby zachodni alianci zdecydowali się zaatakować na froncie zachodnim – do wodzi feldmarszałek – sytuacja Niemiec mogłaby stać się rozpaczliwa.

Dla polskiego czytelnika mniej przyjemne będą z kolei te fragmenty, w których Manstein wytyka polskiemu dowództwu podstawowe, szkolne wręcz błędy. A także krytykuje marszałka Śmigłego-Rydza, który najpierw w trakcie kampanii czmychnął za granicę, zostawiając swoich żołnierzy na placu boju. ©

Piotr Zychowicz



ERICH VON MANSTEIN
„STRACONE ZWYCIĘSTWA”

BELLONA/WINGERT

Zapomniana żona Piłsudskiego

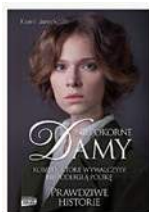
Głównymi bohaterkami książki są żony Piłsudskiego – Maria i Aleksandra. Obie zaangażowane w działalność niepodległościową, związane z PPS. Janicki wydobywa Marię Piłsudską, pierwszą żonę, z cienia Aleksandry. Małżeństwo Józefa i Marii było raczej wynikiem rozsądku. Piłsudski potrzebował wspierającej go towarzyszkę walki. To Maria, jak stwierdza Janicki, wciągnęła go w krąg ludzi i spraw PPS, gdy wrócił do Wilna z zesłania. W Galicji w dużym stopniu to ona zapewniała Piłsudskiemu poparcie innych socjalistów. Dzięki swoim zaletom towarzyskim przyciągała do niego „z wielką gracją i wyczuciem” nowych zwolenników. Prowadziła dom otwarty, który był jednocześnie swego rodzaju kwaterą wojskową męża. Nie przestawała wspierać go nawet, gdy nawiązał romans z Aleksandrą Szczerbińską, z którego to powodu bardzo cierpiała. W latach I wojny światowej uczestniczyła z mężem w uroczystościach legionowych. Współtworzyła jego rodzącą się legendę Komendanta. Piłsudski bardzo wiele jej zawdzięczał, lecz nie potrafił być wdzięczny.

Książka Janickiego opowiada także o barierach, które napotykały kobiety pragnące zaangażować się w działalność niepodległościową i walczyć na równi z mężczyznami. Związek Walki Czynnej był wyłącznie męską organizacją. Do Związku Strzeleckiego, zgodnie z decyzją Piłsudskiego, nie przyjmowano początkowo

kobiet. Jak sądzi Janicki, z powodu jego obaw o ośmieszenie tej paramilitarnej organizacji. Dopiero gdy Piłsudski zorientował się, że kobiety są przyjmowane w szeregi Polskich Drużyn Strzeleckich (mimo ich konserwatywno-prawicowych powiązań!), dał zgodę na formowanie żeńskich oddziałów. Dowodzić mieli nimi jednak mężczyźni...

Gdy oddziały strzeleckie wymaszerowały na wojnę, „intendencja była oparta na pracy i pomysłowości kobiet”. Piłsudski chwalił kobiety Oddziału Wywiadowczy 1. Pułku, a potem Brygady Legionów. Jednak nielicznym kobietom udało się zrealizować marzenie o założeniu munduru legionowego. Tylko tym, które postanowiły udawać mężczyzn, co czasami było tolerowane przez dowódców. Zyskiwali bowiem „sanitariuszy”. Janicki twierdzi, że kobiety w szeregach legionistów „miały pozostać interesującą, powabną dekoracją czy nawet pewnym wojennym kuriozum”. Nie pozwalano im na to, by walczyły i przelewały krew. Jedyną kobietą walczącą była Wanda Gertz („Kazik Żuchowicz”). ©©

Tomasz Stańczyk



KAMIL JANICKI
„NIEPOKORNE DAMY.
KOBIEТЫ, KTÓRE WYWALCZYŁY
NIEPODLEGŁĄ POLSKĘ”

ZNAK

Gnieźnianie w powstaniu

Autor, były oficer powstańczy, pisze, że spontaniczne formowanie się w Wielkopolsce oddziałów powstańczych i ich walka zmusiły Naczelną Radę Ludową do porzucenia polityki oglądania się na Ententę i na to, co zrobią Niemcy. A „Gnieźno stworzyło podstawę powstania wielkopolskiego – zapobiegło temu, by pierwszy odruch ludności Poznania przeciw bucie nie poszedł kilka dni później na marne. Powstańcy z Gniezna i ci, którzy się do nich przyłączyli, wyznaczyli teren dla

południowej części frontu wielkopolskiego, poza który – niestety – nie wyszła już dalsza akcja kierowana przez Poznań”. ©© (ts)



WOJCIECH JEDLINA-JACOBSON
„Z LUDEM WIELKOPOLSKIM
PRZECIW ZABORCOM.
WSPOMNIENIA”

REPLIKA



ADAM HAŁAT
„MIŁOŚĆ AŻ PO GRÓB.
NIEZWYKŁE LOSY
KRZYSZTOFA
GRABOWSKIEGO”

ARCANA

W POLSKIM BOMBOWCU

Cóż to było za życie! Młody arystokrata, który rzuca wszystko i z Chile przedostaje się do Anglii, by zaciągnąć się do polskiego lotnictwa. Dramatyczne podniebne misje, bombardowania i pościgi. Niestety, historia Krzysztofa Grabowskiego nie kończy się happy endem. Polska przegrywa wojnę, a on po jej zakończeniu ginie w Trójkacie Bermudzkim. Adam Hałat napisał pasjonującą ciekawą biografię. ©© (pz)

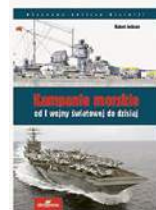


MICHAŁ SIEDZIAKO
„BEZ WYBORU.
GŁOSOWANIE DO SEJMU
PRL (1952-1989)”

IPN

FARSA „WYBORÓW”

W 1952 r., sterroryzowane społeczeństwo stawiało się niemal w komplecie (95 proc.) w lokalach wyborczych. 98,9 proc. oddało głosy na tych, którym partia już zapewniła mandaty. Książka opowiada o wyborczej propagandzie i sposobach wywierania presji na obywateli, by uczestniczyli w farsie wyborczej. Dopiero wybory w 1989 r., ostatnie w PRL, miały inne oblicze. ©© (ts)



ROBERT JACKSON
„KAMPANIE MORSKIE
OD I WOJNY ŚWIATOWEJ
DO DZISIAJ”

ALMAPRESS

STARCIA GIGANTÓW

Pancerniki, lotniskowce i atomowe łodzie podwodne. Ataki kamikaze, najbardziej brawurowe operacje desantowe i starcia opancerzonych gigantów. Wybitny znawca tej tematyki, Robert Jackson, w kompetentny sposób zebrał w jednym albumie wszystkie najważniejsze operacje morskie, do których doszło w ciągu ostatnich stu lat. Pięknie wydana książka wzbogacona została o szczegółowe mapy i rysunki. ©© (pw)

Wydawca reklamuje książkę Agnieszki Haskiej słowami: „Autorka pokazuje, że opowieści o zdrajcach, odstępach i kolaborantach są zakorzenione w świadomości Polaków silniej niż mity o bohaterach”. Ejże! Czy naprawdę pamiętamy nazwiska powieszonych targowiczów i jak wielu z nas mówi coś nazwiska: Budrecki, Dołżycki i Sym, o których to osobach pisze Haska? Nazwiska zdrajców naprawdę bardziej tkwią w pamięci Polaków niż Kościuszki czy Piłsudskiego? Książka Agnieszki Haskiej jest ogromnie ciekawa, gdy autorka opisuje, jak bardzo różne postawy Polaków były nazywane zdradą przez prasę konspiracyjną podczas okupacji niemieckiej. Jednak próby teoretyzowania są dyskusyjną stroną tej pracy.

Polskie Państwo Podziemne opublikowało „Kodeks moralności obywatelskiej”, a każde ugrupowanie konspiracyjne prezentowało swą wizję zachowań potępianych.

Piętnowane było utrzymywanie stosunków seksualnych z Niemcami, służalczość wobec Niemców i donosicielstwo,



Igo Sym
FOT. NAC

Zdrajca w kapelusiku

a także pijaństwo, obżarstwo, wzbogacenie na wojnie, paskarstwo, nadmierny humor i huczne zabawy. Chociaż rozumiano potrzebę ucieczki od koszmarnych rzeczywistości.

Agnieszka Haska pisze, że zdrajcy byli potrzebni, gdyż bez nich konsolidacja grupy „my” byłaby niemożliwa. Czyżby uważała, że zdrajcy w rzeczywistości nie istnieli, lecz zostali specjalnie wykreowani na potrzeby propagandy patriotycznej? Tym bardziej że Haska stwierdza: „Nie jest ważne, czy ktoś zdradził, ważne, kto zdrajcę wskazuje”.

Nieostre pojęcie zdrady i kwalifikowanie do niej przez prasę konspiracyjną najróżniejszych zachowań prowadzą autorkę do dość zdumiewającego stwierdzenia, że w takim razie podczas niemieckiej okupacji za zdrajców można uznać wszystkich Polaków. Także tych, którzy nosili tyrolskie kapelusze.

„W micie o zdradzie z okupantem współpracowali jednostki, wyjątki, nie zaś naród; ten zdał egzamin w trudnej sytuacji”. W co jakby autorka powątpiewała. ©©

Tomasz Stańczyk



AGNIESZKA HASKA
„HANBA. OPowieści
o polskiej
ZDRADZIE”

WAB

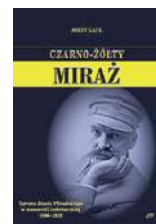
Piłsudski i wywiad Austrii

Aspekty związane ze współpracą Józefa Piłsudskiego i Polskiej Partii Socjalistycznej – Frakcji Rewolucyjnej z wywiadem austro-węgierskim od dawna nie są tematem tabu. Tym razem jej szczegóły postanowił odsłonić Jerzy Gaul. Sprzyjająca atmosfera do nawiązania kontaktów współpracy z wywiadem austro-węgierskim pojawiła się po aneksji Bośni i Hercegowiny, kiedy to w obliczu narastającej groźby wybuchu wojny z Rosją władze w Wiedniu zaczęły przychylniejszym okiem spoglądać na Polaków, postrzeganych jako sojusznicy w ewentualnym konflikcie. Szef Grupy Wywiadu w Evidenzbiuro

AOK (Armeeoberkommando) mjr Max Ronge podjął decyzję o wykorzystaniu wywiadowczym PPS-FR. W 1909 r. do kierującego partią Józefa Piłsudskiego dotarła propozycja nawiązania kontaktu wysunięta przez szefa Głównego Ośrodka Wywiadowczego we Lwowie kpt. Gustawa Iszkowskiego. W pierwszym spotkaniu uczestniczyli dwaj bliscy współpracownicy późniejszego Naczelnika Państwa – Aleksander Malinowski i Walery Sławek. Kolejne rozmowy toczyły się w Wiedniu z udziałem samego Józefa Piłsudskiego i Witolda Jodki-Narkiewicza. Warto podkreślić, że nawiązana współpraca nie miała cha-

rakteru indywidualnego, ale zbiorowy. Podmiotem kolaborującym z wywiadem monarchii habsburskiej nie byli bowiem pojedynczy członkowie kierownictwa PPS-FR, ale cała organizacja polityczna PPS-FR. ©©

Arkadiusz Karbownik



Jerzy Gaul
„CZARNO-ZŁYTY
MIRAŻ. SPRAWA JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO W MONARCHII
HABSBURSKIEJ 1896-1918”

AGENCJA WYDAWNICZA CB

Paryski Słoń Triumfalny



Jednym z symboli Paryża jest Łuk Triumfalny. Niewiele jednak zabrakło, aby w tym samym miejscu stała... Słoń Triumfalny. Tak, to nie żart. Francuski architekt Charles-François Ribart de Chamoussat w 1758 r. zaproponował zbudowanie na Polach Elizejskich gigantycznego słonia.

Pomnik miał być hołdem złożonym królowi Ludwikowi XV, który miał oczywiście sfinansować całą imprezę. W środku kolosalnego zwierzęcia miała znajdować się klatka schodowa, z której wchodziłoby się do olbrzymich pokoi. Między innymi jadalni i sali balowej, w której zmieściłaby się cała orkiestra!

W trąbę słonia miała zostać wmontowana rura, z której – niczym z fontanny – tryskałyby w górę kaskady wody. W sumie słońmonument-gmach miał mieć pięć pięter, a na jego czubku miał zostać postawiony okazały pomnik króla.

Ostatecznie w Paryżu powstał Łuk, a nie Słoń Triumfalny, co nie oznacza, że Francuzi z pomysłu do końca zrezygnowali. Kolejnego słonia – tym

razem w miejscu, gdzie wcześniej stała Bastylia – planował zbudować Napoleon. I tym razem z przedsięwzięcia nic nie wyszło.

Paryski słoń to jeden ze zdumiewających projektów opisanych w pięknym albumie „Architektura – wizje niezrealizowane”. Jego autor – Philip Wilkinson – prowadzi nas przez wszystkie epoki od średniowiecza do współczesności. I przedstawia najbardziej śmiałe i szalone architektoniczne wizje, które

pozostały tylko na papierze.

Gigantyczne katedry, podziemne labirynty, dziwaczne pomniki. Zamki, mauzolea, wieże, piramidy i futurystyczne drapacze chmur. Kroczące miasto-robot,

które mogłoby się przemieszczać po powierzchni ziemi. Gigantyczna kopuła nad Manhattanem lub całe kwartały bloków mieszkalnych zbudowane na wiszących nad wodą mostach. Ludzka wyobraźnia nie zna granic!

Jaka szkoda, że wizje przedstawione w albumie Wilkinsona nie zostały zrealizowane. ©©

Piotr Zychowicz



PHILIP WILKINSON
„ARCHITEKTURA.
WIZJE
NIEZREALIZOWANE”
REBIS

Horror w szpitalach

Pani doktor – Kuntz wskazał jej krzesło w swoim gabinecie.
– Pani doktor, mam dla pani pewne zadanie.
– Tak? – Raszyńska usiadła na krześle, wyprostowana i sztywna.
Lekarz rozłożył ręce przed sobą na biurku i zaczął przyglądać się swoim paznokciom.
– Chciałbym, żeby... ponieważ zna pani swoich pacjentów bardzo dobrze... Prosiłbym, żeby zrobiła pani listę najpoważniej chorych i chorych... nieuleczalnie”.

Rozmowa toczy się w jednym z polskich szpitali psychiatrycznych tuż po przegranej wojnie z Niemcami. Okupanci przejęli kontrolę nad szpitalem i rozpoczęli przygotowania do operacji, której efekty przypominały otwarcie wrót do piekieł. Ile było takich dialogów jak ten przedstawiony w powieści Izabeli Buckiej? W dziesiątkach polskich szpitali psychiatrycznych scenariusz był bardzo podobny. Niemcy metodycznie tworzyli spisy mające ułatwić akcję eliminacji „życia niewartego życia”, jak w nazistowskiej propagandzie nazywano ludzi chorych umysłowych. Jak ocenia wybitny badacz tego tematu, psychiatra prof. Tadeusz Nasierowski, ofiarami akcji T4 padło w Polsce ok. 20 tys. chorych. To historyczne tło jest właśnie najmocniejszą stroną powieści, której głównymi bohaterkami są chora na schizofrenię Baronka oraz Pola zmagająca się z depresją poporodową. Horror, który Niemcy zgotowali polskim chorym psychicznie, zapowiadał masową eksterminację dalszych grup ludności. Świetnie, że Izabela Bucka zdecydowała się osnuć wokół tej bardzo mało znanej u nas historii wciągającą powieść. ©©

Piotr Włoczyk



IZABELA BUCKA
„ALE MNIE STRZEŻ
OD WSZELKIEGO ZŁEGO”
NOVAE RES



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Dreyfus odwrócony

Widmo populizmu krąży po Europie”, chciałoby się sparafrazować klasyka – a właściwie po całym zachodnim świecie. Trump, Salvini, Le Pen, Kaczyński, Orbán, AfD... Nic ich wszystkich nie łączy poza tym, że wzbudzają strach i nienawiść zasiedziało establishmentu, czego skutkiem jest jazgot na salonach i w mediach, że jakieś ciemne siły chcą zniszczyć demokrację.

W istocie wzbierające siły chcą nie zniszczyć demokrację, ale, wręcz przeciwnie, skorzystać z niej dla dokonania czegoś, co od czasu do czasu dokonać się musi – i lepiej, gdy dokonuje się tego wyborczą kartką niż gilotyną. „Lud”, mówiąc najkrócej, chce innych elit. Dotychczasowych przestał słuchać, stracił dla nich szacunek. Elity nie pojmują zaś, jak to jest możliwe. Przywykły, że lud ich słucha i je szanuje, bo taki jest porządek świata, że ludzi oświeconych się słucha. Nie potrafiąc sobie wyjaśnić, co się dzieje, szuka spisku, miota bezsilne gromy na ciemne siły, które dostrzega za odczuwanym odrzuceniem i zawodzi łabędzie pienia nad końcem „liberalnej demokracji”, choć w istocie jest to tylko koniec „liberalnej oligarchii”.

Nic nowego.

Ciekawe, że w powstającej na tej fali twórczości, nazwałbym ją, konsolacyjno-elegijnej, opisującej, jak źli, podli

„populiści” ogłupiają masy i prowadzą je przeciwko arystokratycznym dworom... pardon, liberalnym salonom, oczywiście, przywoływana jest sprawa Dreyfusa. To znaczy, ona jest tu bardzo dobrą paralelą, ale liberalne elity, słusznie uważające tę sprawę za jedno ze swych zwycięstw założycielskich, zupełnie nie rozumieją sensu paraleli. Starają się tym przykładem powiedzieć: wtedy też populiści, antysemita, posługiwali się kłamstwami

/ Nowe siły nie chcą zniszczyć demokracji. Wprost przeciwnie – chcą ją wykorzystać do przeprowadzenia zmian wyborczą kartką, a nie gilotyną

mi, tumaniąc lud, ale my, czyli prawda, wygraliśmy.

A było tak: wtedy też odsuwana od znaczenia, tracąca szacunek i posłuch elita, ta poprzednia, odpaliła wszystkie dostępne jej jeszcze siły i emocje, usiłując uniemożliwić ludowi poznanie prawdy, która ją kompromitowała – ale przegrała. Innymi słowy, liberałowie nie są dziś tam, gdzie wtedy był Emil Zola, są dziś na

pozycjach francuskiego sztabu generalnego, patriotów i konserwatystów.

Istotą sprawy Dreyfusa nie był bowiem bynajmniej antysemityzm, choć oczywiście żydowskie pochodzenie jego samego czyniło go wygodnym kozłem ofiarnym. Potężna propaganda, czyniąca każdego, kto wątpił w przypisaną kapitanowi winę wrogiem, Żydem, anarchista, niemieckim szpiegiem, bezbożnikiem i wrogiem ojczyzny miała chronić chwiejący się porządek przed potężną kompromitacją. Prawdziwym zdrajcą, który sprzedał Niemcom wojskowe tajemnice, był bowiem arystokrata czystej błękitnej krwi. Do czego by to doprowadziło – musieli przerazić się sprawcy całej tej histerii – gdyby lud (a i tak już szemrze) dowiedział się, że ktoś tak wysoko urodzony może być zdrajcą, pederastą, hazardzistą i alkoholikiem? Usunięcie prawdziwego zdrajcy po cichu i zrzućcie winy na Żyda stało się najwyższą racją stanu, mało, stanu: obroną całego porządku świata!

Charakterystyczne, że tak jak wtedy upadająca elita Europy trzech cesarzy, tak dziś liberalne salony nie potrafią znaleźć rady ani nawet zrozumieć, dlaczego je odrzucono. I cały ich dyskurs ogranicza się do gromkiego „przecież!”, do miotania obelg na ciemne siły, dziś zwane „populistami”, no i do upartego zaprzeczania oczywistym dla wszystkich prawdom, choćby takim, jak ta, która wyszła z szafy pani Kiszczakowej. ©



Piotr Semka

/ Felieton

Okruczy dziejów

Uwielbiam odnajdywać w dawno wydanych powieściach okruczy wydarzeń i emocji, które skazano na zapomnienie.

Niedawno w moje ręce wpadła wydana w latach 50. przez Instytut PAX powieść Bruce'a Marshalla – „Chwała córki królewskiej”.

Bruce Marshall (1899–1987) był Szkotem, który w 18. roku życia nawrócił się na katolicyzm. W swoich książkach opisywał szkockich katolików i dylematy, przed jakimi stawali w XX w. – epoce gwałtownej laicyzacji i religijnego zwątpienia. Akcja „Chwała córki królewskiej” dzieje się w Edynburgu między 1908 r. a latami II wojny światowej.

Powieść Marshalla uwieczniła zjawisko, które wygumkowano bardzo dokładnie – wrogość, z jaką stykali się szkoccy katolicy ze strony dominujących protestantów na początku wieku.

Bohater powieści, katolicki ksiądz Smith, z braku osobnego kościoła musi wynajmować od miasta na niedzielne msze owocową halę targową. „Zewnętrzne ściany hali były gęsto pokryte nieprzyzwoitymi napisami [...] Tego dnia jednak zauważył, że były wśród nich i hasła antyreligijne, takie jak: DO DIABŁA Z PAPIEŻEM! Albo drugie [...]: PAPIZM WZBRONIONY. [...] Zakrystian przygotowujący szaty w kącie poza stertami skrzyń zapatrywał się na sprawę poważnie:

– Czuję jakąś grandę w powietrzu. [...] Archie Tamson i jego banda szukają zaczepki”.

Parę stron dalej Bruce Mitchell opisuje taką „zaczepkę”:

„Na rogu ponurej ulicy, koło pomnika ku czci poległych w wojnie Południowo-Afrykańskiej zebrał się tłum robotników w sztywnych granatowych

lub brunatnych marynarkach. [...] gdy [ks. Smith] tak stał i myślał, jakiś gruby, przysadzisty człowiek, w ogromnym meloniku, z przekrwionym okiem odłączył się od śpiewającej hymny gromadki i podszedł do księdza.

– Więc to pan jest księdzem Smithem – zapytał zaczepnie.

– Tak jest. A z kim mam zaszczyt mówić?

– Mówi pan z radcą Thompsonem, prezesem Stowarzyszenia Akcji Protestanckiej. Ostrzegam pana: jestem pańskim wrogiem. Nie chcemy żadnych obdartych katolików w tej części miasta. Nie życzymy sobie, aby odprowadzali swe bluźniercze czynności w hali targu owocowego. Jeśli nie wyniesiecie się stamtąd, sami was przepędzimy.

Przez parę sekund ksiądz oczekiwał, że człowiek splunie mu w twarz, lecz ten po wypowiedzeniu swej groźby odszedł szybko do śpiewających hymny towarzyszy [...]. Ksiądz Smith pozostał na miejscu tak długo, ile trzeba było pokazać ludziom, że się nie boi, a potem ruszył do domu przepełniony zmartwieniem”.

Niedługo potem ks. Smith wita w Edynburgu zakonnice Sacré-Cœur, które wyemigrowały z Francji po wprowadzeniu w 1901 r. restrykcyjnego ustawodawstwa Republiki Francuskiej.

Siostry przybywają na dworzec w Edynburgu pociągiem. Na stacji także nikt nie przygląda się im z sympatią.

„Grupka maklerów giełdowych w pasiastych swetrach, pumpach wypchniętych na kolanach i z młotkami golfowymi przewieszonymi przez plecy patrzyła groźnie na zakonnice, ale prałat O'Duffy popatrzył na nich jeszcze groźniej i maklerzy poszli dalej, nieugięci protestanci, gotowi uczynić dla swej

religii wszystko, z wyjątkiem pójścia do kościoła”.

Gdy już księża wprowadzili zakonnice do wynajętego dla nich domu i wyszli na ulicę, „ksiądz Smith zdał sobie sprawę, że coś niedobrego dzieje się wokół, ale idąc obok biskupa i pozostałych księży, udawał, że nie spostrzega licznych twarzy uwieszonych wzdłuż sztachet parkanu niczym nalane nienawiścią pęcherze. Usiłował też nie słuchać obelżywych okrzyków [...] – Passio Domni nostri Jesu Christi – wyszeptał i nagle nie widział już nic, bowiem ostry kamień ugodził go w skroń, powalając nieprzytomnego na ziemię”.

Celny rzut kamieniem spowodował odwiezienie ks. Smitha do szpitala. Atak na kapłana poruszył w końcu miasto i posypały się datki na budowany kościół, nawet od protestantów zaszokowanych atakiem.

Dlaczego te fragmenty tak dziś szokują?

Być może z powodu całkowitego zapomnienia skali protestanckiej agresji wobec „papistów”. Gdy w zeszłym roku odbywały się uroczystości 500-lecia wystąpienia Lutra, owszem, wspomniano o wzajemnych waśniach, ale tak ogólnikowo, że niewiele te wyrazy ubolewania mówiły.

Tymczasem dawny religijny antypapizm dziś objawia się w krytyce etyki seksualnej katolicyzmu czy nadymaniu niekiedy ponad wszelką miarę win Kościoła za przypadki pedofilii poszczególnych księży.

Nie widziałem nigdy żadnego filmu pokazującego skalę agresji wobec katolickich księży i wiernych w krajach reformacji. „Było, minęło. Po co o tym mówić?” – ktoś powie. Jedynie takie zapomniane książki jak „Chwała córki królewskiej” przypominają, jak było. Tylko kto je dziś czyta? ©©



Tomasz Stańczyk

Ksiądz Paweł Ksawery Brzostowski wyzwolił w swoich dobrach chłopów z niewoli i nędzy

XVIII w. / Wielkie Księstwo Litewskie

Rzeczpospolita Pawłowska

W 1780 r. Józef Wybicki, przyszły autor słów hymnu narodowego, kandydował na posła. We wspomnieniach pisał, że gdy uczestniczył w sejmiku w Środzie Wielkopolskiej, słyszał rzucane pod swoim adresem komentarze: „O, to ten jegomość, co chciałby chłopów w szlachtę obrócić, a nas w chłopów” oraz: „On by chciał nasze córki w chłopki obrócić”. Takie opinie podzielała większość zebranych

na sejmiku i Wybicki posłem nie został. Mało tego, szykowano na niego zamach.

Tę niechęć, a nawet nienawiść ściągnął Wybicki na siebie udziałem w pracach nad kodyfikacją prawa, której podjął się kanclerz Andrzej Zamoyski. Wśród wielu innych nowych regulacji były i te dotyczące chłopów. Rewolucyjnych zmian, jakimi byłoby zniesienie poddaństwa chłopów i pańszczyzny, kodeks Zamoyskiego nie przewidywał. A mimo to wzbudził oburzenie szlachty. Przewidywał, że chłopci – i ci pracujący na

zasadzie kontraktu u szlachcica, i nawet ci przypisani do ziemi poddani – mogli skarżyć się do sądu grodzkiego na doznane od pana krzywdy. Dwóch synów chłopca musiało zostać na wsi, ale pozostali mogli przenieść się do miasta, by stać się rzemieślnikami. Kodeks nakazywał też tworzenie szkółek dla chłopów w każdej parafii, w której dzieci mogłyby się uczyć w porze wolnej od prac polowych, poczynając od Dnia Świętego Marcina (11 listopada), a kończąc na Wielkanocy. Nieco wcześniej odebrano szlachcie

Portret Pawła Ksawerego Brzostowskiego, malował François-Xavier Fabre. Obok: grafika przedstawiająca żniwa w Pawłowie

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE I BIBLIOTEKA NARODOWA



Le Paysan de Pawłow dans le Palatinat de Vilna 1767.
C. Antonini del. et inc.

uchylony i na żadnym Sejmie aby nie był wskrzeszony”.

Pięć dni pańszczyzny

W XVIII w. niejednokrotnie odzywały się głosy w sprawie poprawy bytu chłopów i ich statusu. Stanisław Leszczyński, już jako były król polski, w książce „Głos wolny wolność ubezpieczający” (1743), którą napisał lub pod którą się podpisał, postulował zniesienie poddaństwa chłopów oraz pańszczyzny. Ksiądz Franciszek Bohomolec, redaktor „Monitora”, pisma, które zaczęło ukazywać się w 1765 r., zauważał, że rozwój rolnictwa zależy od poprawy losu chłopów. A oni w skrajnych przypadkach pięć dni odrabiali pańszczyznę, pozostawał więc im tylko dzień na uprawianie swojego spłachetka ziemi.

Co bardziej rozsądni ziemianie i arystokraci zauważali, że będą mieli większe zyski z czynszu płaconego przez chłopów za uprawę dworskiej ziemi niż za pańszczyźnianą pracę na niej, przeprowadzali więc oczynszowanie. Były też motywy humanitarne, przekonanie, że jest niegodne, by chłop był w istocie niewolnikiem. Oczynszowanie chłopów w swoich dobrach wprowadzili m.in. właściciele ogromnych dóbr: Andrzej Zamoyski, Stanisław Poniatowski, bratanek króla, Stanisław Małachowski, marszałek Sejmu Wielkiego, i Joachim Chreptowicz.

Jednak największą sławę człowieka, który zmienił los chłopów, wy dobył ich

z poddaństwa i uwolnił od pańszczyzny, zyskał Paweł Ksawery Brzostowski, który przeszedł do historii jako twórca Rzeczypospolitej Pawłowskiej. Pochodził ze znakomitego rodu Wielkiego Księstwa Litewskiego i był z tego dumny. Wydał książkę o swojej rodzinie. Utrzymywał w niej, że rodowy herb – Strzeмиę – został nadany jego przodkowi przez Bolesława Chrobrego. Urzędy pisarzy wielkich i referendarzy Wielkiego Księstwa Litewskiego były często, niemal dziedzicznie, piastowane przez Brzostowskich. Ród ten mógł pochwalić się także wojewodą trockim i biskupem wileńskim.

Paweł Ksawery, urodzony w 1739 r. w Mosarzu, obrał wcześniej – albo rodzice o tym zdecydowali – karierę duchowną. Miał kilkanaście lat, gdy otrzymał kanonię wileńską, 19 – gdy wyjechał na studia do Rzymu. Po powrocie stamtąd – kontynuując rodową tradycję – został pisarzem wielkim Wielkiego Księstwa Litewskiego (a później też referendarzem WXL). W 1765 r. odprawił pierwszą mszę.

Ustawy Brzostowskiego

Decydujący dla jego życia był rok 1767. Kupił wówczas dobra Merecz, położone dwadzieścia parę kilometrów od Wilna, i nazwał je Pawłowem. To, co zobaczył, przeraziło go. „Widziałem nie bez żalu wieśniaków tamecznych w ostatniej gnuśności i podłości umysłu pozostających, ■

prawo karania chłopów śmiercią. Teraz szlachcic miał odpowiadać przed sądem za zabójstwo chłopów lub spowodowanie śmiertelnego pobicia.

Na Sejmie w 1780 r. projekt kodyfikacji praw brutalnie utracono, zresztą nie tylko z powodu kwestii chłopskiej. Odezwały się głosy, że trzeba ów kodeks oddać w ręce kata i spalić! W podjętej uchwale Sejm, obłudnie dziękując kanclerzowi Andrzejowi Zamoyskiemu za wysiłek włożony w kodyfikację prawa, postanawiał, żeby był „na zawsze

■ bez żadnej przemysłu i prawdziwej dla rolnictwa ochoty”. Dodawał też: „Przekonać siebie nie mogłem, ażebym dłużej znieść mógł ten stan nieszczęśliwy ludu chrześcijańskiego, ludu mojemu rządowi powierzonemu, ludu mnie ulubionemu”.

Motywy humanitarne – chrześcijański – jego postanowienia zmiany tej sytuacji wiązały się zapewne z przekonaniem, że skoro chłopci nie mają „ochoty dla rolnictwa”, to i jego zyski z posiadania majątku ziemskiego będą niższe od oczekiwanych.

Po dwóch latach od objęcia w posiadanie dóbr Brzostowski wydał, po konsultacji z najznaczącymi gospodarzami – jak wspominał – ustawę regulującą sytuację chłopów i ich życie codzienne. Chłopi, zwolnieni z pańszczyzny, w zamian za ziemię przekazaną w użytkowanie mieli płacić czynsz. Zyskali też wolność. Nie byli już przypisani do ziemi. Mogli opuścić dobra Brzostowskiego, jednak pod warunkiem, że wskażą zastępcę lub zapłacą 200 zł. Nie była to suma astronomiczna. Brzostowski ustanowił administrację i samorząd, który nadzorował pracę chłopów i wypełnianie powinności wobec dworu. Organizował zebrania chłopów, na których składali sprawozdania ze stanu swojego gospodarstwa. W ustawie dla dóbr pawłowskich postanawiał: „Co rok zaś na święta Bożego Narodzenia w dzień wyznaczony od pana gromada we dworze stanie, której czytane będą ustawy i powinności, i po rozstrząśnieniu gospodarskich interesów jeżeli [co się] będzie zdawało potrzebnego dla dobrego porządku, edyktem pańskim ogłosić”. Zakazywał zaciągania długów i zbytowych uroczystości, „czyli to swoich synów żeniąc, czyli córki za mąż wydając, czy chrzciny lub pogrzeb obchodząc”.

Złych gospodarzy strofował, a nawet groził im usunięciem z ziemi, dobrych wyróżniał „czapką z wierzchem czerwonym, baranym czarnym obłożoną” i zapraszał do wspólnego zjedzenia obiadu. Chcąc powiększyć zyski chłopów, nakazał im zakładanie sadów, z których owoce były sprzedawane w Wilnie. Pozwolił też na połów ryb w rzece Mereczance. Chłopi w majątku Brzostowskiego mieli się nieźle. Jego biograf, Julian Bartyś, pytał: „Czy chłop w drugiej połowie XVIII wieku mógł sobie pozwolić na kupienie przynajmniej od święta czekolady, rodzynek lub cytryn? W odniesieniu do chłopów pańszczyźnianego,



Ruiny pałacu Brzostowskiego w Pawłowie FOT. WIKIPEDIA

a nawet oczynszowanego, z tamtych czasów pytanie to zakrawałoby na ironię i złośliwość, lecz w Rzeczypospolitej Pawłowskiej na pewno można było użyć słowa nie odpowiedź twierdzącą”.

Brzostowski ustanowił też złożone z chłopów sądy dla drobnych spraw. Takich jak sprzeczki, m.in. o grunty (w ustawie żądał, „ażeby żadnych kłótni w sąsiedztwie nie wszczynali”), kradzieże, bijatyki, ale i nieposłuszeństwo wobec „dworu”. Kary, zatwierdzone przez Brzostowskiego, nie były dotkliwe, były raczej symboliczne. Ustawa ograniczała karę pieniężną „od grosza do szóstaka”, bicie „nie więcej jak plag piętnaście”, a więzienie „godzinę jedną”.

Właściciel dóbr pawłowskich starał się uregulować wszystkie sfery życia chłopów, włącznie z ich ubiorem. Mężczyźni mieli nosić żupan niebieski sukieny bez kontusza, pas czerwony, czapkę zieloną z białym barankiem. Kobiety zaś spódnice i kamizelki niebieskie, fartuch biały, „na głowach zaś ubiór według upodobania”.

Jednym z urzędników dóbr Brzostowskiego był cenzor. Miał on nadzorować przestrzeganie przepisów ustawy. A także, „mieć baczenie powinien, żeby nie była gnuśność w rolnictwie, życie beżenne bez przyczyny, długi niepotrzebnie zaciągające”.

Pragnąc poprawić sytuację materialną chłopów, nauczyć ich lepszego gospodarowania, co oczywiście musiało się przełożyć na większe zyski dla niego, założył szkołę elementarną, by wydobyc chłopów „z grubej niewiedomości co do wiary i obyczajów, która powszechnie w prostocie panuje”.

Nie uczono jednak – zresztą na koszt chłopów, ale i Brzostowski współfinansował szkołę – jedynie pisania i czytania. Julian Bartyś pisał, że w programie

nauczania były wiadomości z zakresu prowadzenia gospodarstwa rolnego, kalkulacji przychodów i wydatków. „Był więc Brzostowski pionierem nauczania chłopów księgowości rolniczej”.

W 1770 r. Brzostowski wydał książkę „O rolnictwie dla wygody gospodarzy w Pawłowie mieszkających”. W 1785 r. Piotr Świtkowski wydał z inspiracji i pieniędzy Brzostowskiego podręcznik rolnictwa chłopskiego pt. „Książka dla gospodarzy z rozkazu jednego polskiego patrioty napisana”. Sam zaś Brzostowski przetłumaczył książkę Duhamela du Monceau „Dzieło o rolnictwie”.

Dbając o zdrowie chłopów, utrzymywał w dobrach pawłowskich felczera i wydał dla nich podręcznik dotyczący chorób i pomocy w nagłych przypadkach. Nakazał też, by budowano chłopskie chaty z większymi oknami i kominami zamiast kurnych chat. Walczył z pijaństwem. Proponował wzrost cen wódki: „Wódka u mnie droga i, choć mam bardzo szczupłą intratę, wolę jednak na sobie to znieść, bylebym tę garstkę mi powierzonych ludzi uszczęśliwił”.

Niezwykłą decyzją Brzostowskiego było utworzenie milicji w swoich dobrach, „ażeby – jak pisał – nie tylko dworowi, ale też i całemu krajowi pożytecznymi byli, za którego powszechną całość każdy obywatel życia, zdrowia i majątku żałować nie powinien”. Tym samym chłop został uznany przez Brzostowskiego za obywatela Rzeczypospolitej. Milicja miała strzec dóbr pawłowskich przed pretensjami sąsiadów, a zdarzyło się też, że odparła atak konfederatów barskich.

Pochwały króla

„Eksperyment pawłowski – jak pisał Bartyś – wielu śmieszył, innych napa-

wał przerażeniem lub prowokował do napastliwych wypowiedzi podających w wątpliwość pełnię władz umysłowych albo kwalifikacje moralne autora owego eksperymentu". Jednak Brzostowski doczekał się także wielu słów uznania. Poczynając od króla Stanisława Augusta, do którego wysłał memoriał, przedstawiając swoją ustawę i wprowadzoną na jej mocy reformę oraz proponując, by stała się przedmiotem debaty sejmowej. Tak się nie stało. Jednak król w liście do Brzostowskiego pisał: „Czuję w sercu radość, gdy zacny obywatel oświecenia swojego na ten koniec używa i powszechności udziela”. I wyrażał nadzieję, że z czasem będzie w stanie „uszczęśliwić cały kraj, jak Waszmość Pan w swoich dobrach”. Nie dokonał tego jednak. A ustawy Brzostowskiego doczekały się w 1791 r. zatwierdzenia przez Sejm. Stanisław Poniatowski, bratanek króla, pisał zaś do Brzostowskiego, że trzeba przekonywać szlachtę, iż oczynszowanie chłopów i ich wolność osobista przełożą się na „pewność i większość intraty”. Poniatowski oczynszował chłopów i pisał we wspomnieniach, że ci, którzy byli niedawno uważani za własność, sami stali się właścicielami. Co podwoiło, a nawet potroiło jego dochody. Bez wątpienia taki rezultat miały też reformy Brzostowskiego. W latach stalinowskich Emanuel Rostworowski, wówczas młody, a później wybitny historyk, pisał kąśliwie, że reformy Brzostowskiego zmierzały, by „w sposób gładki i oszczędny wyegzekwować wysoko wyśrubowaną rentę pieniężną”. Nie zgadzał się z tym Julian Bartyś, wskazując, że ta renta stanowiła 10–15 proc. dochodu chłopów.

W 1794 r., podczas powstania kościuszkowskiego, milicja dóbr pawłowskich starła się z wojskami rosyjskimi. Brzostowski był wówczas w Warszawie. Podobno dlatego, by ubiegać się o biskupstwo wileńskie po powieszonym przez lud stolicy, wysługującym się Rosjanom bp. Massalskim. Na przełomie lat 1794 i 1795 sprzedał swoje dobra pawłowskie i emigrował z kraju. Wrócił z Włoch na skutek rewolucyjnych zaburzeń, w czasach, gdy walczyły tam Legiony Dąbrowskiego. Osiadł tuż obok swoich dawnych dóbr, w Turgielach. Zmarł w 1827 r. w Ruchojnie. W Turgielach, dziś na Litwie, są polska szkoła imienia Brzostowskiego oraz poświęcone mu muzeum.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Propozycja Barthélemy'ego



Tomasz Stańczyk

Ogromne wrażenie zrobiło na mnie zdjęcie, które zobaczyłem na Facebooku, zrobione z drona nad Lwowem w nocy 1 listopada: regularne półkola i rzędy świateł. To cmentarz Obrońców Lwowa. Żeby powstał taki efekt, na każdym grobie musiał być zapalony znicz. Wzruszający przejaw pamięci Polaków ze Lwowa i tych, którzy przyjechali z kraju.

Sto lat temu, 1 listopada 1918 r., we Lwowie rozpoczęła się pierwsza wojna o granice Rzeczypospolitej. Nie można było jej uniknąć. Ukraińcy chcieli swojego państwa sięgającego za San, Polacy widzieli granicę przynajmniej na Zbruczu, granicznej rzece Galicji. Ukraińcy nie wyobrażali sobie swojego państwa bez Lwowa. Było to centrum ich życia narodowego. Było to jednak także centrum życia narodowego Polaków, stanowiących większość mieszkańców.

Rezultat tej wojny był niekorzystny zarówno dla przegranych – Ukraińców, jak i zwycięzców – Polaków. Położył się bowiem cieniem na dalszych stosunkach obu narodów.

Aprzecież nie musiało tak być! Francuski gen. Joseph Barthélemy, stojący na czele misji alianckiej mającej doprowadzić do zakończenia konfliktu między Polakami a Ukraińcami, zaproponował na początku 1919 r. władzom Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej podział ziem dawnej Galicji Wschodniej. Lwów miał pozostać przy Polsce. Barthélemy ostrzegał Ukraińców, że wkrótce przyjedzie z Francji armia Hallera i wzmocnione nią Wojsko Polskie pokona ich. Linia graniczna zaproponowana przez niego dawała szansę na zbudowanie państwa ukraińskiego. A Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa, myślący o federacyjnym związku Polski i Ukrainy, godził się na podział Galicji Wschodniej między dwa państwa. Sądził oczywiście, że Lwów, który uważał za kolebkę polskiego zbrojnego ruchu niepodległościowego, oraz borysławsko-drohobyckie zagłębie naftowe powinny należeć do Polski.

Ukraińcy nie zgodzili się na linię Barthélemy'ego. Dufni byli w siłę swojego oręża. Lwów, choć obronił się dzięki polskim mieszkańcom i odsieczki Wojska Polskiego w listopadzie 1918 r., był bowiem w ukraińskim okrążeniu. Do późnej wiosny 1919 r. nie wiadomo było, czy nie ulegnie. Jeden z ukraińskich generałów miał powiedzieć: „Niech nas rozsądzi krew i żelazo”. Niestety, tak się stało.

Niestety, gdyż przez następne miesiące poległy tysiące Polaków i Ukraińców. A Ukraińcy wraz z przegraną stracili ziemię, na której mogliby budować swoje państwo. Chociaż nie tak wielkie, sięgające za Bug i San, jak marzyli. Lepsze jednak małe niż żadne. Wielka szkoda dla obu narodów, że się tak nie stało. © ©

1519-1521

/ Hiszpanie zdobywały Tenochtitlán

Zdobycie Tenochtitlán. Obraz anonimowego malarza z XVII w.

FOT. WIKIPEDIA

Wyprawa Cortésa na Meksyk



Maciej Rosalak

/ Arkebuzy i działa, mieczorapiery oraz odziani w żelazo jeźdźcy wywarli piorunujące wrażenie na Aztekach...

W lutym 2019 r. minie równo 500 lat od wyruszenia Hiszpanów na Meksyk, co zapoczątkowało podbój kontynentu amerykańskiego przez Europejczyków. Stało się to dokładnie ćwierć wieku po zawarciu układu w Tordesillas (1494), dzielącego Nowy Świat niejako „w ciemno” między Hiszpanię a Portugalie wzdłuż południka biegnącego 1184 mil na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. Mijało wtedy 27 lat od pierwszej wyprawy Kolumba, a kilkanaście od opublikowania pism Ameriga Vespuciego, dowodzącego, że na zachód od wysp karaibskich rozciąga się wielki, stały ląd i nie są to bynajmniej Indie.

Hiszpanie, którzy w latach 1511-1514 skolonizowali Kubę, zwiad na półwysep Jukatan przeprowadzili już w 1517 r. Dowiedzieli się wtedy o złocie, a rok później już je zobaczy-

li i wzięli do rąk. Właściciel ziemski z Kuby Hernán Cortés osiągnął wtedy najlepszy wiek dla mężczyzny (33 lata) i ożywiało go tak wielkie pragnienie zdobycia nowych ziem i drogocennych łupów, że zastawił swe dobra, aby sfinansować najazd. Misję tę powierzył mu gubernator wyspy.

Powrót Quetzalcoatl

W lutym 1519 r. pod rozkazami Cortésa wypłynęło z Kuby 508 ludzi i 16 koni na 11 statkach. Uzbrojeni zostali w 32 kusze, 13 arkebuzów, 10 armat i cztery śmigownice. Cortésowi sprzyjały nader szczęśliwe zbiegi okoliczności. Na jednej z wysp spotkali hiszpańskiego rozbitek Gerónimo de Aguilara, który w ciągu ośmiu lat poznał język i zwyczaje Indian. Po pokonaniu na południo-

wym wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej plemienia Tabasków, którzy przerazili się na widok koni, otrzymali w darze 20 niewolnic. Znajdowała się wśród nich Malinche, co oznaczało „Żdźbło pokuty” i wróżbę pożogi. Została żoną Alonso Hernández Puertocarrero i oddała Hiszpanom nieocenione usługi. Najważniejsze zaś okazały się wierzenia Azteków w powrót i zemstę wyganego boga Quetzalcoatl. Miał przybrać postać mężczyzny o białej cerze i czarnej brodzie, odzianego w kapelusz oraz czarne szaty, który przybędzie dziewiątego dnia wiatru (czyli 22 kwietnia, który właśnie nadszedł) w roku trzciny od strony wschodzącego słońca. Wypisz wymaluj – Cortés...

Domniemany Quetzalcoatl okazał się dla Indian nie mniej od boga groźnym człowiekiem. Był przewidujący i rozważny, a jednocześnie mężny do szaleństwa i skłonny do ryzyka. Potrafił okazać dobroć, ale i potworne okrucieństwo.

Władcą kwitnącego państwa Azteków, którzy podbili plemiona w środkowym Meksyku, był od kilkunastu lat Montezuma II. Tego 54-letniego człowieka zdjęła paraliżująca myśl i wolę obawa przed przybyszami. Brak



konsekwencji okazał od początku, kiedy wysłał delegację z bogatymi darami do przybyszów (w tym, na swoje nieszczęście, ze złotem i z zapowiedzią, że ma go jeszcze bardzo dużo), choć chciał, żeby jak najszybciej się wynieśli. Obsypywał ich darami i karmił przez trzy miesiące, aż... zebrali siły do dalszego najazdu.

Czas ten Cortés wykorzystał też, aby uniezależnić się od gubernatora Kuby. Ponieważ przywilej królewski przyznawał założycielom miast w Nowym Świecie prawo wyboru urzędników podlegających bezpośrednio władcy, a nie lokalnym gubernatorom, Cortés założył Villa Rica de la Vera Cruz, powołał jego władze i od nich przyjął dowództwo nowej misji. Do króla wysłał poselstwo z całym zebraniem złotem. Budowę nowego miasta zapoczątkowało wznieśnienie pręgierza i szubienicy. Hiszpan potrafił zjednać plemiona podbite wcześniej przez Azteków i mające dość ich dominacji, składania im danin oraz jeńców, którym kapłani azteccy wyrwali serca w ofierze bogom. Plemiona wierne Aztekom bezlitośnie pokonywał, nie wahając się przed popełnianiem takich zbrodni jak wyrżnięcie 3 tys. Cholulan.

Zdarzyło się to już podczas marszu na Tenochtitlán, który Cortés rozpoczął 15 sierpnia 1519 r. na czele 400 hiszpańskich piechurów, 15 jeźdźców oraz 2 tys. totomackich tragarzy. W Vera Cruz pozostał niewielki garnizon pod wodzą Juana de Escalante. W drodze najeźdźcy spotkali posłów Montezumy, który obiecał nawet, że uzna Karola V za swego władcę i będzie mu co roku słał daniny, byle tylko Hiszpanie zawrócili. Cortés odebrał to oczywiście jako przejaw słabości władcy Azteków.

Mimo że kapłani doradzali zbrojny opór, a czarownicy usiłowali powstrzymać Hiszpanów zaklęciami, Montezuma zgodził się na ich wkroczenie do stolicy. 8 listopada konkwistadorzy przybyli tam i ujrzeli ogromne miasto, które liczyło 300 tys. mieszkańców, a leżało na pociętej kanałami wyspie okolonej zewsząd jeziorem Texcoco. Na jego wybrzeżach leżały wsie i miasteczka. W centrum Tenochtitlán znajdowały się świątynie i pałace. Do stolicy prowadziły groble liczące od 3 do 11 km. Poziom słonej wody jeziora regulowały tamy,

wodę pitną dostarczano zaś akweduktem. Jedynie największe miasta ówczesnej Europy, takie jak Antwerpię czy Wenecję, można porównać do stolicy Azteków.

Montezuma gościł Cortésa-Quetzalcoatlą i pozostałych Hiszpanów w pięknym pałacu. Powtórzył swoje poprzednie propozycje. Nie godził się natomiast na rezygnację z azteckich wierzeń i obyczajów.

Cortés w podzięce uwięził azteckiego władcę, wykorzystując jako pretekst starcie w Vera Cruz, podczas którego zginęło kilku Hiszpanów, w tym dowódca. 14 listopada „goście” „zaprosili” Montezumę do swej siedziby, a ten wraz ze skarbem oddał się w ich ręce. Azteccy wojownicy z Vera Cruz rychło spłonęli na stosie. Montezuma pogodził się i z tym, zwłaszcza że z początku cieszył się szacunkiem, nie zabraniano mu praktyk religijnych, miał kontakt ze swym dworem. Zbuntował się dopiero przeciw żądaniu wprowadzenia kultu maryjnego. Wyprosił „gości”, którzy jednak posłuchać go, rzecz jasna, nie zamierzali.

Cortés opuścił wiosną 1520 r. miasto, zabierając 70 Hiszpanów i 400 sojuszników indiańskich, aby rozprawić się z karną ekspedycją, jaką wysłał

gubernator Kuby oburzony samowolą konkwistadora. Ten jednak sprytnie pochwylił dowódcę wyprawy, śmiałym atakiem zaskoczył jego żołnierzy i w efekcie zwiększył własne siły do niemal 1,3 tys. ludzi, 96 koni, 80 arkebuzów, 80 kuszy i 20 armat.

Tymczasem Aztekowie postanowili wyrzucić pozostałych Hiszpanów ze stolicy. Ich dowódca Pedro de Alvarado wykrył spisek i 22 maja 1520 r. zamordował 400 osób z azteckiej elity na Świętym Dziedzińcu. Wybuchło powstanie, ale oblężonych najeźdźców ochroniło przed karą wystąpienie... Montezumy.

Stal i obsydian

Wierzenia Azteków nie stanowiły jedyne źródła przewagi Hiszpanów. Posiadali arkebuzy z zamkiem lontowym, które miały kaliber około 25 mm i muszki. Kolbę ustawiono pod kątem w dół – można ją było oprzeć o ramię i przyłożyć do twarzy, aby dokładniej celować. Z arkebuz strzelano bez podpórki. Siłę rażenia konkwistadorów zwiększały kusze.

Hiszpanie stosowali swego rodzaju mieczorapier. Prosta, dość ciężka głownia ze słynnych wytwórni w Toledo służyła przede wszystkim do zadawania cięć, ale umożliwiała też pchnięcia. Puklerze – okrągłe, nieco wypukłe tarcze, całkowicie metalowe, o średnicy do pół metra – miały szpiczaste umbami do zadawania ciosów. W gorącym klimacie konkwistadorzy zakładali ze zbroi zapewne tylko napierśniki i napleczniki oraz hełmy. Panikę wzbudzali zwłaszcza odziani w żelazo jeźdźcy. Również działa robiły piorunujące wrażenie na Aztekach, a także wyrządzały im ogromne straty, zwłaszcza używane podczas bojów o Tenochtitlán na groblach i z brygantyn, czyli pływających platform artyleryjskich.

Aztekowie nie znali żelaza. Po wszechnie stosowano za to obsydian – twarde wulkaniczne szkliwo. Miecz macuahuitl był wykonany z drewna, do którego krawędzi przymocowywano ostre jak brzytwa obsydianowe ostrza. Krótsze miecze mierzyły około metra. Dłuższymi walczone oburącz, zabijając nawet konie. Używano też maczug i toporów z kamiennymi ostrzami.



Wojownik aztecki z bractwa jaguara, w skórzanej zbroi i z maczugomieczem z obsydianowymi ostrzami

RYŚ MAREK SZYSZKO

■ Azteckie łuki miały półtora metra długości, a wykonywano je z twardego i elastycznego drewna hikory. Cięciwy sporządzano ze skór i ścięgien zwierzęcych. Rażono na odległość także krótkimi oszczepami wyrzucanymi z dużą siłą za pomocą drewnianego miotacza (atlatl).

Tarcze o średnicy trzech czwartych metra wykonywano z twardej trzciny wzmocnionej przeplataniem bawełnianymi sznurami. Osłonę głowy stanowiły drewniane hełmy o kształcie głów jaguarów, papug, orłów i węży. Ciało osłaniały kaftany ze skóry lub mocno zbitej, grubej i pikowanej bawełny. Stawały się one popularne również wśród Hiszpanów. Z kolei tubylcy stosowali zdobytą na nich broń. Bernal Díaz del Castillo pisał: „Mieli włócznie zrobione z kling pałaszy zdobytych podczas wielkiej rzezi naszych, wtedy przy mostach Meksyku [Tenochtitlán], a wszyscy Indianie – kapitanowie nieśli nasze pałasze zatknięte na długich i bardzo błyszczących pikach”.

Z pomocą oblężonemu Alvaradzie przybył 24 czerwca 1520 r. Cortés na czele 1,1 tys. Hiszpanów i 3 tys. Tlaxcalan. Następnego dnia zostali zaatakowani gradem kamieni, strzał i oszczepów. 28 czerwca Montezuma przemówił do mieszkańców z pałacowego tarasu, ale ci nie uznawali się już za jego poddanych. Obrzucili go kamieniami, śmiertelnie raniąc. Zmarł po trzech dniach, niewykluczone, że z pomocą najeźdźców, którzy wydali jego ciało Aztekom, aby odwrócić ich uwagę od przygotowań do odwrotu.

Żołnierze mogli nabrać złota do woli, co zgubiło niejednego z nich. Ruszyli deszczową, ciemną nocą, w ciszy. W pewnym momencie Aztekowie odkryli ucieczkę i tłumnie natarli z łądu oraz wody. Przepusty na grobli były zniszczone i Hiszpanie musieli walczyć w wodzie z nadzwyczajnym męstwem, biorąc przykład ze swego wodza. Do wylotu grobli dotarła zaledwie trzecia część żołnierzy. Hiszpanie, których stu zamknęło się w jednej ze świątyń, albo polegli, albo zostali pojmani i złożeni w krwawej ofierze azteckim bogom.

7 lipca pod Otompan kilkadziesiąt tysięcy wojowników dopadło kilkuset cofających się konkwistadorów i ich indiańskich sojuszników. Hiszpanie wiedzieli o tragedii jeńców. Walczyli

wszyscy, w tym ranni i kobiety. O ich zwycięstwie przesądził Cortés, który na czele desperackiej szarży obalił azteckiego dowódcę Cihuacatzina.

Trzy miesiące jatki

Do kraju Tlaxcalan dotarło 440 konkwistadorów; dwa razy tyle zginęło. Cortés zgromadził jednak zapasy broni, prochu i kul oraz wybudował 13 brygantyn, które po rozłożeniu przeniesiono w częściach nad jezioro Texcoco. Wsparli go nowi ochotnicy hiszpańscy i sojusznicy indiańscy, a wrogów nękała ospa przywleczona z Europy. Ona to dotknęła śmiercią następcy Montezumy – Cuitláhuaca.

28 grudnia 1520 r. Cortés ponownie wyruszył na Tenochtitlán. Bitwa o miasto rozpoczęła się 20 maja roku następnego. Sandoval z 240 Hiszpanami i 30 tys. Indian ruszył w kierunku Ixtapalapan. Cristóbal de Olid wiódł 211 Hiszpanów i 20 tys. Tlaxcalteków na Coyohuacán. Trzecią grupą Alvarado prowadził na Tlacopan. Miał pod komendą prawie 200 Hiszpanów

i 25 tys. Indian. Cortés dowodził całąścią oraz flotyllą brygantyn wspomagających ataki prowadzone na groblach i odcinających dostawy zaopatrzenia dla Azteków zamkniętych w stolicy.

31 maja brygantyny rozbiły flotyllę 500 azteckich łodzi pod Ixtapalapanem. Olid ruszył i zdobył miasteczko Xoloc, gdzie zbiegały się groble z Coyohuacán i Ixtapalapan. Aztecki kontratak spłynął krwią w ogniu armat.

Od 8 czerwca zaopatrzenie mogło docierać do obrońców jedynie wodą, gdyż wszystkie groble zostały zablokowane przez Hiszpanów.

9 czerwca Hiszpanie przystąpili do szturmów ze wszystkich stron. Główny atak ponad 200 Hiszpanów i kilkudziesięciu tysięcy Indian dotarł aż na Święty Dziedzinec, skąd napastników odparto.

Następnie Hiszpanie w dzień atakowali, a na noc wycofywali się do obozu w Xoloc. Aztekowie stawiali wtedy kolejne barykady i oczyszczali zasypane kanały.

16 czerwca Aztekowie uporczywie opierali natarcie na Hiszpanów. Kiedy konkwistadorzy w pościgu wdarli się głęboko do miasta, ze wszystkich



Hiszpański konkwistador w pełnej zbroi płytowej, z mieczem i maczugą morgenstern przy siodle

RYŚ. MAREK SZYSZKO

stron przypuszczono na nich atak. Droga ucieczki została odcięta. Hiszpańskie brygantyny utknęły na wbitych w dno palach. Osaczonym pomogła dopiero szarża jeźdźców i atak indiańskich sprzymierzeńców Cortésa.

30 czerwca 270 Hiszpanów z tysiącami sojuszników i brygantynami przeprowadziło krwawo odparte uderzenie na dzielnicę Tlatelolco. Kiedy Hiszpanie się wycofali, „ponownie zabrzmiał żałośnie bęben Huitzilopochtli i mnóstwo muszli i rogów. Spojrzeliśmy na wysoką świątynię i zobaczyliśmy, że siłą prowadzą po stopniach w górę naszych towarzyszy pojmanych podczas klęski zadanej Cortésowi. A gdy mieli ich już na górze, na placu znajdującym się obok świątyni, gdzie były ich przeklęte bożki, dojrzelśmy, że wielu z nich wkładają na głowy pióropusze i każą im tańczyć przed Huitzilopochtli z czymś w rodzaju wachlarzy, a zaraz po tańcu kładą ich na plecy, na kamieniach nieco wydłużonych, jakie mieli do składania ofiar, i nożami z obsydianu rzną im piersi i wyrrywają ruszające się serca, ciała zaś stracają nogami w dół po stopniach”. Ponad pół setki Hiszpanów i setki sprzymierzeńców znalazło śmierć na stołach ofiarnych.

Pod koniec lipca połączono się z grupą Alvarada, ale wódz Cuauhtemoc stale odrzucał propozycje kapitulacji.

13 sierpnia nastąpił szturm generalny. Z dwóch stron lądem zaatakowali Alvarado i Cortés, a od strony jeziora dowodzący brygantynami Sandoval. Wygłodzeni do cna Aztekowie stawiali słaby opór, więc szybko stali się ofiarami potwornej rzezi. Cuauhtemoca ze switą ujęto na jeziorze, kiedy zamierzał uciec z miasta. To zakończyło walki.

Hiszpanie znaleźli niewiele skarbów. Na miejscu Tenochtitlán pojawiło się miasto Meksyk z kościołami budowanymi z kamieni zburzonych świątyń azteckich. Ospa, gruźlica, grypa zdziesiątkowały ludność tubylczą. Przed konkwistą na terenie dzisiejszego Meksyku żyło ok. 25 mln ludzi, a w 1548 r. – 6,3 mln. Wzorem Cortésa poszedł rychło Pizarro w Peru, a następnie kolejni zdobywcy. Większość kontynentu obu Ameryk znalazła się w XVI w. w rękach Hiszpanów i Portugalczyków, a w następnym stuleciu – Anglików, Francuzów i Holendrów. Geopolityka całego globu zmieniła się nie do poznania. Zmiany zapoczątkowała wyprawa Cortésa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bluźniercze i głęboko obraźliwe



Maciej Rosaluk

Z fałszowaniem historii – z krzywdą dla Polaków – mieliśmy do czynienia od dawna. A jednak warto wrócić do dwóch wypowiedzi z bieżącej jesieni – ambasadora rosyjskiego Siergieja Andriejewa oraz papieża Franciszka. Ojciec Święty powiedział Litwinom, będąc w ich kraju: „Kiedy pomyśli się o wschodzie, jest tam wasza trudna historia. Ale część tej tragicznej historii przyszła z Zachodu, od Niemców, od Polaków, ale przede wszystkim od nazizmu”. Kiedy pomyśli o tych słowach Polak w Warszawie, a jeszcze bardziej w Wilnie, w zadziwienie wielkie wpada. Cóż, co niedziela wzywa się wiernych w polskich kościołach do modlitwy w intencji papieża Franciszka. Módlmy się przeto...

Posel pana prezydenta Putina, który w wywiadzie dla dziennika „Kommiersant” zarzucił Polsce wojnę z pomnikami Armii Czerwonej. Oceniał, że jest to „wojna” z „pamięcią o uratowaniu Polski przez Armię Czerwoną w latach 1944–1945... Jest to wybór polityczny strony polskiej na rzecz konfrontacji z nami, ponieważ w Rosji takie działania są postrzegane przez przeważającą większość naszych obywateli jako bluźniercze i głęboko obraźliwe dla naszego narodu”. Nasz „wybór polityczny” powinien więc prawdopodobnie, zdaniem ambasadora, polegać na dziękczynnych hołdach, składanych np. pod pomnikiem gen. Czerniachowskiego za gehennę żołnierzy AK w Wilnie czy pod pomnikami w Warszawie – zapewne za „wyzwolenie” grobowych ruin stolicy. Nasza historiografia zaś winna – śladem propagandy sowiecko-rosyjskiej – po szerzyć heroiczną legendę „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, wyczyszczoną z tak niewygodnych faktów jak klęski 1941 r. czy zbrodnicze dla setek tysięcy własnych żołnierzy decyzje Stalina. Zapewne „bluźniercze i głęboko obraźliwe dla rosyjskiego narodu” okazałyby się w tej wersji również masowe rabunków, gwałty i mordy dokonywane przez czerwonoarmijnych „wyzwolicieci”.

Właśnie czytam „I rozpętało się piekło” Maxa Hastingsa (Wydawnictwo Literackie, wyd. II). Autor opisując m.in. owo „wyzwolenie”, przytacza fragment wiersza Aleksandra Sołżenicyna: „W chwilę później zza muru / Dobiega krzyk jakiejś dziewczyny: / »Nie jestem Niemką. Nie jestem Niemką. / Nie! Jestem Polką. Polką.« / Ci wszyscy chłopcy, jak jeden mąż, / Chwytają wszystko, co wpadnie im w ręce, / Ale kto byłby na tyle pozbawiony serca / Żeby im tego zabronić?”.

Ambasador powiedział też: „Nie zapomnimy i nie przebaczymy. Dopóki w Polsce nie zostanie uznany, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, wieczny dług wdzięczności wobec żołnierzy radzieckich, którzy tutaj ginęli, dopóki będzie trwać obecna skandaliczna sytuacja, gdy wyzwoliciele nazywa się okupantami, to na płaszczyźnie oficjalnej na tematy historyczne nie mamy o czym rozmawiać”. A chociaż Sołżenicynowi wolno mieć zastrzeżenia?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Maxim – synonim cekaemu



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Stworzony przez Hiram Stevensa Maxima karabin maszynowy zrewolucjonizował sposób wojowania

Utalentowany technicznie samouk urodził się w 1840 r. i zanim wynalazł swą słynną maszynkę do zabijania, ochrzczonej w latach I wojny światowej „ponurym żniwiarzem znad Sommy”, zdążył zabłysnąć na rynku cywilnym. Dość powiedzieć, że zbudował pierwszą elektrownię gazową, która rozświetliła Manhattan, i wynalazł... samoczynną łapkę na myszy! Czując zagrożenie ze strony genialnego konstruktora, konkurencja, m.in. znany skądinąd Thomas Edison, wygryzła go ostatecznie z biznesu, płacąc Maximowi olbrzymią sumę pieniędzy za porzucenie branży elektrycznej. Amerykanin postanowił spróbować sił za oceanem.

W 1883 r. zaprezentował w Anglii broń, w której naciśnięcie spustu powodowało lawinę pocisków wypływających z lufy z prędkością kilkuset na minutę; naboje wyłuskane były z parciaonej taśmy przesuwającej się w zainstalowanym w karabinie donośniku. Z karabi-

nem Maxima nie mogła się równać żadna inna konstrukcja, zwłaszcza niezwykle wówczas popularne kartaczołownice, czyli wielolufowa broń napędzana siłą ludzkich mięśni za pomocą korby bądź dźwigni. Wszystko za sprawą zjawiska odrzutu następującego po strzale, cennej energii marnotrawionej do tej pory, a przez Maxima wykorzystanej do napędzania skomplikowanego mechanizmu. Lufa osadzona była ruchomo i poprzez suwadło sprzęgnięta z zamkiem poruszającym się w obszernej komorze. Po strzale następował jej krótki ruch

wsteczny, który wymuszał pracę zamka, a więc wyrzucenie pustej łuski, wyciągnięcie kolejnego naboju z donośnika (pierwszy nabój strzelca

wprowadzał do komory ręcznie) i wprowadzenie go do komory oraz odpalenie; zamek tworzył najbardziej skomplikowany i czuły jednocześnie zespół spośród mechanizmów karabinu.

Broń nie od razu podbiła serca wojskowych (taka imponująca

szybkostrzelność niekoniecznie budziła wówczas zachwyt). Lata 80. spędził Maximowi na doskonaleniu swojego wynalazku, a własną firmę założył m.in. dzięki pomocy wschodzącej gwiazdy przemysłu zbrojeniowego, firmie Vickers & Sons Co Ltd., której właściciele dostrzegli olbrzymi potencjał tkwiący w karabinie maszynowym. Pod koniec dekady światło dzienne ujrzała dopracowana i w pełni efektywna wersja, dostosowana już do nowego małego kalibrowego naboju elaborowanego prochem bezdymnym. Broń chłodzona była wodą, którą nalewano do obszernej chłodnicy osadzonej wokół lufy i stanowiącej jednocześnie jej łożysko. Popularność karabinu Maxima znacznie wzrosła, kiedy trafił do uzbrojenia armii brytyjskiej i wraz z nią powędrował masakrować „dzikusów”. Chrząst bojowy nastąpił w 1893 r. w trakcie kampanii przeciwko afrykańskiemu państwu Matabele (dzisiejsze Zimbabwe). W 1898 r. maximy, osadzone jeszcze wówczas na klasycznych wielkich ławetach artyleryjskich, miały swój ogromny udział w pogromie derwiszów pod Omdurmanem (Sudan).

Pierwszym nowoczesnym konfliktem, w którym obie strony dysponowały licznymi kaemami, było starcie rosyjsko-japońskie (1904–1905). Żołnierze carscy używali maximów, a Japończycy francuskich hotchkissów, które działały na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie i były chłodzone powietrzem. Chociaż Rosja wojnę przegrała, karabin systemu Maxima okazał się niezawodny i przerażająco skuteczny, o czym świadczyły gigantyczne stopy poległych japońskich żołnierzy zalegających przedpoła twierdzy w Port Artur. W przededniu I wojny światowej wszystkie armie były już wyposażone w broń maszynową. Na zdjęciu rosyjski maxim na kołowej ławecie typu artyleryjskiego z okresu wojny 1904–1905.



Czołgi BT

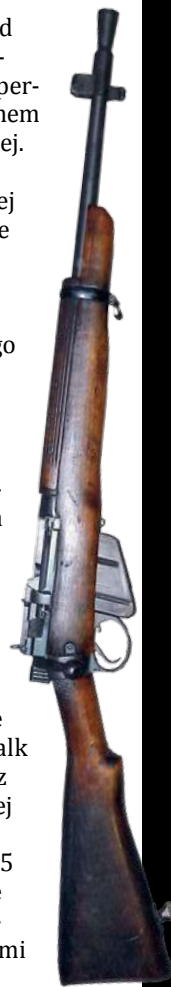


Rodzina sowieckich szybkobieżnych czołgów BT (bystrochodny tank) powstała w latach 30. Na podstawie wynalazu amerykańskiego konstruktora Johna Waltera Christiego. Jego czołg wyróżniał się oryginalnym układem jezdnym, w którym każde z kół było niezależnie zawieszone na pionowych resorach spiralnych. Co więcej, po zdjęciu gąsienic pojazd gnał na kołach z prędkością ponad 70 km/godz. Sowietci kupili w USA dwa oryginalne pojazdy i szybko rozpoczęli produkcję własnych wersji – powstały w sumie trzy podstawowe: BT-2,

5 i 7. Czołgi rozpoczęły służbę na początku lat 30. Do 1939 r. fabryki dostarczyły ich przeszło 7 tys. Warto wspomnieć, że wynalazek Christiego zastosowano m.in. w polskim prototypowym pojeździe 10 TP. Uzbrojeniem większości wozów były 45-milimetrowe armaty oraz karabiny maszynowe (w pierwszej wersji tylko kaemy); pojazd miał nowoczesnie ukształtowany kadłub i napędzany był amerykańskim lotniczym silnikiem Liberty lub jego sowiecką kopią. Wadą był cienki pancerz sięgający maksymalnie 20 mm. BT były bronią wybitnie ofensywną i zgodnie z założeniami sowieckiej strategii lat 30. przeznaczono je do wykonywania głębokich zagonów pancerno-kawalerskich w przestrzeń operacyjną przeciwnika. Chrztem bojowym była wojna domowa w Hiszpanii, w której użyto ich niezgodnie z przeznaczeniem, tzn. do wsparcia piechoty. Pociągnęło to za sobą znaczne straty, podobnie jak później w walkach z Japończykami w Mandżurii. Na zdjęciu uszkodzony i porzucony BT na szlaku panicznego odwrotu Armii Czerwonej w czerwcu 1941 r. ©©

SMLE No. 5

Short, Magazine Lee-Enfield (SMLE) numer 5 był ostatnim, nie licząc wersji snajperskich, regulaminowym karabinem powtarzalnym armii brytyjskiej. Zaprojektowano go specjalnie z myślą o walkach w tropikalnej dżungli, stąd zwany jest „jungle carbine”. Powstał w 1944 r., a w maju 1945 r. pojawił się na wyposażeniu oddziałów. Była to skrócona wersja doskonałego karabinu SMLE No. 4. Wylot lufy zaopatrzono w integralny tłumik płomienia, a skróconą kolbę zakończono gumowym amortyzatorem odrzutu; skrócono także łożo. Broń mierzyła nieco ponad metr i ważyła ponad 3 kg – ok. 0,7 kg mniej aniżeli No. 4. Tak jak wszystkie poprzednie wersje karabinu zasilano go z 10-nabojowego magazynka pudełkowego. Znalazł szerokie zastosowanie m.in. podczas walk prowadzonych od 1948 r. przez oddziały Wspólnoty Brytyjskiej z komunistyczną partyzantką na Malajach. Kompaktowy No. 5 okazał się nieudany i żołnierze generalnie nie lubili go. Odnaczał się nie najlepszymi osiągnięciami i miał bardzo duży odrzut. ©©



Scutum – tarcza legionisty

Tarcza stanowiła nieodzowny element wyposażenia rzymskiego piechura. Scutum, nierozdzielnie związana z taktyką legionów (podobnie jak grecka aspis z szykiem falangi), miała w okresie republikańskim formę wydłużonego owalu. Jest znana z licznych przedstawień na zabytkach sztuki i z opisu Polibiusza, zachował się także jeden oryginalny egzemplarz odkopany na początku XX w. w egipskiej oazie El-Fajum. Osłona zbudowana była z trzech warstw drewnianych listew układanych naprzemiennie i klejonych

ze sobą. Zewnętrzne i wewnętrzne listwy, ułożone horyzontalnie, były profilowane, dzięki czemu boczne krawędzie tarczy zachodziły w kierunku wnętrza, zapewniając tym samym lepszą osłonę walczącego. Drewno pokrywano warstwą filcu i skóry, a lico wzmacniano ciągnącą się wzdłuż tarczy ością (spina)



i umbem; w zachowanym egzemplarzu są one drewniane, stosowano jednak niewątpliwie także metalowe, w tym okucia górnej i dolnej krawędzi. Od wewnętrznej strony mocowano poziomo prosty imacz pozwalający na swobodne manewrowanie tarczą. Stronę zewnętrzną pokrywano dekoracją malarską. Tarcza z Egiptu ma blisko 130 cm długości i ponad 60 cm szerokości. ©



Gitary w rękach członków zespołu Iron Maiden

FOT. ADELS/WIKIPEDIA

XX w. / Elektryczna rewolucja w muzyce

Wielka gra gitary



Tymoteusz Pawłowski

/ Który instrument był najważniejszy w dziejach ludzkości? Żadna muzyka nie zmieniła świata bardziej od tej granej na gitarach elektrycznych

Dawne instrumenty – np. z czasów średniowiecza i renesansu – są dla historyków pewną zagadką. Do dziś zachowały się pojedyncze sztuki, z reguły w fatalnym stanie. W powiązaniu z tym, że ówczesny zapis nutowy był zupełnie inny od współczesnego, niezbyt dokładnie wiemy, jak brzmiały te instrumenty.

Mimo wszystko dzieje gitary możemy rozpocząć w średniowieczu.

Przez długi czas nie była to gitara, którą znamy dziś. Miała cztery struny, z czasem pięć, i przede wszystkim pełniła funkcję instrumentu-zabawki. Porządnym instrumentem strunowym była lutnia. Miała duże pudło rezonansowe zapewniające donośne dźwięki, a 10 strun gwarantowało swobodę twórczą kompozytorom i wykonawcom. Lutnia była podstawowym instrumentem w czasach renesansu i bardzo popularnym w baroku. Szybko jednak traciła na ważności. Z salonów i sal koncertowych wyparł lutnię klawesyn, a z rąk pospółstwa – polityka.

Lutnia jest bowiem instrumentem pochodzącym ze Wschodu. Z kręgu kultury arabskiej czy muzułmańskiej. Hiszpanie, którzy swoje państwo stworzyli, wypierając Maurów z ziem Półwyspu Iberyjskiego, chcieli wyprzeć również arabską kulturę i muzykę, a więc także lutnię. Modne było zastępowanie jej gi-

tarą. Podobnie na drugim końcu Europy – na ziemiach Rzeczypospolitej. Gitara była instrumentem z Zachodu, symbolem nowoczesności, nie bez kozery „angielska gitara” była jednym z rekwizytów Papkina.

Po krótkim okresie świetności w początkach XIX w. gitara pewnie została zapomniana, gdyby nie kowboje. Kowboje, a raczej vaqueros, czyli hiszpańskojęzyczni kowboje z Meksyku, umilali sobie pilnowanie bydła grą na gitarach. Gdy w połowie XIX w. Stany Zjednoczone podbiły północną część tego państwa – Teksas, Kalifornię i okolice – podbili również... gitary. Od tego momentu amerykańska muzyka – „oba gatunki: country oraz western”, posługując się cytatem z „Blues Brothers” – to muzyka gitarowa.

Zabawy z prądem

Gitara ma jednak pewien feler – jest cicha, szczególnie w porównaniu do

fortepianem. Od czego jednak technika? Lata 20. i 30. zeszłego wieku to czas gwałtownego rozwoju radiofonii. Nic nie przeszkadzało w użyciu wynalazków radiowych w gitarach. Mikrofony zwiększały głośność gitar, ale w tamtych czasach były zbyt duże: olbrzymia membrana zbierała drgania powietrza, wprowadzała w ruch magnes, którego drgania wzbudzały prąd, następnie wzmacniany i przekazywany do głośników. Głośniki działały na tej samej zasadzie co mikrofony, tylko niejako od tyłu...

Można było jednak pozbyc się niepotrzebnych pośredników: powietrza i membrany. Wystarczyło zamienić struny gitary na metalowe: ich drganie pobudzało przetworniki – czyli magnesy zamontowane w gitarze, tuż pod strunami – do produkcji prądu, wzmacnianego i przekazywanego do głośników. Od częstotliwości prądu zależał dźwięk, który wydobywał się z głośników, a częstotliwością można było sterować, uderzając w struny. Praktycznie rzecz biorąc, technika gry na gitarze elektrycznej nie różni się od techniki gry na gitarze klasycznej.

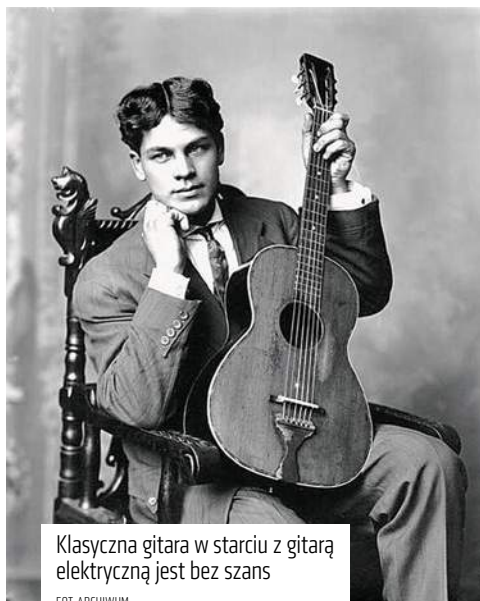
Zasadę działania gitary elektrycznej – jak widać – można opisać w jednym akapicie. Przemiana teorii w praktykę była jednak dużo trudniejsza. Pierwsze próby podjęto w samych początkach XX w., wykorzystując podzespoły z telefonów. Działającą gitarę – nazwaną „patelnia” ze względu na wygląd – zbudował w 1931 r. George Beauchamp. Sprzedaż szła powoli – chociażby ze względu na wysoką cenę – aż do czasów II wojny światowej. Gitara elektryczna nie była doskonała: pojawiały się sprzężenia zwrotne, wibracje, przydźwięki i nikt nie potrafił sobie z tym poradzić.

Śmierć swinga

Druga wojna światowa zabiła muzykę swingową i grające ją big-band. Nie tyle jednak sama wojna, ile pobór do US Army i wojenne ograniczenia. Mało ludzi bawiło się na potańcówkach, właścicielom restauracji nie opłacało się zatrudniać kilkudziesięcioosobowych big-bandów, więc liczebność zespołów muzycznych została ograniczona do minimum. Za całą potężną sekcję rytmiczną robił kontrabasista. Kontrabas ma jednak

olbrzymią wadę – wielkość. Bez kontrabasisty zespół mógł podróżować po całych Stanach samochodem osobowym, z kontrabasem potrzebna była ciężarówka. Przemysł zareagował na potrzebę i pojawił się kontrabas elektryczny. Początkowo grało się na nim pionowo – tak jak na zwykłym kontrabasie. Po kilku latach producenci doszli do wniosku, że zamiast opierać instrument o podłogę, łatwiej będzie przewieźć go przez szyję – niczym gitarę.

W 1950 r. firma Fender opracowała dwa nowe modele instrumentów. Jeden – zwany Precision Bass – był elektrycznym basem z gitarowymi progami na



Klasyczna gitara w starciu z gitarą elektryczną jest bez szans

FOT. ARCHIWUM

gryfie (stąd „precision” w nazwie). Drugi był elektryczną gitarą, która – wzorem elektrycznych basów – pozbawiona była pudła rezonansowego. Teraz o donośność dźwięku dbały przetworniki. Pozbycie się pudła rezonansowego rozwiązało również problem sprzężeń zwrotnych, wibracji i przydźwięków. W ten sposób powstał Fender Telecaster. Kształty gitary basowej i gitary elektrycznej zostały właśnie zdefiniowane. W kwietniu 1954 r. Bill Haley nagrał piosenkę „Rock Around the Clock”. Nadchodziła era rock and rolla.

Rewolucja

Bill Haley grał na gitarze elektrycznej, ale jego zespół – His Comets – wciąż

korzystał ze starego instrumentarium: kontrabas, saksofonu, akordeonu... Tymczasem gitara elektryczna dawała możliwość zastąpienia ich wszystkich. Nadszedł czas, w którym do nagrywania piosenek niepotrzebna była duża orkiestra w studiu nagraniowym, ale kilku kolegów, garaż i prąd.

Gitary elektryczne stanowiły klucz do sukcesu amerykańskich muzyków – Elvisa Presleya, Chucka Berry’ego, Muddy’ego Watersa. Najważniejszy z wymienionych był ten trzeci, bez niego muzyka rockandrollowa – i gitara elektryczna – pozostałaby pewnie wyłącznie amerykańską ciekawostką. Sam Muddy Waters nie grał zresztą rock and rolla, tylko elektryczny blues. Z taką właśnie muzyką pojechał na tournée po Europie. Jego koncerty w Wielkiej Brytanii jesienią 1958 r. okazały się wielkim sukcesem: zaprezentowały gitarę elektryczną Staremu Kontynentowi i stworzyły muzykę rockową.

Dzieje niemal każdego brytyjskiego zespołu – chociażby The Who, The Rolling Stones, The Beatles, Led Zeppelin, The Animals – można zacząć od opowieści, w której młodzi chłopcy poszli na jeden z koncertów Muddy’ego Watersa, zachwycili się nim i postanowili grać tak jak on.

Największy sukces odnieśli Beatles. Szybko zorientowali się, że aby zrobić karierę, muszą porzucić pozę buntowników, skórzane kurtki zamienić na garnitury oraz grać romantyczne piosenki. W 1962 r. zadebiutowali singlem „Love Me Do”, w 1963 r. podbili Europę, a w 1964 r. – Amerykę. Przystojni i grzeczni – nawet jeśli mieli ciut zbyt długie włosy – podbili serca amerykański nastolatków i ich matek. Jednak muzykę rockową – muzykę, która nie mogłaby powstać bez elektrycznych gitar – grały również inne zespoły, które nie chciały śpiewać o miłości, ale raczej o rewolucji obyczajowej, politycznej i moralnej. W 1967 r. odbył się wielki festiwal rockowy w kanadyjskim Monterey – pierwszy tego rodzaju. Bardziej znany jest ten z 1969 r. – Woodstock. Ze scen otwarcie śpiewano o nieposłuszeństwie wobec starszych, narkotykach i seksie. W ten sposób kilkanaście pierwszych lat istnienia gitary elektrycznej przewróciło świat do góry nogami...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Sławomir Zajączkowski

JESIENIĄ 1812 ROKU WIELKA ARMIA NAPOLEONA WYCOFYWAŁA SIĘ Z MOSKWY. CESARZ STARAŁ SIĘ PRZECIWDZIAŁAĆ WZIECIU JEGO WOJSKA W KLESZCZE PRZEZ ROSJAN, KTÓRZY ŚCIGAŁI Z PÓŁNOCY I POŁUDNIA POŚIEKI. NIE BYŁO TO JEDNAK ŁATWE, BO ODDZIAŁY ROSYJSKIE KONTROLOWAŁY POTENCJALNE DROGI ODWROTU NAPOLEONA. 21 LISTOPADA ROSJANIE ZDOBYLI JEDYNY MOST W OKOLICY BORYSOWA I SPALILI GO.



ZBUDOWANO DWA MOSTY. JEDNYM MIAŁA PRZEJŚĆ PIECHOTA, DRUGI ZAŚ - MOCNIEJSZY - PRZEZNACZONO DLA ARTYLERII I WÓZÓW. WŚRÓD INŻYNIERÓW ZAJMUJĄCYCH SIĘ BUDOWĄ, WYRÓŻNIAŁI SIĘ POLACY: IGNACY PRĄDZYŃSKI, FRANCISZEK KOSS I JÓZEF LEX.

PROWIZORYCZNA KONSTRUKCJA WYMAGAŁA JEDNAK STAŁYCH NAPRAW.



ROSJANIE DOWODZENI PRZEZ GENERAŁA JEFIMA CZAPŁICA ZAATAKOWALI 28 LISTOPADA POD STACHOWEM ODDZIAŁY ARMII NAPOLEONA, KTÓRE JUŻ SIĘ PRZEPRAWIAŁY. ATAK ODPIERAŁA POLSKA PIECHOTA I DYWIZJA ARTYLERII DOWODZONA PRZEZ GENERAŁA DĄBROWSKIEGO. SZACUJE SIĘ, ŻE POLACY MOGLI STANOWIĆ AŻ 60% SIŁ CESARSKICH BIORĄCYCH UDZIAŁ W BITWIE POD STACHOWEM.



UDANA OBRONA POZYCJI NA PRAWYM BRZĘGU RZĘKI DAŁA CZAS RESZCIE WOJSK NA PRZEJŚCIE PRZEZ MOSTY. STRATY POLSKICH ODDZIAŁÓW BYŁY OGROMNE, JEDNAK POZWOLIŁO TO NA URATOWANIE RESZTKI WIELKIEJ ARMII NAPOLEONA, KTÓRA RUSZYŁA W STRONĘ WILNA. 29 LISTOPADA SPALONO OBA MOSTY, POZOSTAWIAJĄC NA DRUGIM BRZĘGU GŁÓWNE SIŁY ARMII ROSYJSKIEJ.





**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Memoriał Dmowskiego

Zawsze w różne rocznice czy święta staram się zerknąć do źródeł. Niby znanych, wielokrotnie odczytanych, przeżutych, ale wciąż – w takich okolicznościowych momentach – robiących na mnie spore wrażenie.

I właśnie w rocznicę 100-lecia odzyskania niepodległości zajrzałem sobie do brulionu memoriału Komitetu Narodowego Polskiego do rządów sprzymierzonych, który swoją ręką nakreślił Roman Dmowski wiosną 1918 r. Wprawdzie pisząc swój memoriał, Dmowski wciąż zabiegał o sprawę polską i naszą niepodległość, ale z treści rozważań wynika, że był niemal pewien, iż Polska się wkrótce odrodzi. Fenomen tego tekstu polega, w moim przekonaniu, na syntetycznym i logicznym wykazaniu, że sprawa polska w latach wielkiej wojny zależała od orientacji proaliantkiej i niezwykle wręcz wysiłku Dmowskiego osobiście oraz aktywności jego współpracowników i sprzymierzeńców.

„Ze wszystkich narodów, większych i mniejszych, biorących udział w wojnie obecnej, Polska znalazła się w warunkach najmniej sprzyjających zorganizowaniu akcji politycznej i wojskowej, odpowiadającej swą siłą sile liczebnej narodu i jego żywotności” – pisał Dmowski już w pierwszym zdaniu, tłumacząc swój pogląd rozbiem Polaków pomiędzy dwie sprzeczne ze sobą orientacje i trzy państwa zaborcze korzystające z polskiego rekruta. Najważniejszy był jednak wybór orientacji, który obciążony był ryzykiem i w gruncie rzeczy był od początku wyborem między złem a mniejszym złem. „Wybór nie był łatwy, bo trzeba było wybierać nie między wrogiem a przyjacielem, jeno między dwoma wrogami – czytamy. – Trzeba było wykazać, który z tych dwóch wrogów jest gorszy, niebezpieczniejszy, przeciw któ-

remu zatem trzeba (się głównie zwrócić) przede wszystkim walczyć”.

Dmowski uznał długo przed wojną, że „Niemcy w części Polski do nich należącej dążyły do całkowitej zagłady żywiołu polskiego, co było widoczne dla wszystkich Polaków, wywierały one jednocześnie wrogi Polakom wpływ na politykę Austrii i Rosji, wpływ niewidoczny i nie przez wszystkich Polaków rozumiany, wreszcie ci, co umieli głębiej patrzeć, musieli wiedzieć, że sama potęga (ich) Niemiec i położenie geograficzne w stosunku do Polski czyniły (ich głównym) je najniebezpieczniejszym wrogiem Polski, główną przeszkodą dla jej niezawisłości, główną groźbą dla jej narodowego bytu”. Natomiast „Rosja wszakże wywiera-

/ Dmowski odrzucił tak bliski wielu Polakom pogląd walki ze wszystkimi wrogami naraz

ła w Polsce ucisk brutalny, oparty na bezprawiu, na samowoli urzędników, urzędników nieuczciwych, co ten ucisk czyniło tym przyskrętszym; jej polityka w przeciwstawieniu do niemieckiej, systematycznej i planowej, miała charakter nierozumnej prowokacji, jakby umyślnie obrażającej uczucia narodowe Polaków; skutkiem niższości cywilizacyjnej rządzących, rządy rosyjskie obniżały poziom cywilizacyjny Polski, tamując wszelki postęp. [...] Wreszcie cała prawie tradycja polskiej walki o wolność była tradycją walki przeciw Rosji, tradycją męczeństwa polskiego i rosyjskiego okrucieństwa”.

W tym wyborze między dżumą a cholerą Dmowski odrzucił tak bliski wielu Polakom pogląd walki ze wszyst-

kimi wrogami Polski naraz, uznając, że największym naszym wrogiem – politycznym i cywilizacyjnym (ze względu na wysoką pozycję polityczną i kulturową) – są Niemcy! Uznał również, że Rosja wejdzie wkrótce w fazę państwowej erozji, a sprawa Polska zależeć będzie od jej (Rosji) zachodnich sojuszników. Porzucił też myśl zjednoczenia wszystkich Polaków pod sztandarem własnego wyboru i antyniemieckiej orientacji.

Na drugim biegunie znaleźli się zwolennicy orientacji austro-niemieckiej, którzy – jak pisze Dmowski – byli gotowi walczyć wprawdzie przeciw Rosji, a w „następstwie zwrócić się przeciw pozostałym wrogom Polski. Nie przedstawiali oni sobie, w jakiej to konkretnej postaci ten zwrot nastąpi, nie usiłowali sobie uprzytomnić warunków, w jakich byłby on możliwy”. Dla protektorów austro-niemieckich intencje tego obozu, którego symbolem stał się Józef Piłsudski, były zupełnie jasne. Stąd ciągłe targi legionistów z Austriakami i Niemcami, konflikty wewnętrzne obozu „aktywistów” i ostateczna klęska polityczna projektu legionowego.

W tej sytuacji, pisząc swój memoriał wiosną 1918 r., Dmowski apelował do rządów sprzymierzonych, by ostatecznie „uznały Polskę za sprzymierzony naród wojujący, ażeby organizacja oficjalna w krajach sprzymierzonych pozyskała kompetencje rządu polskiego w dziedzinie polityki zewnętrznej i wojny, żeby wreszcie ujęty został w jedną organizację cały wysiłek wojskowy polski”. I faktycznie tak się w 1918 r. stało. Komitet kierowany przez Dmowskiego uznany został za sojuszniczego rząd, który później powołał Armię Polską z gen. Józefem Hallerem na czele. W ten sposób Polska uzyskała podmiotowość i dzięki związaniu się ze zwycięskimi mocarstwami powracała na mapę świata. Dzięki Dmowskiemu! ©©

100-lecie

ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918
2018



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • POZNAŃ STARY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK

ZAMÓWIENIA: 71 347 47 47 • INTERNET: www.Militaria.pl